

BRÓŃ ATOMOWA W POLSCE

**Dlaczego prezydent Duda
wymachuje „nuklearną szabelką”?**



**Piotr Semka o brudnej grze
rządzących wokół śmierci
Barbary Skrzypek**

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 13/622 24-30 MARCA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**CO Z AUTAMI
TESLI?
SPÓŁKA
ELONA
MUSKA
W TARAPATACH**



**Grypa atakuje.
A gdzie podział się COVID-19?**



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład: 43 500 egzemplarzy

„TROPICIELE RUSKICH ONUC”

**We wszystkim doszukują się
ukrytych wpływów Putina**

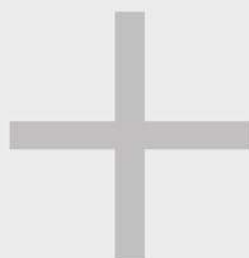
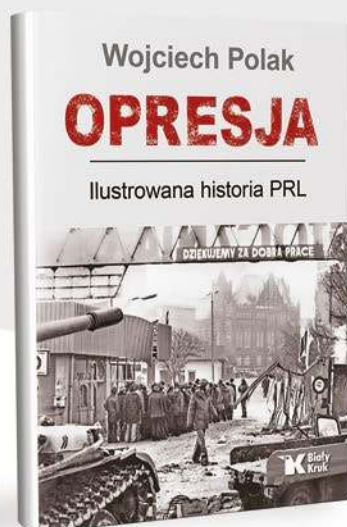
Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**WOJCIECH POLAK: „OPRESJA.
ILUSTROWANA HISTORIA PRL”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1482~~zł

494,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 988zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 5f1ba0f596



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Węgierska obrona normy

Obserwuję sytuację na Węgrzech z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony bierze mnie złość – patrząc na poczynania Viktora Orbána, widzę bowiem, co mogła być zrobić polska prawica, będąc u władzy, gdyby nie dała się skutecznie zastraszyć i sparaliżować przez Brukselę. W efekcie tam, gdzie premier Węgier faktycznie stał się przywódcą prawdziwej konserwatywnej kontrewolucji, w Polsce mieliśmy rządy frazesowiczów i gadułów. Ale z drugiej strony, śledząc jego poczynania, trudno nie odczuwać podziwu. W 2025 r. państwo, które jest członkiem Unii Europejskiej, zdobywa się na odwagę i rzuca wyzwanie elitom, mimo że zdaje sobie doskonale sprawę z ryzyka. Viktor Orbán doczekał do rewolucji zdrowego rozsądku Donalda Trumpa i postanowił z niej zrobić najlepszy możliwy użytek – nie tylko dla siebie i swojego ugrupowania, lecz także dla Węgier.

Tak, polska prawica nie umiała wykorzystać danej jej przez ogół Polaków szansy. Nic nie pokazuje tego lepiej niż walka z największym zagrożeniem ideologicznym dla ładu narodowego, którym było i jest propagowanie ideologii gender. Mimo różnych mniej lub bardziej udanych retorycznych wygibasów poprzedni polski rząd nie zrobił nic, żeby jej natarciu skutecznie się przeciwstawić. Odwrotnie Węgry. Nie zważając na ogromną presję i coraz większą wściekłość brukselskich biurokratów, dla których ideologia LGBT jest jednym z filarów całej konstrukcji ideowej Unii Europejskiej, najpierw przyjęli ustawę chroniącą dzieci przed promocją homoseksualizmu, a obecnie, kilka dni temu, prawo, dzięki któremu będzie się można bronić przed tęczą propagandą wynaturzeń w przestrzeni publicznej.

W zeszły wtorek parlament w Budapeszcie uchwalił ustawę zakazującą zgromadzeń narusza-

jących przepisy o ochronie dzieci. Nowe regulacje przewidują kary finansowe dla organizatorów tzw. parad równości, inaczej – marszów LGBT. Wprowadzone przepisy są rozwinięciem prawa dotyczącego ochrony dzieci. Rząd uznaje, że publiczne okazywanie homoseksualizmu i promowanie zachowań homoseksualnych oraz innych tzw. orientacji seksualnych jest formą ataku na prawa dzieci do bezpiecznego wychowania. Jest to jak najbardziej słuszne i logiczne. Nie jest przypadkiem, że tęćzowi ideolodzy tak dużą wagę zawsze przykładają do zdobycia kontroli nad systemem edukacyjnym.

Rozumieją to doskonale sponsorzy rewolucji, tacy jak miliarder George Soros, pojmują to świetnie aktywiści i różnego autoramentu eksperci. Żeby doprowadzić do normalizacji perwersji, trzeba zacząć od dzieci. Dlatego to przedszkola i szkoły są głównym polem walki. Celem jest doprowadzenie do sytuacji, w której dzieci będą oswajone z nową, rewolucyjną obyczajowością.

Ważnym narzędziem tej inżynierii społecznej, która ma dokonać przewrotu świadomości, są właśnie tzw. parady równości. Przez swój często obsceniczny charakter, przez wyszydzenie i poniżenie symboli religijnych, wreszcie przez publiczne propagowanie relacji homoseksualnych mają przełamywać opór. To, co niemoralne, ma być chwalone; to, co potępiane, ma być równoważne temu, co stanowi normę społeczną i kulturową. Skoro odbywają się w przestrzeni publicznej, to – można domniemywać – cieszą się uznaniem państwa. A skoro tak, to opór przed krytykowaniem pokazywanych tam zachowań słabnie. Zgodnie z węgierskim prawem rozszerzone sankcje mogą dotknąć tak organizatorów, jak uczestników marszów. Środki uzyskane z kar mają zostać przeznaczone na programy związa-

ne z ochroną dzieci przed tęczą rewolucją.

Cóż, mogę jedynie Węgrom pozazdrościć. Premier Orbán doskonale rozumie, na czym polega w dzisiejszych czasach ochrona suwerenności narodowej i kulturowej. Stąd cały pakiet ustaw chroniących podstawowe prawo rodziców do wychowania własnych dzieci. To prawo oczywiście istnieje też w Polsce. Tyle że wskutek gigantycznej przewagi finansowej ośrodków genderowych trudno je było egzekwować w czasach, gdy rządziło Prawo i Sprawiedliwość, a teraz po prostu stało się iluzoryczne. Jak rodzice mają przekazywać normy i tradycję przejętą od pokoleń, skoro ich dzieci uczą się w szkołach, że jest to przejaw zaściankowości, zabobon, wstecznicstwo? Jak mogą mówić, co jest dobre a co złe, skoro ich dzieci widzą na ulicach przeciągające korowody ludzi otwarcie wyszydających ten przekaz? Parady równości to forma symbolicznej wojny z normą.

Dokładnie w tym samym czasie, kiedy Węgrzy toczą wojnę z genderyzmem, rząd Donalda Tuska płynie z głównym europejskim, tęćzowym nurtem. Kolejne miasta rządzone przez Platformę zaczynają współorganizować parady równości. Ministerstwo Edukacji Barbary Nowackiej marzy o programie edukacyjnym, w którym będzie się uczyć o równości różnych tzw. orientacji seksualnych. Minister Adam Bodnar przygotował i przeprowadził w Sejmie ustawę cenzorską, która ma zakazywać krytyki genderyzmu – swoją drogą, gdyby podobna ustawa obowiązywała na Węgrzech, do więzienia poszliby wszyscy posłowie rządzącej tam większości.

Jak to się stało, że Węgrzy potrafili wybrać reprezentantów politycznych, którzy faktycznie rozpoznają zagrożenia i dbają o interes narodowy, a Polacy nie? Warto zadawać sobie pytanie. ©©



TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
TROPICIELE „RUSKICH ONUC”
Stan debaty publicznej w Polsce

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
**SPRAWA BARBARY SKRZYPEK,
CZYLI WALEC POŁĄCZONYCH SIĘ**
Brudna gra rządzących

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KTO OBRONI POLSKĘ?

26 JERZY KARWELIS
**PANDEMIA A.D. 2025 I... NIC.
GDZIE PODZIAŁ SIĘ COVID-19?**

28 RADOŚLAŃ WÓJTAS
Z BOGIEM W PRACY

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
JAZDA Z „FROGAMI”

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
CHIMERA DLA KSIĘCIA
Giorgio Vasari
– człowiek wszechstronny

35 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – TOMASZ KORDEUSZ

36 PIOTR GOCIEK
ZWYCZAJNY FASZYZM

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

42 WOJCIECH GOŁONKA
**DLACZEGO PREZYDENT DUDA
WYMACHUJE „NUKLEARNĄ SZABELKĄ”?**
Czy Polska potrzebuje broni jądrowej?

45 ROBERT BOGDAŃSKI
ZDEMABILIZOWANI I SŁABO UZBROJENI

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BITWA O GODNOŚĆ CZŁOWIEKA

HISTORIA

50 MARCIN SKALSKI
LEKCJA SKUTECZNEJ POLITYKI
Odzyskanie Szczecina

53 BARBARA KĘCIŃSKA-LEMPKA
OCZAMI ŚWIADKA



ŚWIAT

58 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM KRUPĄ
**POLSKA NIE MA WIECZNYCH
WROGÓW**
Polacy kolejny raz dają się rozgrywać
Anglosasom

61 MACIEJ PIECZYŃSKI
ALTERNATYWA DLA ROSJI

64 JAN BOGATKO
JAK LEWICA BRONI DEMOKRACJI

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. INŻ.
WŁADYSŁAWEM MIELCZARSKIM
ATOMU NIE BĘDZIE!
Rzeczywiste problemy polskiej
energetyki

70 JACEK PRZYBYLSKI
TESLA NON GRATA

ŻYCIE I NAUKA

74 ANDRZEJ SOLECKI
**CZY TRUMP CHCE WSKOCZYĆ
NA GRZBIET ŁOMONOSOWA?**
Jakie bogactwa kryje Arktyka
i kto nimi zawładnie

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (i sekretarz redakcji), **Filip Memches**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięwicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Łukasz Czamecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Palkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torąński, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniewicz, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski
PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Siemkowski, Łukasz Zygałdo
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **Kremlin Pool/Russian Look/Forum**
WYDAWCA: Do Rzeczy SA

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Publikujemy fragment Apelu
 Stowarzyszenia „Godność”. Cały list
 otwarty udostępniamy na stronie
 dorzeczy.pl

Przeciw niszczeniu Polski!

Sygnatariusze niniejszego apelu, reprezentujący środowiska więźniów politycznych stanu wojennego oraz działaczy podziemnej Solidarności lat 80., stwierdzają, że od tamtego ponurego czasu nie było w naszej Ojczyźnie takich naruszeń prawa, jak obecnie [...]. Nie godzimy się na to!

Ludzie, którzy przejęli władzę po 15 października 2023 r., systematycznie i bez zahamowań dokonują gwałtu na praworządności. Lekceważą lub unieważniają obowiązujące prawa, z Konstytucją włącznie. Łamią przyjęte reguły i dobre obyczaje w uprawianiu polityki, demolują ważne instytucje publiczne. Ograniczają wolność słowa. Dążą do zniszczenia opo-

Miś Wojtek aresztowany pod zarzutem udziału w nielegalnym związku zbrojnym



zycji – wszak jednego z filarów demokracji! Za nic mają też prawa obywatelskie, czego doświadczają przestępcy, aresztowani, skandalicznie traktowani politycy opozycji oraz urzędnicy poprzedniego rządu. Ostatni przypadek, śmierci Pani Barbary Skrzypek, jest szczególnie bulwersujący [...].

Aby zapobiec dalszej degradacji naszego państwa, wzywamy tu do wspólnego sprzeciwu wszystkie siły patriotyczne! [...] Uczynicie to, wybierając nowego prezydenta RP spoza obozu tej władzy. Pilnie wymaga tego interes kraju, a także szacunek dla wielu pokoleń, które o jego pomyślność walczyły.

Zarząd Stowarzyszenia „Godność”:

Czesław Nowak, Andrzej Osipów, Stanisław Fudakowski

NEKROLOG

Z ogromnym smutkiem
 przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Barbary Skrzypek

Mamy naszego kolegi

Marcina Skrzypka

Jemu, jego Tacie oraz Babci

wyrazy szczerzego współczucia i żalu składa

Patryk Jaki w imieniu posłów i pracowników grupy EKR

„Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych”

ks. Jan Twardowski

NA PIERWSZY OGIEŃ

W Poznaniu wiatr od morza



PIOTR SEMKA

Stolica Apostolska mianowała nowym metropolitą poznańskim ks. Zbigniewa Jana Zielińskiego, dotychczasowego biskupa diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Zastąpi on niezwykle zasłużonego abp. Stanisława Gądeckiego, którego walory intelektualne i moralne wysuwały na czoło polskiego Kościoła. Postać poprzednika wyznacza nowemu gospodarzowi diecezji bardzo wysokie standardy.

Postać ks. Zielińskiego jest mi bliska z wielu powodów. Urodził się w 1965 r. w Gdańsku, silnym ośrodkiem wiary i wolnościowych dążeń, który wówczas sprzyjał politycznemu i duchowemu dojrzewaniu w przyspieszonym tempie. Kształcił się w gdańskim prestiżowym Conradinum, czyli Technikum Budowy Okrętów. Nie poszedł jednak drogą edukacji technicznej, ale w 1985 r. po maturze rozpoczął studia filozoficzno-teologiczne w Gdańskim Seminarium Duchownym. Nie był kościelnym teoretykiem, ale praktykiem ewangelizacji. I to w tak niełatwych miejscach jak areszt śledczy w Gdańsku. Następne lata spędził

na kolejnych parafiach w Gdańsku i Sopocie jako proboszcz. W latach 2000–2008 był szefem wydziału duszpasterskiego kurii gdańskiej. To ważne, bo w polskim Kościele bardzo potrzeba metropolitów znających realia pracy w parafiach. Ksiądz Zieliński doskonale czuje się w mediach. Był częstym gościem gdańskiej redakcji TVP, a w Radiu Plus prowadził audycję „Słowo o Ewangelii”. W 2015 r. papież Franciszek mianował go biskupem pomocniczym archidiecezji gdańskiej. W 2022 r. Stolica Apostolska przeniosła go na urząd biskupa diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej.

Media liberalne przyjęły nominację dla ks. Zielińskiego z wyraźną irytacją. Trudno się dziwić, gdyż jeszcze parę lat temu zwolennicy szybkich i radykalnych zmian progresywnych w polskim Kościele wiele nadziei wiąźali ze zbliżającymi się wakacjami w Warszawie, Poznaniu, Szczecinie i Krakowie. Z tych nadziei ziściło się jedynie obsadzenie Warszawy przez abp. Adriana Galbasa. Nowemu metropolicie poznańskiemu wypominane jest to, że bywa częstym

gościem wygłaszającym homilie w Sanktuarium NMP Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II w Toruniu – świątyni wybudowanej przez o. Tadeusza Rydzyka. Dla mnie ważne jest to, że abp Zieliński nie bał się zabrać głosu w czasie niedawnej fali ataków na Jana Pawła II. Mówił wówczas: „Śmieszne staje się, gdy dzisiaj tego wielkiego papieża chcą recenzować ci, którzy zdradzili kapłaństwo, rozminęli się z chrześcijaństwem lub zarabiają tylko z tego powodu, że przykleili sobie tytuł katolicki”.

Nowy metropolita poznański staje wobec niełatwego zadania. Diecezja poznańska to jedna z trzech diecezji, które podlegają najszybszej laicyzacji w Polsce. Dane z 2023 r. wskazują, że systematycznie uczestniczy tu w nabożeństwach tylko 18,5 proc. wiernych. Dodatkowo Poznań pod rządami prezydenta Jacka Jaśkowiaka to miejsce demonstracji obyczajowych. Nowy metropolita stawać więc będzie wobec wielu wyzwań.

Arcybiskup Zieliński ma 60 lat, więc przed nim długa posługa. Szczęść Boże, księże Zbigniewie! © ©

POŻAR BAZARU RÓŻYCKIEGO

Kilkanaście straganów spaliło się w ubiegłą środę na kultowym bazarze Różyckiego w Warszawie. Ogień zajął powierzchnię ok. 100 mkw., a nad historycznym targowiskiem unosiły się kłęby gęstego dymu widoczne z odległych części miasta. Akcja strażaków w tym miejscu trwała ponad trzy godziny. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, nie wiadomo było jeszcze, jak doszło do pożaru ani czy mogło dojść do podpalenia. (jap) © ©



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP



TYGODNIK LUDSKIEGO
**DO
RZECZY**

28 marca 2025 r.

Na Gali nagrodzimy najlepsze inicjatywy, ludzi, organizacje i firmy z Małopolski działające na rzecz ochrony dzieci i młodzieży, dzięki którym ich dzieciństwo jest harmonijne a świat bezpieczny. Widzimy w naszych dzieciach przyszłość dla wszystkich dzieł naszego życia. W każdym narodzie istnieje cel nadrzędny, czyli szczęśliwe i bezpieczne dzieci wychowywane przez kochające rodziny, wśród prawdziwych przyjaciół, pedagogów, w przyjaznych placówkach oświatowych i otoczeniu. Wychowanie to musi być osadzone mocno w wartościach bliskich także redakcji tygodnika „Do Rzeczy”.

Patronat Honorowy: Łukasz Smółka Marszałek Województwa Małopolskiego

PARTNERZY:





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Leszczyna i szarlatani

Nie jest przyjemnie być najgorzej ocenianym ministrem z całego prawie 150-osobowego rządu, więc nie dziwny się pani Leszczynie, że co i raz próbuje wyjść z jakąś spektakularną inicjatywą. Ale też nie są przypadkiem wspomniane oceny, więc nie dziwny się, że co pani minister spróbuje, wychodzi jak z „alkotubkami” czy sprzedają wódki na stacjach benzynowych.

Próba najnowsza: „lex szarlatan”, czyli zakazanie działalności oszustom żerującym na nieuleczalnych chorych i sprzedającym im za ciężkie pieniądze bezwartościowe „terapię”. Proceder niewątpliwie oburzający, powszechnie potępiany, a także, z jakichś powodów, nigdzie jeszcze, w żadnym kraju,

zlikwidować go ani nawet znacząco ograniczyć się nie udało.

Jak chce to zrobić nasze Ministerstwo Zdrowia? Według złożonych w tym tygodniu zapowiedzi poprzez nałożenie surowych kar na osoby, które „oferują świadczenia medyczne”, nie mając stosownego wpisu do rejestru i uprawnień, sieją „dezinformację medyczną” oraz „przypisują właściwości świadczenia medycznego” środkom i terapiom, których skuteczności nie potwierdzono.

Rzecz w tym, że żaden „szarlatan” nie twierdzi, iż oferuje „świadczenia medyczne”, przeciwnie – już od dawna nauczyli się oni formalnie zastrzegać, że oferują terapie „wspomagające”. Co więcej, zwykle mają na swoją obronę świadectwa

ludzi, którzy twierdzą, że cudowne leki im pomogły. Bo z reguły – potwierdzają to lekarze specjaliści od najcięższych chorób – pomagają. Nie w ten sposób, że leczą, co to, to nie, ale dają nadzieję, poprawiają samopoczucie, dają choremu przekonanie, iż jest „zaopiekowany”. Rzeczy, które w leczeniu eufemistycznie zwanym „paliatywnym” mają swoje znaczenie. Owszem, szarlatani często sprawiają, że chorzy, którzy teoretycznie mogliby być wyleczeni albo przynajmniej żyć dłużej, porzucają terapię medyczną. Problem w tym, że piekielnie trudno w takich sytuacjach udowodnić w sądzie, że to właśnie znachor namówił chorego do tej decyzji.

Słowem – chcemy dobrze, ale z góry wiadomo, jak wyjdzie. ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Marksizm dla bogatych

Taylor Sheridan dla kina trumpsowskiego jest tym, kim dla reaganowskiego byli Sylvester Stallone czy Clint Eastwood, i jego filmy dobrze obrazują przemiany amerykańskiej prawicy. John Rumbo i jego towarzysze broni marzyli jedynie o tym, „by Ameryka kochała ich tak, jak oni ją kochają”. W „Landman” zaś „marzenia” oznaczają po prostu chciwość, a sympatyczne nastolatki otwarcie mówią, że chcą znaleźć bogatego męża i „studiować filantropię”, bo dzięki fundacjom płaci się mniej podatków.

W „1923” (prequela „Yellowstone”) Sheridan umieścił wątek nie tyle oburzający, ile po

prostu odrażający antykatolicki, kolportujący najbardziej absurdalne pomówienia wobec Kościoła. Francuscy i irlandzcy misjonarze mordują dzieci w szkołach dla Indian, a – jak mówi jeden z indiańskich bohaterów – „w Kanadzie jest jeszcze gorzej”.

Nie wiem, dlaczego Sheridan tak nienawidzi katolicyzmu. Trochę światła na jego emocje rzuca natomiast monolog Jacoba Duttona, który (ustami samego Harrisona Forda) w „1923” robi bratankowi wykład z antropologii; opowiada, jak to kiedyś „mniejsze plemiona nie potrzebowały rządzących, bo wszystko rozwiązywały rozmowy.

Ale gdy ludność rosła – silni zaczęli wykorzystywać słabszych, za każdym razem, bez wyjątku. Rządy wymyślono po to, aby ujarzmić ludzką naturę, ale to mrzonka, bo tacy już jesteśmy [...]. Dobro i zło to bzdury, wyrzuc to z głowy. Myśl jedynie o tym, co jest dobre dla tego rancza i twojej rodziny. I wykorzystuj ich prawa, by to osiągnąć”.

Nie więc dziwne, że orędownika takiego marksizmu dla bogatych razi katolicyzm, który nie tylko twierdzi, że państwo jest pochodną społecznej natury człowieka, ale jeszcze każe mu realizować dobro wspólne. To gorsze nawet od szkół kościelnych w Kanadzie! ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



krzysztopa bogdan 607

PIECZEŃ RZYMSKA

O tym, co się nie mieści w głowie

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Latem 2019 r. 41 migrantów spędziło 10 dni na pokładzie statku u wybrzeży Lampedusy, bo ówczesny szef MSW, Matteo Salvini, czekał z wpuszczeniem jednostki do portu, aż unijni partnerzy Italii zgodzą się na ugoszczenie części przybyszów u siebie. Włoski Sąd Kasacyjny właśnie zdecydował, że doszło do ubezwłasnowolnienia, więc migrantom należy się odszkodowanie – 1,7 tys. euro każdemu z osobna, mimo że sądy dwóch niższych instancji, a także prokuratura Kasacji były przeciwnego zdania.

W tym samym 2019 r. 17 policjantów z nakazem rewizji i aresztowania wtargnęło do mieszkania państwa Di Marco w Turynie, oskarżając ich o napad na sklep jubilerski w odległej

o blisko 800 km Cerignoli. Koronnym i jedynym dowodem było podobieństwo pana Di Marco do jednego ze sprawców, którego sfilmowały kamery w sklepie. Został natychmiast aresztowany, a żona z czworgiem dzieci, w tym osesek, jako rzekoma współniczka przez miesiąc nie mogła wychodzić z domu. W różnych zakładach karnych Luca Di Marco spędził 4,5 miesiąca. I to mimo że 21 świadków było gotowych zeznać, że w chwili napadu w Cerignoli małżeństwo było w Turynie. Sąd nie zgodził się ich wysłuchać. Nawet pediatry, który w dniu napadu przyjął panią Di Marco z chorym dzieckiem w swoim gabinecie, co potwierdzała dokumentacja medyczna.

W końcu ekspert po analizie zapisu sklepowych kamer orzekł,

że sprawca i Luca to dwie różne osoby, a współnik był mężczyzną, a nie kobietą. Dopiero miesiąc później, po dwóch strajkach głodowych i 14-kilogramowym spadku na wadze, pan Di Marco opuścił areszt. Przez sześć lat bezskutecznie procesował się o odszkodowanie. Sąd w Bari właśnie zdecydował, że państwu Di Marco nie należy się nawet złamany cent, ponieważ – trzymajcie się za warkocze – „pan Di Marco jest bardzo podobny do sprawcy, a poza tym wraz z małżonką składali rzekomo niespójne zeznania”. Co robią sędziowie i śledczy, którzy zawalili sprawę? Śledzą i orzekają nadal. Żadnemu włos z głowy nie spadł. Słowem – korporacyjna solidarność po włosku. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. MATEJSZ JAGIEŁSKI/EAST NEWS

TESLA NA OUCIE

Nielubienie przez polskich celebrytów Donalda Trumpa zatacza coraz szersze kręgi i zaczyna obejmować także Elona Muska. Agnieszka Woźniak-Starak, właścicielka auta marki Tesla, wspiera bojkot tej firmy. Prezenterce podobają się naklejki na pojazdach Tesli z hasłem: „Przepraszam, kupiłem teslę, zanim Elon oszalał”, które coraz częściej można zobaczyć na amerykańskich ulicach. – Bardzo podoba mi się pomysł z naklejką, tak samo jak zaklejanie logo tesla albo naklejanie w to miejsce logo innej marki motoryzacyjnej, bo widziałam już teslę ze znakiem Hondy. To jest bardzo ciekawa forma protestu, bo nie tylko pokazuje, że mnóstwo ludzi na całym świecie nie zgadza się z tym, co wyprawia Elon Musk, lecz także w tym sprzeciwie jest jakieś poczucie humoru – powiedziała. Gwiazda ma własny plan na wyrażenie niezadowolenia z działań Muska, bo – uważa, uważa – podróże teslą przestały być dla niej przyjemnością. – Ja również mam pewien plan, bo nie ukrywam, że ostatnie wydarzenia kompletnie odebrały mi radość z jazdy teslą, ale nie będę go jeszcze zdradzać – wyznała enigmatycznie. No po tym to się Musk nie pozbiera. Cokolwiek to jest.

SELF-LOVE DLA WYBRANYCH

Czy młoda i ładna kobieta sukcesu może prawić o radzeniu sobie z kompleksami? Niektórzy uważają, że nie i to tylko poza, która ma sprawić, iż w oczach tłumu gwiazda stanie się bardziej „ludzka”. Niedawno

Julia Wieniawa zaprezentowała nową piosenkę, która opowiada o miłości do samej siebie i zaakceptowaniu niedoskonałości. „To piosenka o drodze do siebie. O uczeniu się, że nie muszę się zmieniać, by zasłużyć na akceptację – swoją i świata. O sile, która przyszła, gdy zaczęłam siebie widzieć, słyszeć i kochać – nie mimo wszystko, ale właśnie za wszystko” – napisała na Instagramie. To bardzo nie spodobało się Bognie Golec ps. Bubę, modelce plus size. Influencerka „poczuła się striggerowana nową piosenką Julki Wieniawy”. „Czy jest tu ktoś, dla kogo Julka Wieniawa jest symbolem samomiłości i samoakceptacji? Czy ona wypada autentycznie w śpiewaniu o swojej ciężkiej drodze do zaakceptowania siebie i swojego ciała? Bo dla mnie, jako modelki plus size od pięciu lat i osoby naprawdę aktywnie walczącej o to, żeby poprawiać poczucie własnej wartości u innych kobiet, level delulu i level hipokryzji w tej piosence jest tak wysoki, że chyba wychodzi poza skalę” – grzmi „Bubę”. „Ja jestem od wczoraj striggerowana i mam ochotę powiedzieć Julce: sit the f.ck down. Długo się zastanawiałam, czy nagrywać ten filmik, bo jak mnie znasz, to wiesz, że jestem bardzo daleka od tego, żeby źle mówić o innych kobietach, ale, ku,wa, i ta walka, ta twoja walka... koszmarny” – dodała z obrzydzeniem. „Self-love” jak chwyt marketingowy? Kto by pomyślał...

KOŁO OKNA

Aferki samolotowe to ulubiony rodzaj celebryckich aferk autorki tej rubryki. Zazwyczaj dotyczą one bowiem rzeczy zupełnie błahych, które normalnym

ludziom w ogóle nie zaprzatają głowy. Klaudia Halejcio rozkręciła na Instagramie inbę. Podzieliła się historią z samolotu – w skrócie: rodzina poprosiła inną pasażerkę, aby zamieniła się z nimi miejscami, bo ich syn chciałby siedzieć przy oknie. Ta jednak odmówiła, co wywołało niemałą wściekłość Halejcio. – Wyobraźcie sobie, że poprosili panią, czy byłaby taka możliwość, żeby się zamienić na miejsca, czy jej to sprawi problem, bo oni chcieliby całą rodziną usiąść. Zwłaszcza że próbowali zmienić bilety, ale się nie udało. Że mają małe dziecko i syn chciałby siedzieć przy oknie. Wyobraźcie sobie, że pani powiedziała „nie”. Na co ja byłam w szoku. Myślałam, że żartuje – relacjonowała celebrytka. – Ten pan patrzy na nią, ona mówi: „Ja chcę siedzieć tu, gdzie mam. Ja chcę siedzieć przy oknie”. Stara kobieta musi siedzieć przy oknie. Nie dała temu dzieciakowi możliwości, by usiąść przy oknie – opowiada Klaudia.

LIPIŃSKA Z RIGCZ-EM

W aferkę postanowiła włączyć się pisarka Blanka Lipińska, ponieważ, umówmy się, internetowe aferki to to, co Lipińska lubi najbardziej. – Serio? Dorosli ludzie muszą się dostosowywać do zachcianek dzieci – i to obcych? W imię czego? – zauważa. – I dlaczego płacz tego chłopca ma sterroryzować dorosłych i doprowadzić dla świętego spokoju do zmiany ich zdania? Ja tę kobietę, co nie zgodziła się na zmianę miejsca, rozumiem. Nienawidzę latać, towarzyszą mi lęki, a siedzenie przy oknie pomaga mi w tym stresie. Dopłacam za to, celowo rezerwuję takie miejsca, dbam o to wcześniej i nie rozumiem, dlaczego miałabym z tego rezygnować. Bo dziecko płacze? To już chyba kwestia wychowania i ogarnięcia emocji dziecka przez jego rodziców – zauważyła dość trzeźwo celebrytka. – Fajnie, że ktoś inny się zgodził, ale nie widzę powodu do piętnowania kogoś, kto zgodzić się nie chciał! A gdyby chłopczyk chciał siedzieć tam, gdzie obsługa albo pilot, to też trzeba mu pozwolić? Bo on płacze... [...]. Uczenie młodych ludzi, że płaczem sterroryzują dorosłych, nie wydaje mi się dobrym rozwiązaniem – dodała. Brawo Blania! Nieironicznie. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, miło nam poinformować, iż do tego kraju wprost z Afryki dotarły już pierwsze osobobociany, które po 2023 r. ewidentnie rozpoznały w tym kraju miejsce do życia lepsze niż kiedyś i regularnie tu wracają, iżby okazać swoje przywiązanie do wartości demokratycznych i postępowych.

Of kors nie dziwimy się temu. W tym kraju mamy teraz wiosnę nie tylko kalendarzową, lecz także moralną i światopoglądową. To nie tylko krokusy w Dolinie Chochołowskiej, wierzby kwitnące baziarni i – 2 st. C nad ranem, a 17 w południe. To również wiosna w takim znaczeniu, iż nikt nas nie wyśle na przymusowe rekolekcje wielkopostne (przynajmniej na szczeblu państwowym, bo tu, w korpo, z Nowym to różnie być może) albo do wolontariatu w fabryce breloczków z papierem.

W ogóle to bociany to są naprawdę sigma osoboptaki. Widzieliśmy jednego i podziwialiśmy, jak stał taki smukły, dumny, nieco wyniosły i elegancki. Normalnie jakby zaraz miał zapostować na LinkedInie o tym, jak wylatał 10 tys. km, aby tu dotrzeć, i jak determinacja przekłada się na realizację celów w życiu zawodowym, a także prywatnym. A to wszystko z taką nonszalancją – zupełnie jak my, kiedy wchodzimy na porannego calla bez kamery.

Niestety, bociany nie uszły uwagi Nowego, który z kolei zachwycił się, jakie to patriotyczne ptaki, które wracają do ojczyzny, i prawie odśpiewał „Rotę” z radości, iż bociany zostały u nas, zamiast polecieć dalej – np. do Niemiec.



Bardzo niepokoi nas ten powszechny trend na chwalenie podnoszenia wydatków na obronność. W ogóle zwróćcie uwagę, jak bardzo tricky jest to pojęcie: mówimy „obronność”, a tak naprawdę mamy na myśli różnego rodzaju śmiertelne czołgi, drony, karabiny, rakietę, pistolety i inne urządzenia służące do atakowania innych osób, a nawet krajów.

Nikt już nie pamięta, jak za pisu organizowane były w sierpniu te megalomańskie parady wojskowe, z czołgami o wzniesionych lufach (symbolizujące toksyczną męskość), żołnierzami maszerującymi noga w nogę i tupiącymi ciężkimi butami o warszawski bruk. To wszystko oczywiście budziło niepokój i nadal budzi, jak najbardziej jest do obgadania podczas sesji terapeutycznych, wiadoma rzecz i nie musicie się jej wstydzić.

Zastanawia nas natomiast jedno – w jaki sposób możemy zatrzymać to szaleństwo polegające na ciągłym zwiększaniu wydatków na broń i czołgi. Czy na pewno Nielimitowany dostęp do broni wśród żołnierzy to jest dobry pomysł? Czy nie jest o nią zbyt łatwo?

Szkoda, iż pomimo że mamy już XXI w., to nie jesteśmy w stanie wyjść z myśleniem na temat obronności poza schematy wojenne, które narzucili nam jacyś starożytni myśliciele kultury wojny. Tymczasem odrobina więcej empatii i postępowego myślenia spowodowałaby, iż odważylibyśmy się patrzeć inaczej i inwestowali w szkolenia, panele dyskusyjne, techniki perswazyjne, może nawet jakieś performance'y artystyczne polegające na wyrażeniu i głośnym powiedzeniu „nie”. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Muszę uciekać

Sławek, a Ty musisz tak zawsze na tej hulajnodze uciekać?

Nie zawsze, Krzysztof. Wcześniej uciekałem pieszo.

Ale ostatnio na hulajnodze.

Tak. Ale mam to już rozpisane na najbliższe kilka tygodni. Po hulajnodze będą rolki, potem deskorolka, potem motocykl, potem paralotnia, na koniec łyżwy.

Ale jak łyżwy? Przecież wiosna za moment, lodu nie ma.

Wiem. Dlatego to właśnie będzie bardzo efektywne. I nikt się nie spodziewa.

Ja rozumiem. Ale czy Ty w ogóle musisz uciekać? Nie wiem, czy to tak dobrze wygląda...

Przepraszam, muszę uciekać.

Tylko narty założę. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Żoliborski inteligent zauroczony mięśniakiem z półświatka”.

WOJCIECH SADURSKI, prawnik, na platformie X o tym, dlaczego – jego zdaniem – Jarosław Kaczyński opowiedział się za kandydaturą Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich w Polsce

Jakoś nam się odechciało ostatnio żartować, gdyż tak się składa, że Panowie G. mieli okazję jeszcze przed laty poznać śp. Barbarę Skrzypek, znaną w szerszych kręgach jako pani Basia. W sprawie jej śmierci nie będziemy nic pisać, bo i tak wszystko jest jasne. My wiemy, wy wiecie. Oni też dobrze wiedzą, choć udają, że nie. Za cały nasz komentarz do działań bodnarowskiej prokuratury niech posłuży więc myśl ulotna Stanisława Jerzego Leca: „Kat występuje zazwyczaj w masce – sprawiedliwości”.

W Brukseli doszło do wiekopomnego spotkania – kandydat Karol Tadeusz Nawrocki spotkał się z premier Włoch Giorgią Meloni. Było miło. Niestety, spotkanie nie odbyło się w cztery oczy, tylko w sześć, bo brał w nim udział także Mateusz Morawiecki. Jeśli Karol Tadeusz chce się spotykać z liderami państw bez Morawieckiego, to nie ma innego wyjścia – musi zostać prezydentem.

Aby nikomu nie było smutno, zorganizowano w tejże Brukseli tegoż samego dnia lunch z udziałem kandydata Karola Tadeusza oraz europosłów PiS. Frekwencja była umiarkowana. To znaczy połowa europosłów przyszła, a druga połowa nie, gdyż była w tym czasie we włoskim Subiaco na spotkaniu modlitewnym organizowanym zresztą przez włoską część EKR. Co w sumie pochwalamy, bo ta kampania bez gorących modlitw raczej nie zostanie wygrana.

W podróży był też najdłuższy polski mecenas. Roman Giertych odwiedził Izrael, gdzie spotkał

się z premierem i prezydentem. Po co było to Giertychowi – wiemy. Po co Polsce – tego nie wiemy, biorąc pod uwagę ostatnie, dość wątpliwe zasługi Giertycha dla Polski. Mamy przy okazji dla Romana radę – kiedy już człek jedzie do najważniejszych ludzi w obcym państwie, wypadałoby zabrać ze sobą krawat.

Barwy kampanii. W sztabie kandydata Karola Tadeusza sporą irytację wywołał fakt przyjęcia przez prezydenta Andrzeja Sebastiana kandydata. Ale niewłaściwego, to znaczy Sławomira Jerzego Mentzena. A już do białej gorączki sztabowców

doprowadziły teksty o tym, jak to prezydentowi Andrzejowi Sebastianowi kampania Mentzena przypomina jego własną kampanię sprzed dekady. Jeśli tak, to mamy przy okazji podchwytliwe pytanie: Kto jest Beatą Szydło Sławomira Mentzena?

Gesty Andrzeja Sebastiana wobec kandydata Sławomira Jerzego sprawiły, że pojawiła się fala plotek na temat politycznej przyszłości aktualnego prezydenta. Miałby on mierzyć w fotel premiera rządu koalicyjnego jako jedyny, który pogodzi kompromisowo PiS i Konfederację, a kto wie, może

i doprosi Peezel. Mamy dla marzących o takim rozwiązaniu złą wiadomość – być może są w Polsce ludzie, którzy by się na to zgodzili. Ale na pewno nie nazywają się Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki.

Àpropos Morawieckiego. Wiewiórki z PiS opowiadają, że niektórzy jego zwolennicy na niższych szczeblach partii dokonali reorientacji i przeszli do frakcji Przemysław Czarnka. Nie tylko dlatego, że uważają go za bardziej prawdopodobnego przyszłego premiera. Głównie dlatego, że za Mateuszem ciągnie się opinia człowieka, który niespe-



FOT. ROBERT CARIZINSKI

cialnie dba o swoich żołnierzy. O pułkowników – owszem. Ale żołnierzy – już nie.

Pamiętacie, jak pisaliśmy, że nikt nie chce rozmawiać z Bogdanem Klichem, podającym się za ambasadora w Waszyngtonie? Otóż chodzi nie tylko o rozmowy, lecz także pisma. W związku z tym tylko część korespondencji prezydenta Andrzeja Sebastiana z Dobrym Donaldem z Białego Domu idzie przez protokół dyplomatyczny i ambasadę. Głównie sprawy dotyczące NATO. Pozostała część korespondencji jest dostarczana przez umyślnego. Zatem jej treść pozostaje nieznana ani Radkowi, ani jego siepaczom.

Znad Potomaku przenosimy się nad Szprewę. Tam też Polskę reprezentuje osobnik tylko podający się za ambasadora. Niejaki Tombiński. Cieszy się jednak lepszą opinią niż Klich. Stawił m.in. dzielny opór planom likwidacji oddziału Instytutu Pileckiego w Berlinie, do czego przymierza się szef centrali tej placówki, niejaki Krzysztof Ruchniewicz. Facet ów chodzi po mieście i joyczy, że mieszcząca się przy Bramie Brandenburskiej placówka to PiS-owska jacejka. Jej PiS-owskość ma polegać na tym, że szefową w Berlinie jest Hanna Radziejowska, której mama pracuje dla prezydenta Andrzeja Sebastiana. Tombiński jednak dostrzegł, że na odcinku historycznym Pilecki Instytut odwala kawał dobrej roboty. I z tego powodu z Ruchniewiczem wszedł w etap szorstkiej przyjaźni.

Jeszcze o sprawach mniej więcej zagranicznych. W siedzibie MSZ wielkie poruszenie. Otóż pracow-

nicy tego resortu zżymają się na obecnego dyrektora generalnego i j jednocześnie szefa służby zagranicznej Rafała Wiśniewskiego (nie mylić z byłym szefem NCK). Wprawdzie facet ma tylko jeden etat, ale jego wypłata jest mnożona przez obie funkcje, co sprawia podobno, że zarabia na poziomie członka zarządu jakiegoś banku. To zaś oznacza, że większość ludzi, którzy pilnują polskich ambasad, udając ambasadatorów, zarabia znacznie mniej. Sfrustrowani szemrzą przeciw Wiśniewskiemu. Ale po cichu, bo w odróżnieniu od prawowitych ambasadatorów można ich posunąć z placówki w ciągu paru minut.

Uwaga, walczymy z hejtem. Jak można atakować rząd za to, że cztery miesiące temu zapowiedział powołanie „międzyresortowego zespołu do spraw opracowania strategii dla państwowego sektora obronnego” i że mimo to nic nie robi? Przecież wiadomo, że w sprawach obronnych najważniejsze jest maskowanie, tak żeby cię wróg nie dostrzegł. Domyślamy się więc, że zespół działa w najlepsze, ale bardzo dobrze ukryty. Wy też tak podejrzewacie, prawda?

Ludzie różnie reagują na różne informacje. Na przykład minister finansów Andrzej Domański. Kiedy usłyszał o sondażu IBRIS dla „Rzeczy”, w którym 57,5 proc. Polaków oświadczyło, że żyje im się gorzej niż przed rokiem, odpowiedział w Rymana, że traktuje te badania „jako taki bodziec do dalszej pracy”. Słusznie. Jak się rząd przyłoży do dalszej pracy, to za rok tę odpowiedź wybierze może 70, a może i 90 proc. Polaków!

Jeszcze o badaniach, którymi mierzy się różne związane z gospodarką rzeczy. Może i nastroje Polaków się pogarszają, ale za to przemysł produkuje mniej! Dzielimy się tą wspianą wiadomością ze wszystkimi, którzy tak jak my uważają, że im mniej nowych gratów, tym mniej kłopotów. Rządowi gratulujemy – prowadzi nas prostą drogą do sytuacji, w której nie będzie żadnych nowych gratów.

Na koniec wracamy w okolice resortu sprawiedliwości. Otóż nasz ulubiony Rzeźnik Praw Obywatelskich vel minister Bodnar wydał wytyczne, jak prokuratorzy mają się zwracać do... ehem, sami zaraz zobaczycie. „Zwracając się do osób transpłciowych i niebinarnych, należy używać tych imion, zaimków i form

osobowych czasowników, które wskażą one jako preferowane i niepowodujące u nich dyskomfortu” – czytamy w wytycznych. Szczerze powiedziawszy, jesteśmy oburzeni tym średniowieczem. Wytyczne nie obejmują bowiem osób identyfikujących się np. jako lwy albo żółwie.

Gdyby ktoś wątpił w istnienie osób identyfikujących się jako żółwie, to polecamy nagłówek ze strony FoxNews sprzed paru dni: „Oregon mental health advisory board includes member who identifies as a turtle”. Jak rozumiemy, szczególne wytyczne, jak zwracać się do osób identyfikujących się jako PiS-owcy, nie są potrzebne. Wszyscy w prokuraturze wiedzą, że zaczynać należy od „Hände hoch!”. ©©

NEKROLOG

*Z wielkim bólem przyjąłem wiadomość
o nagłej śmierci Pani Dyrektora*

Barbary Skrzypek

*osoby, która uosabiała najwyższe standardy uczciwości,
wrażliwości, serdeczności
i pełnego oddania służbie polskiemu państwu.
Odeszła nagle, psychicznie gnębiona przez obecną władzę.*

*Pani Basiu, będzie nam Pani ogromnie brakowało.
Na zawsze pozostanie Pani w naszej pamięci jako osoba
wielkiego serca i ofiarnej służby – dowodząca, że świat
polityki może mieć najjaśniejsze, najbardziej szlachetne
barwy i że polityka naprawdę może w pełni służyć
Ojczyźnie oraz zwykłym ludziom.*

*Nigdy nie zapomnimy Pani mrówczej pracy,
rzetelności i wierności zasadom.*

*W tych trudnych chwilach łączę się w szczerym
i głębokim smutku z Rodziną oraz Bliskimi Zmarłej.*

Mateusz Morawiecki





ASTRONAUCI WRESZCIE WRÓCILI NA ZIEMIĘ

Amerykańscy astronauta, Sunita „Sun” Williams i Barry „Butch” Wilmore, mieli być w Kosmosie osiem dni. Wyciek helu i awarie silników sprawiły jednak, że data powrotu mocno się przesunęła. Parze astronautów z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) udało się bowiem wrócić na Ziemię dopiero po... 286 dniach.

Kapsuła Dragon firmy SpaceX wodowała u wybrzeży Florydy w ubiegły wtorek. Podróż na Ziemię zajęła astronautom 17 godzin. Rodziła planeta przygotowała im jednak niezwykle niespodziankę powitalną: tuż po wodowaniu wokół kapsuły zaczęły krążyć delfiny.

Przed powrotem do domów astronauta muszą jeszcze przejść serię badań lekarskich w centrum NASA. Wiadomo, że kosmiczne warunki mocno wpłynęły na ich zdrowie. Po wylądowaniu astronauta mieli tak bardzo osłabione mięśnie nóg, że nie byli w stanie stanąć o własnych siłach. Z tego powodu musieli być przenieszeni na noszach przez ekipę ratunkową. Aby wrócić do normalnego funkcjonowania na Ziemi, będą zaś musieli od nowa nauczyć się chodzić. A to tylko jeden z potencjalnych problemów medycznych związanych z długim przebywaniem w kosmicznych warunkach.

Nowa amerykańska administracja planuje już dużo dalsze podróże niż tylko na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Celem astronautów w najbliższych latach mają być Księżyc oraz Mars. **(jap)** © ©

FOT. NASA/REUTERS/EPHRAIM

O pisanie polskiej debaty o geopolitycznym przewartościowaniu w drugiej połowie marca 2025 r. jest zadaniem tytanicznym. Nie dlatego, że nie wyklarowały się jeszcze okoliczności zewnętrzne (choć to także odgrywa pewną rolę), ale dlatego, że polską debatą w tej sprawie rządzą rozhisteryzowanie, infantylne podejście do sytuacji, niedojrzałość, podporządkowanie kliszom i myślenie życzeniowe. To ostatnie przejawia się w skupieniu się na tym, jak powinno być, a nie na tym, co jest oraz co realnie można w danej sprawie osiągnąć.

Miałem niedawno okazję uczestniczyć w ciekawym spotkaniu z grupą młodych ukraińskich dziennikarzy, zorganizowanym przez Centrum im. Mieroszewskiego. Jak to jednak często bywa, spór podzielił raczej obecnych na sali Polaków niż Polaków z Ukraińcami. W pewnym momencie uczestnicząca w spotkaniu Ołena Babkova, mieszkająca od lat w Polsce ukraińska dziennikarka, celnie zauważyła, że Ukraińcy mogliby wyjść, a Polacy dalej by się ze sobą spierali.

Dwoje polskich uczestników „okrągłego stołu” – Tomasz Terlikowski z Radia RMF i Estera Flieger z „Rzeczpospolitej” – było żywą egzemplifikacją dramatycznego poziomu polskiej dyskusji. Ich wypowiedzi składały się głównie z solidnej porcji jazdy obowiązkowej – wychwalanie walczącej Ukrainy i zapewnień, że musi się ona „obronić” – oraz potępiania tych, którzy starają się prezentować bardziej realistyczny obraz sytuacji. Prowadząca spotkanie szefowa działu zagranicznego PAP, Justyna Prus, przedstawiła na zasadzie dogmatu, jako negatywny punkt odniesienia, opinię „pewnego polityka” (wobec dużej zbieżności retoryki w sprawie Ukrainy wśród głównych kandydatów na prezydenta trudno stwierdzić, kogo miała na myśli), że walki powinny się jak najszybciej zakończyć, Polska nie powinna wysyłać na Ukrainę swoich żołnierzy oraz powinna zakończyć bezwarunkowe przekazywanie pomocy. Brzmiało to tak, jakby w „kulturalnym towarzystwie” nie wypadało się nawet warunkowo podpisywać pod tymi stwierdzeniami.

CO MÓWIĄ SONDAŻE?

Przykładem manipulacji, a zarazem głębokiej intelektualnej słabości, był przytaczany przez redaktor Flieger niedawny



Tropiciele „ruskich onuc”



Łukasz Warzecha

Pożyteczni idioci z szeroko i umownie pojętej prawej strony pracują dziś na rzecz europejskich centralistów. Realizacja przez Białą Dom celów polityki Trumpa zaczęła bowiem być wykorzystywana przez europejski mainstream jako nowy silnik napędowy mający popychać integrację w jej najgorszym wydaniu naprzód. Wszyscy, którzy się temu sprzeciwiają, trafiają do zużytego politycznie worka z napisem „ruskie onuce”

W latach 2022–2023 Stanisław Żaryn był pełnomocnikiem rządu do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP. Obecnie sprawuje funkcję doradcy Prezydenta RP

FOT. WOJCIECH OLSZNIK/EAST NEWS

ju, w jakim stopniu wspierałbyś wysłanie wojsk twojego kraju w charakterze sił pokojowych na Ukrainę?”. Negatywne odpowiedzi ze strony polskich respondentów biją na głowę wszystkie pozostałe kraje. W sumie przeciwko takiemu rozwiązaniu opowiedziało się aż 62 proc. pytanym (w tym 35 proc. wybrało odpowiedź „zdecydowanie nie”), jedynie 27 proc. było za.

Inne aktualne sondaże, przeprowadzane wyłącznie w Polsce, pokazują rezultaty znacznie mniej korzystne dla zwolenników wspierania Ukrainy. Na przykład sondaż Pollsteru dla „Super Expressu” – w którym, przyznać trzeba, zadano również ogólne pytanie o „wspieranie Ukrainy” – daje wyniki właściwie odwrotne wobec tych z badania More in Common. 37 proc. jest za utrzymaniem obecnego poziomu pomocy dla Ukrainy, 31 proc. chce jej ograniczenia, aż 13 proc. uważa zaś, że należy całkowicie zaprzestać wsparcia – w sumie mówimy więc o 44 proc. badanych.

Inny aktualny sondaż – tym razem dla Wirtualnej Polski – mówi jednoznacznie o tym, jak Polacy oceniają ewentualny pokój okupiony utratą ukraińskiego terytorium. Zaledwie 24,6 proc. popiera walkę „do końca”, czyli do odzyskania całości utraconych ziem. 39,6 proc. stwierdza, że Ukraina powinna zgodzić się na częściowe ustępstwa, a 21,8 proc. opowiada się za całkowitą rezygnacją z utraconych regionów. W sumie zatem zwolenników kompromisu lub ustępstw wobec Rosji jest wyraźnie więcej: ponad 61 proc.!

Co ciekawe, nawet w grupie, która gorące wsparcie dla Ukrainy kupuje w pakiecie swoich poglądów politycznych, czyli wśród wyborców partii tworzących koalicję rządzącą, minimalną przewagę mają zsumowani zwolennicy ustępstw: 43 proc. wobec 42 proc.

Te sondażowe notowania są problemem nie tylko – a nawet nie przede wszystkim – dla środowiska, które tak jak politycy koalicji rządzącej czy jej wyborcy wyznaje maksymalną proukraińskość w pakiecie poglądów. Zresztą gdy idzie o polityków koalicji, to muszą ten akurat aspekt swojego pakietu światopoglądowego wyłagodzić, właśnie ze względu na sondaże. Przede wszystkim natomiast cierpi z powodu zmiany nastawienia opinii publicznej, a także z powodu polityki Donalda Trumpa grupa, na której opisanie

trzeba poświęcić więcej miejsca, wracając do pierwszych dwóch lat wojny.

DO JEDNEJ BRAMKI

Szeroko rozumiane środowisko PiS – w tym mniej lub bardziej luźno powiązani z tą partią komentatorzy – miało w owym czasie dość prostą sytuację: wszystkie odłamy tej drużyny grały do jednej bramki. Istniała zatem idealna symbioza pomiędzy wypełniającymi swoje polityczne zadania urzędowymi łowcami ruskich trolli a zapatrzonymi w Ukrainę publicystami i komentatorami, dla których naczelnym wektorem w widzeniu rzeczywistości międzynarodowej jest antyrosyjskość. PiS – do momentu, gdy zaczął nad nim wisieć miecz spadających sondaży i zniecierpliwienia opinii publicznej – bronił swojej polityki wspierania Ukrainy bezwarunkowo w każdy możliwy sposób. Politycy tej partii ignorowali rozbieżności ideologiczne z amerykańskimi demokratami i pouczenia ambasadora Brzezinskiego na temat należytego traktowania mniejszości seksualnych, a prezydent Joe Biden ze stetryczanego dziadunia, lekceważąco opisywanego w mediach społeczno-wych przez Dominika Tarczyńskiego, stał się nagle, niemal z dnia na dzień, wielkim mężem stanu i najwspanialszym przyjacielem narodów ukraińskiego i polskiego.

Do walki z zakłócającymi tę narrację zostali wydelegowani „specjaliści”. W szczególności widoczne były na tym froncie dwie osoby: Stanisław Żaryn, pełniący funkcję o długiej nazwie „Pełnomocnik Rządu do spraw Bezpieczeństwa Przestrzeni Informacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej”, oraz wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabloński. Z oboma panami mieliśmy wielokrotnie do czynienia jako redakcją „Do Rzeczy”, a także miał z nimi do czynienia autor tego tekstu. Obaj standardowo kwalifikowali każdy głos krytyczny wobec polskiej polityki względem Ukrainy jako „powielający rosyjską narrację”. Czasami posuwali się nawet jeszcze dalej – Paweł Jabloński nazwał mnie np. wprost „prorosyjskim dziennikarzem” (każdy, kto zna moją opinię na temat Putinowskiej Rosji, wie, że to brednia).

Stanisław Żaryn publikował w ramach „alertów dezinformacyjnych” bełkotliwe „analizy”, których jedynym celem była walka z każdym sceptycznym głosem. Oto próbka: „Wzrasta poziom

międzynarodowy sondaż More in Common dotyczący pomocy dla Ukrainy. 65 proc. Polaków opowiedziało się w nim za tym, żeby naszemu sąsiadowi nadal pomagać nawet bez udziału USA (18 proc. było przeciwko, 17 proc. nie miało zdania). Problem w tym, że w badaniu nie sprecyzowano, jaka miałaby to być pomoc. Ogólna kategoria „pomocy Ukrainie” nic nam nie mówi, szczególnie w przypadku Polski, która wydała już na ten cel – według Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej – ponad 140 mld zł, w tym ponad 120 mld na uchodźców. Czym innym jest wsparcie dyplomatyczne, czym innym wysyłanie Ukrainie sprzętu wojskowego, a czymś całkiem innym wysłanie tam polskich wojsk. Uważa lektura całości badania instytutu More in Common nie pozostawia zresztą wątpliwości, że było ono przeprowadzane z tezą, a zadawane pytania miały dowieść, iż większość respondentów w pięciu krajach (poza Polską były to Niemcy, Wielka Brytania, Francja i Stany Zjednoczone) jest przychylna Ukrainie.

Jedno pytanie z badania More in Common zwraca szczególną uwagę, dotyczyło bowiem konkretnie: „W razie zawarcia poko-

■ przenikania do debaty w Polsce tez współbrzmiających z rosyjską propagandą. Identyfikowane działania informacyjne mogą rzutować negatywnie na bezpieczeństwo przestrzeni informacyjnej RP oraz bezpieczeństwo PL. W ostatnich dniach w mediach pojawiły się wypowiedzi, które sugerują, że Polska nie powinna angażować się w działania na rzecz Ukrainy, Polacy mieli interes w wysadzeniu Nord Stream, Polska rozważała atak na Ukrainę, RP nie powinna być częścią NATO. Wskazany przekaz informacyjny legitymizuje kłamstwa Rosji oraz wzmaga tezy kolportowane w ramach walki informacyjnej przeciwko RP. Wypowiedzi polskich komentatorów i polityków wpisujące się w działania rosyjskiej propagandy stanowią dodatkową korzyść dla agresora. To elukubracje obecnego doradcy prezydenta RP ze stycznia 2023 r., zilustrowane zostały zdjęciem m.in. redaktora naczelnego „Do Rzeczy”, Pawła Lisickiego. Zaledwie kilka miesięcy później, gdy nasilała się kampania wyborcza, Żaryn nagle ucichł.

Z kolei Paweł Jabłoński jeszcze w maju 2023 r. w Radiu Zet, w programie Bogdana Rymanowskiego, zapytany, czy Polska nie powinna za swoją pomoc oczekiwać od Ukrainy jakichś koncesji, oznajmił: „To nie byłaby polityka interesów, tylko to byłaby polityka wprost transakcyjna. To byłoby kupczenie różnego rodzaju elementami w taki sposób, jeśli byśmy mówili wprost, że damy wam czołgi, żebyście się przed Rosją bronili, ale w zamian macie zrobić to i to, i to. To oczywiście brzmi bardzo efektownie i na pewno znajdują się tacy publicyści, którzy cały czas atakują rząd za pomoc Ukrainie, którzy powiedzą, że tak właśnie należało zrobić, i jakbyśmy tak zrobili, to z pewnością Ukraina by się na wszystko zgodziła. Otóż to tak nie działa. Polityka międzynarodowa nie opiera się na transakcji”.

Ta wypowiedź jest szczególnie groteskowa w obecnym kontekście. Jabłoński nie powinien przecież właściwie w ogóle wychodzić ze studiów radiowych i telewizyjnych, przez okrągłą dobę krytykując Donalda Trumpa. A jednak jego wypowiedzi na temat uprawianej przez amerykańskiego prezydenta polityki brutalnie wręcz transakcyjnej jakoś nie słychać.

Takich stwierdzeń polityków obozu PiS – do którego to grona trzeba zaliczyć

Do tropienia „ruskich onuc” zostali wydelegowani przez PiS „specjaliści”: Stanisław Żaryn, pełnomocnik rządu do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej, oraz wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński

również pana prezydenta Dudę, którego entuzjastycznie proukraińska narracja trwała chyba najdłużej (w końcu nie musiał walczyć o reelekcję) – wspierały proukraińskie wywody publicystów powiązanych z „Gazetą Polską”, Telewizją Republika czy tygodnikiem „Sieci”.

TRUMP, UNIA I POŻYTECZNI IDIOCI

Wszystkie te środowiska znalazły się w kłopotcie, gdy do władzy doszedł entuzjastycznie przez nich witany Donald Trump, prowadzący brutalną politykę według zasady „America first”. Przy czym politycy PiS zrobili to, co jest dla polityka w takich sytuacjach reakcją naturalną: zaczęli udawać, że nigdy nie mówili tego, co mówili. Rosyjską dezinformację śledził jakiś inny Żaryn, a jakiś inny Jabłoński (w końcu Jabłońskich mamy w Polsce wielu) potępiał politykę transakcyjną. Tak jak niegdyś PiS zmienił błyskawicznie swoje nastawienie wobec prezydenta Bidena, tak teraz błyskawicznie zarzucił swój skrajnie proukraiński ton.

Amerykański prezydent – uwaga, zaskoczenie! – może nie przejmować się tym, w jak kłopotliwej sytuacji postawił partię rządzącą przez osiem lat w Polsce. Choć właściwie to ona sama się w tej sytuacji postawiła za sprawą tępej proukraińskości, pozbawionej niuansów i rzeźbionej cepem.

I oto tutaj na scenę wkracza zastęp publicystycznych pożytecznych idiotów.

Aby zrozumieć w pełni rolę tej grupy komentatorów, trzeba szeroko zarysować kontekst. Przypomnijmy, że termin „poлезny idiot” odnosi się do konkretnych okoliczności historycznych. Posługiwał się nim Lenin, opisując tych zachodnich dziennikarzy i intelektualistów, którzy z naiwności lub głupoty – w każdym razie bez profitów materialnych – wypowiadali się przychylnie o rewolucji bolszewickiej i Rosji sowieckiej, lekceważąc jej totalitarny charakter czy ekonomiczną niewydolność.

Pożyteczni idioci zdarzają się również w świecie współczesnym, a dzisiaj ci z szeroko i umownie pojętej prawej strony pracują na rzecz europejskich centralistów. Realizacja przez Białe Domy celów polityki Trumpa zaczęła bowiem być wykorzystywana przez europejski mainstream jako nowy silnik napędowy mający popychać integrację w jej najgorszym wydaniu naprzód. To uboczny skutek Trumpowskiej polityki, który najprawdopodobniej jest przez Waszyngton dostrzegany, ale na obecnym etapie przebudowy geopolitycznego ładu nie jest uznawany za szczególnie istotny. Polska obrywa tu niejako rykoszetem, jak to w stosunkach międzynarodowych bywa.

Wobec wypalenia się i spadku popularyzacji opowieści o „płonącej planecie”, której uratowanie wymaga poniesienia idących w biliony euro kosztów, obciążających zwykłych obywateli UE, nowa wojenna narracja przychodzi w samą porę. Nic dziwnego, że została ochoczo podjęta przez dwa najsilniejsze państwa Unii: Francję i Niemcy. Ich sytuacja jest odmienna: Francja ma dobrze funkcjonujący przemysł obronny, może być zatem głównym beneficjentem programu „dobrajania” Europy. Niemcy tkwią chwilowo w politycznym zamieszaniu, choć rzutem na taśmę w kończącym swoją kadencję Bundestagu udało się przepchnąć głosami CDU/CSU, SPD i Zielonych (którzy za swoje głosy dostali łapówkę w postaci obietnicy wsparcia kolejnych zielonych szaleństw) zmianę niemieckiej konstytucji, likwidującą tzw. kotwicę budżetową dla wydatków zbrojeniowych – a Bundeswehra jest faktycznie permanentnie niedoinwestowana. Według polityków, którzy za moment przejmą władzę, pozwoli to wydać Niemcom na zbrojenia nawet bilion euro.

Są to jednak wciąż czysto hipotetyczne sumy, podobnie jak ogromna większość z zapowiedzianych przez Ursulę von der Leyen 800 mld euro, które mają zostać wydane na zbrojenie krajów UE w ramach

programu ReArm Europe. Aż 650 mld euro z tej sumy to pieniądze wirtualne, które miałyby się pojawić, gdyby wszystkie państwa członkowskie, w następstwie poluzowania zasad nadmiernego deficytu dla wydatków zbrojeniowych, zwiększyły te właśnie wydatki o 1,5 proc. PKB.

Ważniejsze jednak jest pozostałe 150 mld wspólnej pożyczki, która ma zostać wydana pod kontrolą Komisji Europejskiej na wspólne zakupy najpewniej jedynie w europejskiej zbrojeniówce (czytaj: francuskiej, włoskiej, niemieckiej, szwedzkiej, niemal na pewno nie polskiej). To drugi potężny wspólny dług po tym finansującym Next Generation EU, czyli KPO. Nie tylko będzie to okazja dla lobbystów firm zbrojeniowych, lecz także coś znacznie większego – zaczyna się już mówić o „hamiltonowskim momencie Europy”. Jest to nawiązanie do sfederalizowania w 1790 r. długu amerykańskich stanów (pod przywództwem ówczesnego sekretarza skarbu Alexandra Hamiltona), które zaciągnęły go w trakcie wojny o niepodległość. Federalizacja długu spoiła je być może silniej niż wspólny cel polityczny, a eurocentraliści mają nadzieję, że to samo stanie się w UE.

Jeśli spojrzeć do uchwalonej w Parlamencie Europejskim rezolucji z 12 marca, dotyczącej białej księgi obronności, zobaczymy tam przede wszystkim ledwo skrywaną niechęć, a nawet agresję wobec USA oraz momentami groteskową, wręcz europejską megalomanię. Jest też wezwanie do regularnego przeznaczania 0,25 PKB państw członkowskich na pomoc dla Ukrainy, do zniesienia weta w sprawach obronności oraz do „rozwoju w pełni zdolnego do działania europejskiego filaru NATO, który byłby w stanie działać autonomicznie, gdy zajdzie taka potrzeba”. Wbrew narracji Koalicji Obywatelskiej Tarcza Wschód to w tym dokumencie tylko kilka słów bez większego znaczenia. Rezolucję poparli wszyscy przedstawiciele koalicji rządzącej.

CHCIEĆ A MÓĆ

Wróćmy do pożytecznych idiotów z szeroko rozumianej prawicy. Stworzyli oni w ostatnim czasie – to moje autorskie określenie – nurt publicystyki histerycznej, konstruując piętrowe i przesyczone właśnie histerią teorie na podstawie pojedynczych działań czy wypowiedzi przedstawicieli

amerykańskiej administracji. To przejaw bardzo charakterystycznego dla polskiej dyskusji brania słów za fakty oraz błędu polegającego na nieodróżnianiu ukrytej strategii od szumu informacyjnego będącego jej częścią. Wiele bowiem wskazuje na to, że otoczenie Trumpa mniej lub bardziej świadomie nawiązuje do „doktryny szaleńca”, czyli sposobu prowadzenia polityki przez administrację Richarda Nixona, opartego na przekonywaniu przeciwników USA o nieprzewidywalności amerykańskiego prezydenta, co miało utrudnić im planowanie działań i odpowiadanie na ruchy Waszyngtonu. Pożyteczni idioci zachowują się jak modelowy adresat takiego podejścia: w oszołomieniu wyciągają jak najdalej idące wnioski z czegoś, co może być jedynie „wabiami” – by sięgnąć do militarnej nomenklatury.

Autorzy czy komentatorzy tacy jak Piotr Skwieceński, Wojciech Stanisławski, Piotr Zaremba, Marcin Kędzierski, Agnieszka Romaszewska-Guzy wysmażają w radykalnie antytrumpowskich gazetach (jak „Rzeczpospolita”), które oczywiście przygarniają ich na łamy jak najchętniej (pod hasłem: „Nawet prawica krytykuje Trumpa”), czy mediach społecz-

publicznej wobec bezwarunkowej pomocy dla Ukrainy.

Rozkład motywacji tych autorów jest w każdym wypadku nieco odmienny. Dla przykładu: Zaremba obsesyjnie nie cierpi realistycznego nurtu polityki, który kojarzy z dziedzictwem polskiej endecji, również przez niego znienawidzonej. Skwieceński nie umie wyjść poza swoje antyrosyjskie obsesje. Stanisławski epatuje proukraińskim sentymentalizmem. Kędzierski najzwyczajniej nie rozumie polityki międzynarodowej (jest doktorem ekonomii). Jednak wspólnym mianownikiem tej grupy jest granie roli, którą establishment wyznaczył jej w spektaklu zatytułowanym „Zrywamy z Ameryką złego Trumpa, stawiamy na Unię”. Konsekwencje dla Polski mogą być dramatyczne, a najbliższą z nich może być wykorzystanie rosyjskiego pretekstu dla podważenia wyniku wyborów prezydenckich w Polsce. Nie bez powodu przecież marszałek Hołownia publicznie kłamie, mówiąc o pompowaniu Călina Georgescu „ruskimi pieniędzmi”, podczas gdy wiadomo już od stycznia, że kampania tiktokowa tego kandydata była niejako przypadkowym efektem działań rumuńskiej Partii Narodowo-Liberalnej, części Europejskiej

Pożyteczni idioci stworzyli w ostatnim czasie – to moje autorskie określenie – nurt publicystyki histerycznej, konstruując piętrowe i przesyczone właśnie histerią teorie na podstawie pojedynczych działań czy wypowiedzi przedstawicieli amerykańskiej administracji

nościowych groteskowe wręcz w swojej stanowczości analizy. I tak np. dr Kędzierski oznajmia, że NATO się właściwie skończyło, Piotr Skwieceński ignoruje sondaże czy dane o wpływach podatkowych od Ukraińców i oznajmia, że zmiana stosunku Polaków do uchodźców jest jedynie skutkiem nieracjonalnych uprzedzeń i efektem czysto psychologicznym, Romaszewska-Guzy snuje zaś sentymentalne elukubracje o tym, że „znaczna część Polaków w ramach plemiennej wojny wyrzeka się podstawowych wartości, które stanowią o polskiej tożsamości i specyfice – a mianowicie solidarności, szacunku dla odwagi i poświęcenia – i zajmuje się deptaniem słabszego”, odnosząc się w ten sposób do narastającego sprzeciwu opinii

Partii Ludowej – tej samej, do której należy Platforma Obywatelska.

Na koniec pojawia się pytanie: Co zatem robić zamiast szkodliwego, a przede wszystkim bezproduktywnego narzekania na Trumpa? Odpowiedź nie jest równie efektowna co dęte wizje europejskiej potęgi obronnej: przede wszystkim zając się zdefiniowaniem celów Polski w ramach naszych niestety skromnych możliwości. Z pewnością nie leży wśród nich odwracanie strategii USA z drogi przechodzenia od hegemonii do świata wielu biegunów ani też zarabianie na przymusowym wspólnym europejskim długu. Najpierw ustalmy, czego chcemy i co możemy faktycznie osiągnąć. Tylko tyle i aż tyle.

Sprawa Barbary Skrzypek, czyli walec połączonych sił



FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM



Piotr Semka

Mimo intuicji wielu Polaków mówiącej, że stężenie nienawiści wobec opozycji przełożyło się na śmierć Barbary Skrzypek, z całej sprawy ekipa Tuska wychodzi stosunkowo niewielkim kosztem. Zwolennicy dalszych rozliczeń mogą się wręcz upewnić o swojej bezkarności i wpływach

W wielu demokratycznych państwach, w których politycy, media i opinia publiczna wyczuleni są na relacje państwo – obywatel, śmierć na zawał serca przestuchiwanego najbliższego współpracownika lidera opozycji byłaby tematem szerokiej debaty o sposobie działania prokuratury i jej politycznej niezależności. W Polsce

taki wypadek stał się dla ekipy Donalda Tuska okazją do zwarcia szeregów i rzucania pogroźek pod adresem wszystkich zadających pytania o polityczną stronniczość prokuratury.

Warto prześledzić, jak obóz rządowy rozegrał sprawę śmierci Barbary Skrzypek – tak aby wydobyć się z politycznych kłopotów. Kto w ostatnich dniach był

sojuszniakiem władzy w tym zadaniu? Jak rozkładano tony w kampanii wyciszenia sprawy?

MANEWR PIERWSZY: „BARBARA SKRZYPEK OBCIĄŻAŁA KACZYŃSKIEGO”

O śmierci byłej sekretarki lidera PiS Telewizja Republika poinformowała w sobotę 15 marca po południu. Już tego dnia o godz. 21.28 Roman Giertych tweetował: „Śp. Barbara Skrzypek zeznawała w tym tygodniu w sprawie dwóch wież. Jej zeznania pozwoliły na przygotowanie zawiadomienia odnoszącego się do fałszowania dokumentów w tej sprawie. Powiedziała prawdę”. W kolejnym tweecie z tego samego dnia, z godz. 22.37, pisał: „Pani Barbara Skrzypek miała w tej sprawie dużo do powiedzenia. Bardzo dużo.

I nie dziwię się, że Jarosław Kaczyński chce to teraz umniejszać. Chwilę potem, o godz. 23.12, Giertych pisał: „Zadaję mu publicznie pytanie: czy rozmawiał z Barbarą Skrzypek po przesłuchaniu? Czy powiedziała mu o treści swoich zeznań?”.

Tweety Giertycha były swego rodzaju sygnałem do niezwykle rozbudowanej aktywności farm trolli spod znaku „Soku z buraka” i Silnych Razem. Tam już wprost sugerowano, że za śmierć Barbary Skrzypek odpowiedzialny jest Kaczyński. „Rozmowy z Jarosławem K. mogą być szkodliwe dla zdrowia i życia” – głosił jeden z hejterów. Uderzająca była ogromna mobilizacja w sieci obozu zwolenników Platformy. Autor tego tekstu sam zaznał tej zdumiewającej mobilizacji – pod moim tweetem o Barbarze Skrzypek naliczyłem ponad 250 nienawistnych insynuacyjnych wpisów.

Linia propagandowa o Barbarze Skrzypek jako kimś, kto „sypał”, była tak silna, że postanowił ją potwierdzić dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Czuchnowski. Już 16 marca, czyli dzień po ogłoszeniu śmierci Barbary Skrzypek, pochwalił się on, że uzyskał dostęp do jej zeznań, dodając, że swoje odkrycia potwierdził w kilku źródłach. Twierdził on, że była dyrektorka biura prezesa PiS miała zeznać, iż nie podpisywała Kaczyńskiemu pełnomocnictwa na udział w zgromadzeniu współników spółki Srebrna. Gdy potem ogłoszono treść protokołu z przesłuchania, okazało się to nieprawdą. A jednak Czuchnowski uznał za stosowne, aby pod swoim nazwiskiem ogłosić te rewelacje. Dlaczego to zrobił? Można odnieść wrażenie, że ktoś sterujący kampanią odwrócenia narracji o śmierci Barbary Skrzypek uznał, że legenda o „sypiającej Skrzypek” jest priorytetem.

I można stwierdzić, że ta taktyka okazała się skuteczna. Nagłaśniały ją takie postacie, jak np. żona Czuchnowskiego, tłumaczka Magda Fitas-Czuchnowska, która tweetowała: „Pani Basia podobno była urocza. Szczujnia jednak nie zawodzi. Jej oskarżenie, że Ewa Wrzosek zabiła panią Basię, jest tak samo uprawnione, jak gdybyśmy napisali, że została zabita przez ludzi prezesa, żeby się na kolejnym przesłuchaniu nie rozpruła”.

W ślad za nią podążył mec. Ryszard Kalisz, który w programie „Express

Biedrzyckiej” na kanale „Super Expressu” dywagował tak: „Jak znam życie, i to życie adwokackie i życie – nazwijmy to – mentalne świadków, jak wiadomo już dzisiaj, bo sam to przyznał Jarosław Kaczyński, że ona się z nim spotkała, pani Barbara Skrzypek. I kiedy powiedziała, co zeznała, to wtedy Jarosław Kaczyński uzmysłowił jej, co powiedziała. I że powiedziała przeciwko niemu. W związku z tym on [tj. Kaczyński – przyp. P.S.] już dzisiaj czy wczoraj mówił o tym, że ten protokół jest sfałszowany. A pewnie, znając emocje, bo wszyscy Polacy znają stan emocjonalny Kaczyńskiego, on jej coś na ten temat powiedział”. Bardzo charakterystyczne było, jak były polityk SLD zadbał o to, by swoje insynuacje ubrać w asekuracyjny kostium: „Ja nie wyciągam z tego żadnych wniosków. Ja tylko mówię o moich przypuszczeniach wynikających z mojego doświadczenia”.

W lansowanie insynuacji wobec Kaczyńskiego włączył się też Janusz Korwin-Mikke. Na X pisał: „Śp. Barbara Skrzypek zmarła po rozmowie z W.Sz. Jarosławem Kaczyńskim [...]. Czy można by ujawnić treść tej rozmowy?”. Tweet Korwin-Mikkego był absurdalny, bo przecież rozmowa Kaczyńskiego z Barbarą Skrzypek była prywatną rozmową. Ale wpis JKM doskonale wpisywał się w stworzenie medialnego szumu i dezorientacji bardzo wygodnej dla władzy w ciągu pierwszych 48 godzin po ujawnieniu faktu śmierci byłej dyrektorki biura prezesa PiS.

Wyciągnąć można z tego wniosek, że dla ekipy Platformy najbardziej trudny był okres tuż po ujawnieniu faktu śmierci Barbary Skrzypek. W tej pierwszej fazie opłaca się nagłaśnianie nawet najbardziej wątpliwych teorii – osłabiało to narzucającą się interpretację, że Barbara Skrzypek została po prostu zaszczuta wskutek brutalnego przesłuchania.

MANEWR DRUGI:

„PRZESŁUCHANIE BYŁO W SUMIE MIŁE I SYMPATYCZNE”

Kolejnym założeniem, które szeroko rozumiany obóz wspierający działania prokuratury nagłaśniał od momentu pojawienia się informacji o śmierci Barbary Skrzypek, było lansowanie tezy, że w trakcie przesłuchania panowała miła i spokojna atmosfera. I znów Roman Giertych tweetował 17 marca o godz.

14.10: „Okoliczność nagłego zgonu Barbary Skrzypek musi być pilnie wyjaśniona przez prokuraturę. Była bardzo cennym świadkiem w sprawie dwóch wień. Wbrew tezie J. Kaczyńskiego podczas przesłuchania, w trakcie przerwy, kiedy miło rozmawiała z pełnomocnikami pokrzywdzonego, oraz po przesłuchaniu wyglądała według relacji zdrowo i nawet wesoło”. To samo podkreślała prokurator Ewa Wrzosek, która również komplementowała szefową gabinetu Kaczyńskiego i wspominała o spokojnej atmosferze zeznań. Dla udowodnienia, że w trakcie przesłuchania nic złego się nie zdarzyło, niektóre media używały nawet języka sugerującego sensację. I tak oto portal Goniec.pl tak tytułował notatkę na temat okoliczności przesłuchania: „Był obecny podczas przesłuchania Barbary Skrzypek. Teraz przerywa milczenie”.

Tytuł został wymodelowany tak, jakby redakcja dotarła do jakiejś dodatkowej osoby, która może rozstrzygnąć, że w trakcie przesłuchania wywierano psychiczną presję na Barbarę Skrzypek czy też tak nie było. Tymczasem ta notatka to po prostu wypowiedź mecenas Jacka Dubois, który uczestniczył w przesłuchaniu obok Ewy Wrzosek, obok przedstawiciela kancelarii Giertycha Krystiana Lasika. Wszyscy wymienieni to uznani od lat przeciwnicy Jarosława Kaczyńskiego i jedyni świadkowie tego, co działo się na przesłuchaniu. Treść przesłuchania zna tylko tych troje, a Barbara Skrzypek już nie może opowiedzieć, jak było. W tym sensie wyjątkowo perfidne były wypowiedzi mecenas Jacka Dubois dla wspomnianego już portalu Goniec.pl, w których prawnik narzekał, że zarzuty dotyczące przebiegu przesłuchania Skrzypek są podnoszone przez osoby, które w tym przesłuchaniu nie uczestniczyły.

Nie omieszkaj też dodać, że w trakcie rozmów razem z Barbarą Skrzypek rzekomo wspólnie żartowano z serialu „Ucho Prezesa”.

Zwraca uwagę fakt, że przesłuchanie trwało blisko pięć godzin, a ujawniony przez prokuraturę zapis rozmów liczył tylko osiem stron. Doświadczeni prawnicy mówią, że jeśli sporządzano drobniogowy stenogram z tak długiego przesłuchania, to powinien on liczyć 20–25 stron. Trudno więc wykluczyć możliwość, że protokół zawiera tylko pewną część

■ tego, co padło w trakcie przesłuchania. Mecenas Krzysztof Wąsowski, obrońca ks. Michała Olszewskiego, wyraził publicznie swoje podejrzenie, że w wypadku Barbary Skrzypek używano techniki tzw. przesłuchania trałowego. Polegać ono ma na tworzeniu atmosfery daleko posuniętego zagrożenia, co w wypadku zgranego tematu pani prokurator i dwóch adwokatów nie byłoby trudne. Dodatkowym zabezpieczeniem dla prokurator Wrzosek jest jednoznaczna linia ostrzeżeń i pogrozek ze strony prokuratury, która zapowiada ściganie sądowe wszelkich dywagacji na temat związku między przesłuchaniem Barbary Skrzypek a jej późniejszą śmiercią.

MANEWR TRZECI: „MEDIA BRZYDZĄ SIĘ POLITYKĄ NA TRUMNIE”

Sytuacja, w której 66-letnia kobieta pozbawiona jest możliwości asystowania adwokata w trakcie niezwykle istotnego przesłuchania, a parę dni później umiera na serce, jest w naturalny sposób podejrzana. Zadawanie pytań o związek między jednym a drugim jest jak najbardziej naturalne. A jednak większość mediów głównego nurtu zdecydowanie unikała choćby

narracja prawicy nie zwalnia rządu z egzaminu. Prokurator Ewa Wrzosek jest politycznie zaangażowana”. W podobnym tonie pisał na tych samych łamach Bogusław Chrabota: „Wykorzystywanie przez Jarosława Kaczyńskiego argumentu mortis jest niegodne”. Jednocześnie Chrabota dodawał, że nie zmienia to faktu, że rozliczenia wobec PiS powinny się odbywać inaczej.

Zauważmy więc, że powtarzał się schemat. Najpierw oburzenie na polityczną grę na czyjejś śmierci bardzo często z dodatkowym argumentem, że PiS chce wykorzystać zgon Barbary Skrzypek do swej kampanii prezydenckiej. A potem już znacznie mniej dramatyczne ubolewanie, że minister Bodnar ułatwia Kaczyńskiemu tę grę, angażując do wyjaśnienia sprawy dwóch wież panią prokurator znaną z wyrazistych poglądów politycznych.

Media tak ogłędne przy sprawie oceny okoliczności śmierci Barbary Skrzypek w innych kwestiach potrafiły wykazywać bardzo dużą inwencję. Oto ekipa TVP nagrała rozmowę grupy polityków PiS, którzy przybyli pod prokuraturę z okazji zapowiedzianego wystąpienia Jarosława Kaczyńskiego i przy okazji obserwowali, jak niedaleko od PiS-owskiej demonstracji przed gmach prokuratury wyszła Ewa

swoim zwyczajem czeka, jak duża będzie skala oburzenia medialnego i społecznego po śmierci współpracownicy lidera opozycji. Gdy się okazało, że na demonstrację pod prokuraturą w poniedziałek przyszło ok. 150 osób, a większość mediów skupiła się na oburzeniu „grą PiS na ludzkiej śmierci”, uznał, że może przejść do ofensywy. Gdy wyraźnie poruszony śmiercią Barbary Skrzypek prezydent Duda wezwał Donalda Tuska do przeprowadzenia śledztwa na temat tego, co zdarzyło się w czasie przesłuchania, Tusk w swoim stylu uznał za stosowne pouczyć głowę państwa, że „czasy, kiedy prezydent, premier czy prezes partii wpływały na losy śledztw, minęły”. Mściwie dodawał: „Proszę się do tego jakoś przyzwyczaić”. A usłużny portal Onet cytował anonimową wypowiedź „współpracownika premiera”, który całą sprawę komentował: „Prezydent Andrzej Duda powinien się wstydzić”.

„NIC SIĘ NIE STAŁO, POLACY, NIC SIĘ NIE STAŁO”?

Dziś okazuje się, że zaniepokojeni linią ekipy publicyści Tuska, którzy wieszczyli, że działanie na granicy prawa zakończy się jakimś wstrząsem społecznym, gdy praktyki te będzie można powiązać z czyjąś śmiercią, wykazali się naiwnością. Mimo intuicji wielu Polaków mówiącej, że stęzenie nienawiści wobec opozycji przełożyło się na śmierć Barbary Skrzypek, z całej sprawy ekipa Tuska wychodzi stosunkowo niewielkim kosztem. Prokurator Ewa Wrzosek dalej będzie prowadzić swoje śledztwo, a jej zwierzchnik Adam Bodnar wręcz demonstrować swoje poparcie dla niej, przedstawiając ją jako wymagającą specjalnej ochrony ofiarę hejtu i nienawiści. Grupa zwolenników dalszych rozliczeń, do której można zaliczyć takie postacie jak Roman Giertych czy mecenas Jacek Dubois, może się wręcz upewnić w swojej bezkarności i wpływach. Media w większości kupiły slogan, że upominanie się o okoliczności śmierci Barbary Skrzypek ze strony Jarosława Kaczyńskiego nie przynosi mu zaszczytu. Pytanie: Czy ten swoisty sukces ekipy Tuska nie ośmielił jakichś ewentualnych radykałów w jej łonie do snucia rozważań o tym, jak można rozegrać sprawę wyborów prezydenckich?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Media w większości kupiły slogan, że upominanie się o okoliczności śmierci Barbary Skrzypek ze strony Jarosława Kaczyńskiego nie przynosi mu zaszczytu

najdelikatniejszego pytania w tej kwestii. W sobotę i w niedzielę sprawę ewentualnego związku przesłuchania ze zgonem Barbary Skrzypek zbywano tym, że nie są jeszcze znane oficjalne powody śmierci zmarłej. A gdy już ogłoszono, że śmierć nastąpiła wskutek zaburzenia pracy serca, co nie wykluczało, że mogło ono wystąpić, jeśli przesłuchanie było brutalne i forsowne, to do tematu już nie wracano.

Swoistym erzacem problemu było ewentualne narzekanie, że bardzo wyrazista względem swoich poglądów politycznych Ewa Wrzosek nie powinna być wyznaczana przez ministra Bodnara do prowadzenia sprawy. Przykładowo Estera Flieger z „Rzeczpospolitej” pisała 16 marca: „Oparta na oskarżeniach

Wrzosek, aby rozmawiać z mediami. Młodzi PiS-owcy z ogromną niechęcią komentowali pojawienie się pani prokurator. A wyniki tych nagrań z ukrytej kamery z ogromnym oburzeniem ujawniła Justyna Dobrosz-Oracz, która zaprezentowała nagrania w swoim programie „Bez trybu”.

I wreszcie dziennikarskie tuzy „Gazety Wyborczej”, na czele z Dominiką Wielewską, zadały ostateczny sztych. Ogłoszono z emfazą, że Jarosław Kaczyński gra śmiercią Barbary Skrzypek w celu reanimowania kampanii Karola Nawrockiego. Czysta taktyka i wyjątkowy cynizm.

W całej sprawie charakterystyczne było też milczenie Donalda Tuska, który nie komentował sprawy między sobotą a wtorkiem. Było oczywiste, że Tusk

Kto obroni Polskę?



Rafał A. Ziemkiewicz

Zarówno w Europie, jak i w USA młode pokolenie przez lata wychowywano w przekonaniu, że wojna jest bezwzględny złem, którego niczym nie da się usprawiedliwić. Elity zachodnie uznały więc, że nie warto nawet próbować mierzyć się z nastrojami pacyfistycznymi. Dopiero po tym, gdy Donald Trump zaczął w sprawie Ukrainy bić elity Unii Europejskiej ich własną bronią, szermując hasłem „pokój jest zawsze lepszy niż wojna”, te sięgnęły po retorykę wojowniczą, w duchu „demokracja musi się bronić”

Donald Tusk przyzwyczaił nas już do krótkotrwałych propagandowych wzmożeń – ale to ostatnie, z zapowiedzią zwiększania zasobów mobilizacyjnych polskich sił zbrojnych, urwało się tak nagle, że jeśli ktoś uciął sobie dłuższą popołudniową drzemkę, to cała sprawa mogła mu umknąć. Zaledwie w środę zapowiedział premier „powszechne szkolenia wojskowe dla wszystkich dorosłych Polaków”, a już w czwartek okazało się, że chodzi tylko o „ogólne założenia programu”, które „chcemy mieć” do końca roku, ale właściwie to mają one dotyczyć „wszystkich tych, którzy się zgłoszą na ochotnika”, i że – jak zapewnili przedstawiciele wojska – tacy mogą się zgłosić w każdej chwili, wszystko do ich przeszkolenia jest gotowe i nawet wielu już nawet z tej możliwości skorzystało. Sprawa błyskawicznie zniknęła, przykryta emocjami innych politycznych wydarzeń.

Mimo wszystko warto się zatrzymać przy tym falstarcie na dłużej, niż tylko odnotować go w felietonie (co zrobiłem na bieżąco w poprzednim numerze). Rzucając swym przyjętym od dawna zwyczajem – byle co, byle



Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych
w Drawsku Pomorskim FOT. GERARD/REPORTER

■ wyjść na przeciw oczekiwaniu widzów i stworzyć „newsa” do agregowania w mediach przez krótki czas, aż uwaga odwróci się ku innym sprawom – tym razem natrafił Tusk na problem naprawę poważny, z gatunku tych, których lepiej byłoby nie tykać. Natychmiastowa rejterada jest więc zrozumiała.

Rzecz w tym, że problem tak czy owak pozostaje – a jest to ten sam problem, którego rozpaczliwie starają się nie zauważać u siebie zachodnioeuropejscy patroni obecnego polskiego rządu. Stosunkowo łatwo jest – choć i tu piętrzą się rozmaite trudności – mówić o „dozbrajaniu Europy” i stymulowaniu europejskiej „zbrojeniówki”. Zwłaszcza idea „rearmingu” na kredyt mieści się w strategicznym celu Unii Europejskiej, którym jest budowa jednolitego, scentralizowanego „państwa europejskiego”. Wedle opinii powszechnej w Brukseli i Berlinie zaciąganie wspólnego długu na konto krajów członkowskich odegrać ma rolę – przez analogię do historii USA – „europejskiego momentu hamiltonowskiego”. Ponadto lwia część tego długu – podobnie jak wcześniejszego – na podwojenie do końca bieżącego roku europejskiej produkcji amunicji (tzw. ASAP) trafi do Niemiec, rozpaczliwie próbujących rozkręcić swą podupadłą gospodarkę i szermujących argumentem, że tylko inwestując w nią właśnie, może Europa liczyć na rozwój, bo jedynie należycie „doінwestowana” niemiecka „lokomotywa” jest w stanie go zapewnić.

Ale rearming, pomijając już wszystkie trudności, które musiałby pokonać, niewiele zmieni w kwestii obronności Europy dopóty, dopóki wyprodukowanej (założmy) broni nie ma kto obsługiwać.

UMIERAĆ ZA „INKLUZYWNOŚĆ”?

Badanie wykonane we wszystkich krajach europejskich w połowie ubiegłego roku dla serwisu Politico pokazało, że na zachodzie Europy wśród mężczyzn w wieku poborowym gotowość wstąpienia do wojska i brania udziału w obronie swego kraju, gdyby został on zaatakowany, wyraża średnio 30 proc. Nieco lepiej wygląda pod tym względem Skandynawia, gdzie gotowość walki wyraża ok. połowy badanych (statystykę zawiąza jednak poważnie Finlandia). Polityczna poprawność – zapewne – nie pozwoliła

przedstawić tych danych w rozbiciu na grupy etniczne i religijne ani postawić pytania, która część populacji zamieszkującej obecnie zachód kontynentu gotowa byłaby w razie wojny wystąpić przeciwko krajowi swego obecnego pobytu i z jakichś względów brać np. udział w działaniach dywersyjnych na rzecz przeciwnika. W świetle sondażu ujawnionego przed kilku laty, w którym ponad połowa badanych członków europejskiej społeczności muzułmańskiej deklarowała, że uznałaby za hańbę współpracę ze służbami swego kraju w zwalczaniu muzułmanów uprawiających terror, a ok. 15–20 proc. wyraziło gotowość czynnego ich wspierania, to ostatnie pytanie nie ma przecież charakteru akademickiego. Zwłaszcza że potencjalny przeciwnik w „pełnoskalowej” wojnie, czyli Rosja, od lat z powodzeniem kreuje się na obrońcę religii, także muzułmańskiej, i korzysta z islamskich fanatyków Ramzana Kadyrowa.

Dla zwolenników obecnej władzy „pisowska hołota” jest wrogiem znacznie większym i bardziej zniechędzającym niż jakiegokolwiek wroga zewnętrznego

Co charakterystyczne, zarówno w Europie, jak i w USA badania tego rodzaju pokazują, że do osobistego zaangażowania w obronę kraju bardziej skłonni są przedstawiciele starszych pokoleń. Nie może to dziwić. Młode pokolenie przez lata wychowywano w przekonaniu, że wojna jest bezwzględnie złem, którego niczym nie da się usprawiedliwić. Swoje zrobiła sponsorowana z Moskwy lewacka propaganda jeszcze z czasów ZSRS, która ukształtowała zachodnią popkulturę w duchu „better red than dead” (czyli: lepiej, jakby co, poddać się „czerwonym” niż z nimi walczyć, ryzykując życie); swoje dodała bierność zachodnich elit, które dały się przekonać, że wskutek postępu technicznego wojna na zawsze stała się dziedzina małych grup wysoko wykwalifikowanych zawodowców i daw-

ne masowe armie po prostu nie mają już sensu. Tamtejsze elity uznały więc, że nie warto nawet próbować się mierzyć z nastrojami pacyfistycznymi młodych pokoleń i ich niechęcią do podejmowania zobowiązań wobec własnego kraju. Dopiero ostatnio, po tym, jak Donald Trump zaczął w sprawie Ukrainy bić elity unijne ich własną bronią, szermując hasłem „pokój jest zawsze lepszy niż wojna”, te drugie sięgnęły po retorykę wojowniczą w duchu „demokracja musi się bronić”.

Czy ta retoryka ma szansę „chwycić” w zachodnich społeczeństwach? Chyba wiele musiałoby się zmienić. W imię czego bowiem mieliby współcześni Europejczycy nadstawiać karku? W obronie jakich wartości narażać się na niewygody, nie mówiąc już o ranach i utracie życia? Pamięć podsuwa mi scenę ze spotkania jakiegoś unijnego gremium, w którym brał udział Robert Winnicki, wtedy jeszcze jako poseł Kukiz’15. Dużo mówiono tam o „wartościach europejskich”, poseł więc poprosił eurotowarzystwo, by je zdefiniowali. Jednogłośnie wyjaśniono mu, że to „inkluzywność”, „różnorodność” etc. Wtedy powiedział, że w Polsce wielokrotnie spotykał się z ludźmi, którzy swego czasu ryzykowali życie w obronie ojczyzny – a czy ktokolwiek obecny na sali jest gotów, względnie zna kogoś, kto byłby gotów ryzykować je w obronie „inkluzywności”? Oczywiście efekt był taki, że od tego momentu polski poseł traktowany był w eurotowarzystwie jak trędowaty. Ale przecież pytanie, które zadał, jest fundamentalne, a odpowiedź na nie – oczywista.

LEPIEJ, ALE Z POZORU

Propagandowe opowieści o „silnej Europie”, która wystąpi w obronie Polski i innych zagrożonych przez rosyjski imperializm krajów, możemy więc włożyć między bajki. I ta świadomość chyba w Polsce istnieje: w razie czego potrzebujemy silnego wojska polskiego, na żadne „siły europejskie” nie mamy co liczyć. Dlatego intensywne zakupy broni i zapowiedź zwiększenia liczebności wojska przyniosły swego czasu dużą popularność Prawu i Sprawiedliwości i dlatego też zapewne sięgnął po „powszechne szkolenie wojskowe” Tusk, by tak szybko się z niego rakiem wycofać.

Z pozoru w Polsce sytuacja wygląda lepiej: w niedawnym sondażu Defence24 gotowość osobistego udziału w obronie kraju w wypadku, gdybyśmy zostali zaatakowani, zadeklarowało 66 proc. badanych – ponad dwa razy więcej niż w Anglii, we Francji, w Niemczech czy we Włoszech. „Tylko” jedna trzecia wyraziła opinię na Zachodzie dominującą, że obroną kraju powinny zająć się odpowiednie służby, dla nich zaś priorytetem będzie zadbanie o osobiste bezpieczeństwo.

Jest jednak pewne „ale” – z owych 66 proc. większość gotowa jest zaangażować się tylko w działania pomocnicze, niewiążące się z osobistym udziałem w walce. Trzeba też w interpretacji wyników badania uwzględnić zasadniczą odmienną kulturę Polski (przez lewicowo-liberalne salony zwaną „zacofaniem”), która sprawia, że w przeciwieństwie do poddanego latami pacyfistycznej propagandzie Zachodu u nas, poza pewnymi wyobcowanymi, wielkomięskimi niszami, nie wypada deklarować obojętności wobec losów ojczyzny, cokolwiek się naprawdę myśli. Możliwe więc, że w dużym stopniu mamy w sondażach do czynienia z tzw. efektem poprawnościowym, podobnym jak w sondażach wyborczych, w których deklaracja udziału w wyborach jest zawsze o kilkanaście procent wyższa niż rzeczywista frekwencja.

Odsetek chętnych do osobistego stawienia się w armii jest natomiast podobny jak w „starej Unii” – kilkanaście procent. Pozytywną odmianą jest tylko to, że w Polsce stosunkowo największą gotowość osobistego udziału w walce za kraj – sięgającą jednej czwartej ankietowanych – zgłasza właśnie najmłodsze pokolenie (18–24 lata).

Optymistycznie patrząc na to i inne podobne badania, wynika z nich, że mamy w Polsce ok. 3 mln Polaków gotowych walczyć za ojczyznę. W zestawieniu z naszymi własnymi wyobrażeniami o sobie to załośnie mało, w przekonaniu polityków – jest nieźle, gdyby te 3 mln udało się przeszkolić. Postawiliśmy sobie ambitny cel stworzenia 300-tysięcznej armii kontraktowej, ale jeśli się to uda, to przeszkolonej rezerwy będziemy dla niej mieć zaledwie 200 tys. mężczyzn i prawie w ogóle kobiet. Stawiana pod tym względem na wzór zaledwie 5,5-miljo-

„Oświecone elity”, żyjące jeszcze w przedtrumpowym modelu „europejskości”, gardzą obroną ojczyzny

nowa, sześciokrotnie mniej od nas liczna Finlandia może liczyć na zasilenie swych 24-tysięcznych wojsk zawodowych rzekszą 870 tys. przeszkolonych rezerwistów płci obojga. O czym rozmawiamy?

Jednak w przeciwieństwie do Finlandii Polska podzielona jest polityczną wojną. Do krwawych konfliktów jeszcze nie dochodzi – choć wobec stałej eskalacji napięcia nie można i tego wykluczyć – lecz zerwanie kulturowe jest całkowite, co pokazuje każdy kolejny spór polityczny. Dla zwolenników obecnej władzy „pisowska hołota” jest wrogiem znacznie większym i bardziej zniechęconym niż jakiegokolwiek wroga zewnętrznego – dla jej przeciwników Tusk nigdy nie będzie narodowym przywódcą, choćby, jak w starym kawale o Jaruzelskim, Bóg pozwolił mu uczynić jakiś cud. Polskich politycznych Hutu i Tutsi dzieli wszystko, także stosunek do obrony ojczyzny, którą „oświecone elity”, żyjące jeszcze w starym, przedtrumpowym modelu „europejskości”, gardzą, uważając ją za „anachronizm” i „nienormalność”. Można być pewnym, że podobnie jak do Wojsk Obrony Terytorialnej – które z tego właśnie powodu były przez opozycyjną wówczas PO i jej media wyszydzane, dezawuowane, a czasem też demonizowane jako rzekome „bojówki Macierewicza” przygotowywane do przejścia władzy siłą – na wymyślone ad hoc przez Tuska „powszechne” szkolenia nie zgłaszałyby się wyborcy z przysłowiowego Jagodna czy Miasteczka Wilanów, ale „pisowcy” (zresztą widać to we wspomnianym sondażu – im większe miasto, tym chętnych do wojska mniej). Ta perspektywa musiała kogoś na zapleczu premiera przestraszyć, skoro temat powszechnego szkolenia zwinęto z dnia na dzień.

POPULIZM TUSKA

Problem jednak pozostaje. Za swoich poprzednich rządów Donald Tusk, z powodów czysto populistycznych (jeśli

to słowo jeszcze coś znaczy, to właśnie takie zachowania), zlikwidował pobór do wojska, i to w sposób tak nieodpowiedzialny, bez wcześniejszego przygotowania kadr służby kontraktowej, że gdy pół roku później doszło do powodzi, nie miał kto obsłużyć stojących beczkownie w bazach wojskowych amfibii. W warunkach ostrej politycznej rywalizacji nikt, po żadnej ze stron, nie odważył się postulować powrotu do powszechnego poboru (można zresztą wątpić w wartość powstałej w ten sposób armii) ani nawet znaczących przywilejów dla tych, którzy gotowi są zaciągnąć się ochotniczo.

Wyjście jest, ale zauważają je tylko eksperci. Obok likwidacji poboru jednym z największych ciosów zadanych polskiej obronności w ostatnich dziesięcioleciach było beztrojskie i bezmyślne zlikwidowanie obrony cywilnej. W chwili obecnej nie mamy jej w ogóle. Praktycznie nikt w Polsce nie wie, jaki sygnał oznacza niebezpieczeństwo i co w wypadku usłyszenia tego sygnału robić. W przypadku, nie daj Boże, jakiegokolwiek ataku na Polskę czy nawet poważnej klęski żywiołowej największe straty poniesiemy wskutek chaosu i bezładnej hysterii, która wybuchnie i nad którą nikt nie będzie w stanie zapanować (przedsamak takiego chaosu mieliśmy zresztą wielokrotnie, ostatnio w czasie powodzi w powiecie kłodzkim). Zamiast produkować na użytek politycznego PR bajki o „powszechnych”, jednocy dwudniowych szkoleniach (czego by można kogokolwiek na nich nauczyć?), rząd mógłby zająć się odtworzeniem zniszczonej organizacji, regionalnych struktur i sztabów OC, wyznaczeniem gminom zadań na wypadek zagrożenia, przeszkoleniem grup ratowniczych i przewodników, w razie potrzeby kierujących postępowaniem sąsiadów, odbudową infrastruktury ochronnej. Dwie trzecie polskiego społeczeństwa, które deklaruje gotowość w pomocniczych działaniach na rzecz obronności, są tu znakomitą zasobem do wykorzystania, a i pozyskiwanie kadr dla dalszego szkolenia, już w kierunku rezerwy bojowej, zyskałoby w ten sposób realne podstawy.

No tak, tylko że takie działania byłyby nie dość spektakularne, by dać szybki polityczny zysk. Więc – „cóż tam marzyć o tem”, jak zwykł wzdychać pan Rzecki z „Lalki” Prusa.

Półowa znajomych chora „na grypę”. Ale nauczyli się już, że jak grypa, to trzeba pod kołderkę i wziąć coś na wzmocnienie. W czasach pandemicznych priorytetem było testowanie na COVID-19. Teraz tak się nie robi i dlatego tylko... nie ma pandemii. Bo ludzie chorują, a histerii jakoś nie ma. Wystarczyło tylko nie interesować się, który to wirus nas położył, i okazało się, że nie ma co panikować tak jak pięć lat temu. Czemu tak jest?

Konia z rzędem temu, kto po objawach, bez testowania się, odróżni grypę od COVID-19. No, może koronawirus dokładał – ale raczej w ludowym przekonaniu – coś tam z utratą smaku czy węchu, ale z tego powodu nie ogłasza się przecież pandemii. Czynnikiem różnicującym nie były więc objawy czy szczególnie zjadliwość wirusa, tylko... fakt testowania. Mija już pięć lat od wybuchu pandemii i ten krytyczny dla jej wtedy wzrostu czynnik testowy został już mocno przetestowany przez naukę. Zresztą i w apogeum pandemii wielu naukowców wskazywało na to, że nie jest on żadnym „złotym standardem”, a to kluczowe: wyniki testów na skalę populacyjną decydowały bowiem o zachowaniach władz. To z wynikami testów w rękę i na ekranach zamykano gospodarkę, wtrącano dzieci w domową niewolę z rodzicami, maseczkowano i dezynfekowano kraje, zakazywano wchodzenia do lasu, na uniwersytety i do kościołów.

KRÓL SANITARYZMU

Ostatnio dowodzący Głównym Inspektoratem Sanitarnym słynny sanitarysta czasów pandemicznych, dr Paweł Grzesiowski, na konferencji prasowej podsumował wyniki sezonowej grypy w tym roku. Mamy już od 2 do 2,5 mln zachorowań, 1 tys. zgonów z powodu powikłań pogrypowych, a jednak ciekawskich, którzy to się potestowali na koronawirusa mieliśmy – w ciągu pierwszego tygodnia lutego – ok. 4 tys. pozytywnych wyników. Zerkamy na statystyki pandemii – 25 maja 2020 r. były podobne poziomy: 1007 zgonów,



Pandemia A.D. 2025 i... nic



Jerzy Karwelis

Wszystkie filary pandemiczne zostały wraz z upływem czasu podważone, w miarę jak luzowały się imadła pandemicznej cenzury i naukowcy mogli coraz szerzej docierać do publiczności ze swymi wynikami badań. A oficjalna nauka milczy, choć dziarsko obiecuje, że da głos

ale 21 631 zakażonych. Było to jednak po 83 dniach trwania pandemii i byliśmy już dawno pozamykani w domach, niechodzący do pracy i szkół. A tu mamy podobną „hekatombę” i nic się nie dzieje.

A trzeba zastrzec, że podane dane z pandemii są naznaczone wspomnianym aspektem testowym, to on bowiem kwalifikował z nadstatkiem do obu grup – zakażonych i zgonów. W przypadku zakażonych było to głównie osoby „zakażone” testem, który wyszedł pozytywnie. Takie чудо skutkowało kolejnym fenomenem – bezobjawowym chorem, gdy fakt zakażenia potwierdzały tylko wysoce zawodne testy. Druga kwestia – liczby podawanych zgonów – też była skrzywiona słynnymi „chorobami współ-

istniejącymi”, kiedy to człowiek zmarły na wylew, zawał czy niedoleczonego raka był kwalifikowany jako zgon covidowy tylko dlatego, że na obecność wirusa wskazywał test PCR.

Tak było za pandemii, ale jest też tak teraz. Jedyna różnica, bo dane się zgadzają, jest taka, że dzisiaj lekarz „na oko” stwierdza nam grypę i nie wysyła na test, by dowiedzieć się, na jakiegoż to diabła obecnie zachorowaliśmy. Dlaczego tak robi? Bo robił tak zawsze, z tragiczną przerwą na pandemię. Po prostu nie ma znaczenia, jaki wirus nas dopadł, bo leczy się go tak samo. A więc – idę o zakład – jakby lekarze testowali te 2,5 mln obecnych gryp na okoliczność COVID-19, to mielibyśmy pandemię jak ta lala. Ale

czemu nie testują? Ano dlatego, że nie mają takich rekomendacji (czytaj: rozkazów), a wtedy mieli. Przecież za pandemii to musiałeś mieć test na COVID-19, nawet jak chciałeś, by ci zabandażowali skaleczoną rękę dzieciaka.

A więc gdy mamy podobne poziomy zakażeń i dwie różne reakcje (panikarską i sezonowo-zwyczajową), to mamy dwa wyjścia: albo wtedy władze panikowały, albo teraz sobie ważą lekce znaki czasu. Poszlaki wskazują na pierwszą możliwość. Dziś bowiem na straży pandemii stoi główny sanitaryista kraju, dr Grzesiowski, a ten żadnemu wirusowi nie popuści.

Sama postać wiele razy była już przedstawiana publiczności. To on krytykował niesławną Radę Medyczną przy premierze za – uwaga! – zbyt słabe środki sanitarystyczne, nie wychodził z siejących wśród ludu panikę mediów, strasząc publiczność zagładą. Karierę Grzesiowskiego – w lutym 2022 r., kiedy miało wedle niego zemrzeć ok. 1,5 mln starszych Polaków – o dziwo unieważnił... Władimir Putin, który zaatakował Ukrainę, i niedawny temat zagłady pandemicznej zginął jak zdmuchnięty. Nie tylko z mediów, lecz także z narracji sanitarystów. Wiadomo – wojna jest jak joker, który bije wszystko, nawet pandemiczne asy. Potem miliony niezaszczepionych Ukraińców przeszły przez Polskę, co musiałoby się skończyć, wedle przepowiedni m.in. Grzesiowskiego, hekatombą, a się nie skończyło. To zaś wzmogło spekulacje o Nagrodzie Nobla z medycyny dla... Putina.

Doktor Grzesiowski został za takie osiągnięcia doceniony przez uśmiechniętą władzę i otrzymał nominację na GIS. Od razu wróciły za jego sprawą do mediów dwa wątki: to jeszcze nie koniec pandemii oraz trzeba się wreszcie zabrać za niezaszczepionych. Ten drugi wątek odstawmy na razie na bok i zajmijmy się pierwszym, czyli powrotem koronawirusa. Doktor Grzesiowski już w połowie zeszłego roku prorokował nawrót koronawirusa i nie wiadomo dlaczego, kiedy jego przepowiednie spełniły się dziś na poziomie 80. dnia pandemii z 2020 r., temat koronawirusa znikł. Statystyki szły do góry, aż nagle na stronach Ministerstwa Zdrowia ukazał się komunikat, że

strona internetowa podająca wyniki COVID-19 z przyczyn technicznych publikację wstrzymuje, a potem okazało się, że to jednak nie technikalia, ale że dane o koronawirusie nie będą podawane od 1 marca w ogóle. Jak to? To najpierw dr Grzesiowski szukał słynnego patogenu nawet w miejskich ściekach, a teraz, kiedy temat rósł obiecująco, zamyka się stronę z publikacją śmiertelnych wzrostów? Jakież to wszystko ciekawe...

NIEWIDZIALNE RAPORTY

Mamy więc pandemię na poziomie tamtej z 2020 r. i nic się nie dzieje. Różnica jest tylko jedna – nie ma paniki, grzebania w procedurach, wyrzucania chorych z systemu. Wtedy to zrobiono, co dało nam syndrom 2 x 200: 200 tys. ponadnormatywnych zgonów i 200 mld zł wyrzuconych w błoto na tarcze. A nasz świat zamknięto przy 68 zakażonych i dwóch zgonach, w większości pewnie „na testy”. Dziś, jak widzimy, mamy tysiąc zgonów, 2,5 mln chorych, z czego 4 tys. na przetestowanym COVID. I nic.

Tajemnica ukrywa się więc „tam”, w czasach covidowych. I tu wychodzi cała historia. Medycyna na takie pandemiczne rzeczy rzuca się jak tygrys na jagnię. Toż to superokazja, co prawda zrządzenie losu, ale można to wykorzystać do głębokich badań. Zobaczyć, jak zareagowała służba zdrowia, zweryfikować schematy leczenia, szczepionki, zbadać, które decyzje odniosły jakie skutki. A tu mija pięć lat od całej akcji i nic nie wiemy. To znaczy – nic nie wiemy oficjalnie, gdyż wszystkie filary pandemiczne zostały wraz z upływem czasu podważone, w miarę jak luzowały się imadła pandemicznej cenzury i naukowcy mogli coraz szerzej docierać do publiczności ze swymi wynikami badań. A oficjalna nauka milczy, choć dziarsko obiecuje, że da głos.

Pod koniec swej niesławnej kariery w 2023 r. minister zdrowia Adam Niedzielski obiecał przygotowanie raportu dotyczącego pandemii, słowa nie dotrzymał i to nie dlatego, że go wyrzucano ze stanowiska, tylko dlatego, że taki raport to śliska sprawa. Nie wie o tym chyba pan Grzesiowski, który taki raport obiecał w czerwcu 2024 r., że będzie na wrzesień 2024 r. i... nic. No, a przecież publiczna służba zdrowia siedzi na górze

danych od pięciu lat i nie jest w stanie nic z siebie wykrzesać. Jak to? Co się dzieje, że nie można się doczekać na takie oczywistości?

Jedyna możliwość to to, że z tych danych zebranych wynikają niewesołe wnioski. Tylko dlatego nie są one publikowane. A chętnych naukowców do podpisania się pod jakąś sanitarystyczną ściemną zdaje się, że ubywa. Może się bowiem okazać coś, co już wiedzą wszyscy ci, którzy się sprawą interesują. A dzisiejsze czasy pokazują, że przy takich samych okolicznościach epidemiologicznych zachowania władz są krańcowo różne: od paniki, lockdownów i szaleństwa szczepionkowego do dzisiejszych reakcji jak na każdą sezonową grypę. Cemu więc – spyta ktoś – wtedy mieliśmy 200 tys. ponadnormatywnych zgonów, a dzisiaj nie, co się wykląda, że jednak to był „superwirus”? A widzi ktoś dzisiaj systemowe nieleczenie pacjentów, teleporady, które nie są w stanie wykryć zapalenia płuc, triaż na wejściu do szpitala, który stopuje leczenie chorób specjalistycznych i za pomocą testów kładzie na ogólnej sali – umieralni dla przegranych, którzy mieli pecha, bo przyszli ze swą cukrzycą do szpitala, ale źle wylosowali w ruletce PCR?

CZEKAM NA REWELACJE

Takie mogą się pokazać przyczyny naszych pandemicznych zapaści w obiecywanych raportach, a więc żaden decydent na to się nie poważy. Ale każdy raport zaczyna się od sytuacji wyjściowej: napadł nas taki to a taki wirus, narodził się strasznie i trzeba było się bronić. Może i przesadziliśmy, ale niech pierwszy rzuci strzykawką ten, który by tak nie zrobił. Otóż ja z utęsknieniem czekam na te odkładane raporty, gdyż mam już gotowca – zebrane z pomocą fachowców oficjalne dane, z których wynika, że epidemiologicznie nic się nie działo, co pozwoliłoby podjąć decyzję o zamknięciu kraju i wprowadzeniu sanitaryzmu.

A więc czekam na raport pana Grzesiowskiego z niecierpliwością, ale chyba się tak szybko nie ukaże, gdyż musiałby on albo być porażająco prawdziwy, albo być kolejną próbą zamydlenia tematu, z tym że podpisaną przez naukowców, których sanitaryzm ostatnio uległ znacznemu urealnieniu.



Radosław Wojtas

Nie da się Pana Boga, swojej wiary i religijności zamknąć w domu, wychodząc do pracy. Dla osób wierzących te sfery życia przeplatają się ze sobą, czasem wbrew różnym zakazom i niesprzyjającemu otoczeniu. Jak to wygląda w wypadku katoliczek z największych polskich miast – sprawdzała socjolog z UJ

Prezenter telewizyjny musi być neutralny – usłyszała Siv Kristin Saellmann, której zabroniono występowania na wizji z krzyżykiem na szyi. Krzyżykiem dyskretnym – znalazł się ktoś, kto dokonał pomiaru i przekazał te dane światu – bo mierzącym zaledwie 1,4 cm. Część widzów oburzył widok tego niewielkiego wisiora i pomimo że islam nie jest dziś – ani nie był w 2017 r., gdy rzecz się działa – religią dominującą w Norwegii, skutecznie zaprotestowała ona, iż krzyżyk na wizji może obrażać uczucia religijne muzułmanów.

Kilka lat wcześniej z podobnym zakazem spotkała się pracownica linii lotniczych British Airways. Sześćdziesięcioletnia wówczas Nadia Eweida z obsługi naziemnej na lotnisku Heathrow postanowiła walczyć o możliwość noszenia krzyżyka w pracy. Sprawa oparła się o Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, który orzekł, że naruszono jej prawo do wolności wyznania. Ale już pielęgniarka Shirley Chaplin przegrała spór prawny ze swoim pracodawcą i zabroniono jej noszenia krzyżyka na odzieży, choć pozwolono jej mieć go na szyi, o ile jest schowany pod bluzką czy swetrem. Argumentowano to względami bezpieczeństwa. Sędziowie Trybunału uznali, że podczas czynności pielęgnacyjnych pacjenci, np. starsze osoby, mogą złapać za zawieszkę i się zranić.

Przykładów na to, jak wolność wyznania zderza się z zasadami panującymi w miejscu pracy, jest wiele i wcale



FOT. ADRIAN STOK

Z Bogiem w pracy

nie trzeba ich szukać daleko. Wystarczy przypomnieć sobie spory o „klauzulę sumienia” czy niedawną decyzję prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, który jednym ruchem ręki ściągnął krzyże nie tylko ze ścian urzędu, lecz także z biurek pracowników. Zakaz eksponowania symboli religijnych ostatecznie złagodzone, warszawski ratusz poinformował, że nie będą one zakazane na stanowiskach pracy.

BÓG W DOM. A W PRACY?

Refleksję na temat obecności religii w pracy podjęła dr Anna Szwed, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przyjęła inną – oddolną – perspektywę i skupiła się na konkretnej grupie osób. W ostatnim wydaniu „Studiów Socjologicznych” podsumowała wyniki badań, w których przyjrzała się temu, w jaki sposób wykształcone, zaangażowane religijnie katoliczki z największych miast w Polsce łączą wiarę i religijność z aktywnością zawodową. Przeprowadzono 48 indywidualnych wywiadów pogłębionych z kobietami z wyższym wykształceniem (od licencjatu do doktoratu) w wieku 23–44 lata (z dominacją osób w wieku 30–40 lat), które są zaangażowanymi katoliczkami pozostającymi w stałym związku z instytucją Kościoła katolickiego (m.in. poprzez przynależność do różnych wspólnot). „Badane przez nas katoliczki

nie tylko żyją w coraz mniej religijnych środowiskach lokalnych, ale nierzadko, jak same zauważają w wywiadach, funkcjonują w kontekstach zawodowych, w których inne osoby są otwarcie krytyczne w stosunku do religii, a wobec katolicyzmu i Kościoła rzymskokatolickiego w szczególności” – zauważa dr Anna Szwed.

Mimo wielkomiejskiego środowiska, nie najbardziej przyjaznego dla katolików, żadna z respondentek nie dokonywała ścisłego podziału religii i pracy. Obie te sfery udaje się łączyć kobietom na bardzo różnych drogach zawodowych. Małgorzata, jedna z uczestniczek badania, jest doułą i opowiada o swojej pracy – czyli o towarzyszeniu kobietom przy porodach – jako o realizacji idei obrony życia i Bożym powołaniu, które rozeznawała przy wsparciu kapłana. Agnieszka, fizjoterapeutka, która pracuje z ciężko i trwale niepełnosprawnymi dziećmi, mówi wprost, że może wykonywać swoją pracę (w której spotyka się także ze śmiercią – jej pacjentami są także dzieci śmiertelnie chore) tylko dzięki wierze w Boga. Znajduje w niej wsparcie, pocieszenie i empatię i zrozumienie dla pacjentów i ich rodzin.

W podobnym tonie wypowiada się Liliana, lekarz na oddziale hematologii dziecięcej. „Jak przyznaje, kiedyś próbowała rozdzielać wykonywaną pracę i swoje życie religijne. Dziś nie wyobraża sobie

takiego podziału, a każdy dzień rozpoczyna wizytą w szpitalnej kaplicy, gdzie modli się za pacjentów i personel medyczny, z którym współpracuje” – pisze dr Anna Szwed. – Gdybym nie była wierząca, tobym sobie nie poradziła na tym oddziale – mówiła w wywiadzie pani Liliana.

– Wiem, że będę popełniała błędy, bo nie jestem nieomylna. Tylko, Panie Boże, Ty się tym zajmij. I Ty mnie prowadź. Przed zabiegiem, jak robię nakłucie lędźwiowe, czyli pobieram płyn mózgowo-rdzeniowy, czyli wchodzę do kręgosłupa, mówię: „Panie Jezu, jedziemy!”. Czyli bądź ze mną w tym moim dniu pracy.

Nauczycielka Magdalena przyznaje, że czasem nie radzi sobie z uczniami i ich zachowanie jest dla niej trudne do zniesienia. – Idąc do pracy, zawsze mówię: „Boże, bądź ze mną, nawet jak nie pomyślę o Tobie” – powiedziała w wywiadzie. Wartości katolickie są istotne również dla Laury, która zawodowo zajmuje się doradzaniem w kwestiach zakupu ubrań i swoje zajęcie także rozpatruje w kategorii powołania. „Swoją pracę doradcą, głównie z kobietami, osadza w obecnych w nauczaniu Kościoła ideach integralnej kobiecości oraz teologii ciała [...] Świecka z oglądu praktyka doradzania w kwestii zakupu ubrań staje się formą przeżywania religii w codziennym życiu zawodowym”.

EWANGELISTKI W KORPOŚWIECIE

Żadna z respondentek badania dr Szwed nie spotkała się z zakazem używania symboli religijnych. Kobiety w różny sposób dają widzialne świadectwo swojej wiary. Są to nie tylko krzyżyki, medaliki czy szkaplerze na szyi albo różańce w formie bransolety czy obrączki. Wspominana już

Liliana umieściła przy swoim komputerze, w dobrze widocznym dla innych pracowników szpitala miejscu, ikonę Maryi. Nie ma także oporów, by przed procedurą medyczną wykonać publicznie znak krzyża.

– W ogóle się z tym nie kryję. Jak mogę dać świadectwo, to to jest fajne – mówi.

Nauczycielki Julia, Luiza i Maria podkreśliły w wywiadach, że zewnętrzne atrybuty religijności bywają pretekstem do podejmowania rozmów o Bogu. Zainteresowani uczniowie czasem pytają o te przedmioty, a rozmowa szybko schodzi na tory wiary i wartości. Kobiety biorące udział w badaniu mówią zgodnie, że w swoich środowiskach pracy nie starają się nikogo nawracać. Ale temat wiary i Boga pojawia się czasem w przestrzeni towarzyskiej. Jak pisze dr Szwed, nieformalne rozmowy, pogaduszki przy kawie czy posiłku są wykorzystywane przez badane katoliczki do „przemycania” informacji o swojej religijności. W opowieściach o codzienności, np. o spędzonym weekendzie, kobiety wspominają o udziale w rekolekcjach, spowiedzi czy porannej mszy.

Agata, prawniczka, podkreślała w wywiadzie wagę przykładu. – Uświęcenie innych przez pracę polega [...] nie na [...] apostołstwie polegającym na głoszeniu czegoś, bo tak się w pracy nie da i nawet się nie powinno, ale [...] na dawaniu dobrego przykładu. Na takim pracownianiu, żeby zachęcać innych ludzi do życia tym, co dla mnie jest ważne. Nie ma sensu wygłaszanie 15-minutowego przemówienia w stylu Savonaroli przy dystrybutorze na wodę, bo to działanie będzie bardzo jasne i mocno zniechęcające. Trochę jak w tej komedii „Trzynasty wojownik”, gdzie po 20 latach działania wśród

wikingów księdzu udało się nawrócić jednego wikinga na buddyzm – mówiła.

NIEPRZYJAZNE SPOJRZENIA

W środowiskach pracy w dużych miastach ujawnianie swojej religijności często prowokuje sytuacje konfrontacyjne. „Kilka naszych rozmówczyń opisywało mechanizm kozła ofiarnego, który uruchamiał się, zwłaszcza w zsekularyzowanych zespołach pracowniczych, kiedy tożsamość religijna pracowniczkę była widoczna z uwagi na pełnioną rolę (np. katecheta) lub w inny sposób ujawniona wobec współpracowników. Barbara, prawniczka, uznaje np. prawo swoich kolegów i koleżanek do krytyki Kościoła, którą sama niejednokrotnie podziela, narzeka jednak, że tego typu sytuacje prowokują ataki na osoby wierzące na zasadzie przerzucania odpowiedzialności za działania instytucji” – pisze dr Anna Szwed.

Luiza, nauczycielka w szkole średniej: „Jak wchodzę do pokoju [nauczycielskiego], to ja mam na czole napisane »Katechizm Kościoła katolickiego«. Oni wiedzą, co ja myślę o osobach homoseksualnych, o marszach tęczowych, o antykoncepcji, aborcji [...]. No i to jest trudne, zwłaszcza że Poznań jest bardzo tęczowy, promujący LGBTQ. Mam takie wrażenie, że jestem w ogromnej mniejszości. Ale chciałabym też mieć odwagę, żeby pokazać tym osobom, że to, że my myślimy inaczej, nie znaczy, że oni mogą po mnie, jak to mówimy w Poznaniu, »jeździć jak po kłaczku«”. I dodaje, że opisane doświadczenie tylko ją umacnia, a przebywanie w pokoju nauczycielskim, wśród osób nastawionych nieprzychylnie do niej i jej światopoglądu, oraz modlitwa za te osoby traktuje jako rodzaj pokuty. © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA MUZYKA

Jazda z „Frogami”



Łukasz Żborski

Za nielegalne wyścigi na ulicach polskich miast będzie groziło więzienie. Przed sądem stawać będą też ci, którzy nie uczestniczą w wyścigach, ale i bez tego znacząco przekraczają prędkość

Kilka głośnych wypadków drogowych, do których doszło w ubiegłym roku, zmusiło władze do namysłu nad tym, jak zapanować nad skrajnie niebezpiecznie zachowującymi się kierowcami. Jak powstrzymać takich, jak sprawca tragedii w Warszawie, który jeździł samochodem mimo złamania po kolei czterech sądowych zakazów? Jak ukroić samowolę najczęściej młodych mężczyzn, którzy do tej pory prawie bezkarnie ruszają nocami na ulice miast i organizują nielegalne wyścigi?

Zanim jednak do publicznych konsultacji trafiły projekty zmian prawa przygotowane przez resorty infrastruktury, spraw wewnętrznych i administracji oraz sprawiedliwości, okazało się, że państwo może działać sprawnie w oparciu o obecne przepisy. Zaczęło się

od wytycznych, które wydał wojewódzki komendant policji w Wielkopolsce. W przypadku przyłapania na drodze kierowcy, który ma sądowy zakaz, polecił zatrzymywać takich w areszcie i wnioskować do sądów o przyspieszony proces. Sędziowie – którzy do tej pory niezbyt surowo podchodzili do takich osób, często poprzestając tylko na przedłużaniu im zakazów o kolejne lata – zaczęli nagle sprawnie współpracować. Zgadniają się na szybkie procesy i skazują takie osoby na bezwzględne pozbawienie wolności. Nie są to kary długie, bo takie być nie muszą – to np. rok czy pół roku więzienia. Chodziło bardziej o to, że ten, komu społeczeństwo poprzez sąd zakazało poruszania się po drogach, bo jego zachowanie jest bardzo niebezpieczne dla innych, dziś rozumie już,

iż łamanie zakazu wiąże się ze skutkiem kaidankami i pewną odsiadką.

Jednocześnie śmiertelny wypadek spowodowany w Warszawie przez kurlera z zakazem prowadzenia pojazdów uruchomił nagle to, czego od lat domagali się właściciele firm transportowych – Ministerstwo Cyfryzacji dało przedsiębiorcom dostęp do danych Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców, dzięki czemu każda firma może napisać własny program, który codziennie sprawdzi, czy kierowca zatrudniony w niej nie stracił poprzedniego dnia uprawnień. Od razu z takiego systemu firmy zaczęły korzystać – publicznie poinformował o tym prezes InPost. „Sześciu kierowców już nie wyjedzie dzięki temu na polskie drogi jutro – przynajmniej nie pod flagą naszej firmy, a kolejni muszą uzupełnić dane,

nim wyjadą” – napisał Rafał Brzóska w lutym w serwisie X i pokazał wynik sprawdzania przez taki system.

Szkoda, że trzeba było do takiego działania tragicznych śmierci na drodze i wzburzenia społecznego. Dobre jednak i takie działania. Tym bardziej że nadchodzące regulacje pomogą jeszcze sprawniej ograniczać bandytyzm drogowy.

NIE MANDAT, ALE WIĘZIENIE

Największym uderzeniem w piratów będą zmiany przygotowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Projekt, który niebawem trafi do Sejmu, zakłada zaostrzenie kar wobec ludzi łamiących sądowe zakazy prowadzenia pojazdu.

Po pierwsze, sędziowie nie będą już nakładać kolejnych zakazów w takim przypadku. Skończy to ośmieszającą dla wymiaru sprawiedliwości metodę, przez którą policjanci przyłapywali za kierownicą ludzi mających już kilkanaście zakazów wydanych przez sąd. Nowelizacja zakłada, że każde złamanie sądowego zakazu prowadzenia pojazdów wiązać będzie się z orzekaniem dożywotniego zakazu.

To nie wszystko. Wobec kierowców, którzy łamią sądowy zakaz, sędzia będzie mógł zastosować konfiskatę pojazdu – czyli jego przepadek na rzecz Skarbu Państwa.

Zmiany prawa nie pozwolą już na tak bezkarne zachowania na drogach, jak słynne przejażdżki „Froga”. Wobec niego prawo było bowiem bezsilne. Za rozwijanie szalonych prędkości można było temu kierowcy przypisać jedynie po kolei różne wykroczenia, które popełniał. W efekcie zebrał grzywny i punkty karne, stracił prawo jazdy (a do więzienia zaprowadziło go dopiero łamanie sądowego zakazu prowadzenia pojazdów).

Nowe regulacje spowodują, że tego rodzaju jazda oraz organizowanie i uczestniczenie w nielegalnych wyścigach drogowych będzie przestępstwem, a nie wykroczeniem. Zatem za takie zachowania grozić będzie już nie grzywna nakładana w formie mandatu przez policjanta, ale kara więzienia, o której decydować będzie sędzia.

Przepis brzmi tak:

„Art. 178c § 1. Kto w ruchu lądowym:

1. organizuje lub prowadzi nielegalny wyścig samochodowy,
2. jako prowadzący pojazd mechaniczny uczestniczy w nielegalnym wyścigu

samochodowym podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”.

Ministerstwo zdefiniowało, co w prawie będzie uznawane za „nielegalny wyścig”. Według nowelizacji będzie to rozpędzanie się kierowców w co najmniej dwóch pojazdach mechanicznych – takie, w którym rywalizując ze sobą, naruszają zasady ruchu drogowego.

„§ 26. Nielegalnym wyścigiem samochodowym jest:

1. rywalizacja kierujących co najmniej dwoma pojazdami mechanicznymi w ruchu lądowym, z zamiarem pokonania określonego odcinka drogi w jak najkrótszym czasie i z naruszeniem zasad bezpieczeństwa w ruchu lądowym [...]”.

Czy to oznacza, że jeśli ktoś sam rozpędzi się w mieście do 200 km/h, to nadal będzie mógł być ukarany tylko mandatem? Niekoniecznie. W prawie pojawił się bowiem zapis, że taka sama kara (czyli od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia) grozić będzie kierowcom, którzy prowadzą pojazd mechaniczny i co najmniej dwukrotnie przekraczają prędkość na drodze publicznej, a na drodze ekspresowej i autostradzie – co najmniej o połowę.

„§ 2. Tej samej karze podlega, kto prowadzi pojazd mechaniczny w sposób rażąco naruszający zasady bezpieczeństwa w ruchu lądowym, zagrażając swoim zachowaniem bezpieczeństwu innej osoby i z prędkością większą od dopuszczalnej”.

Warto zwrócić uwagę, że nie będzie to tak prosta kwalifikacja, jak np. w Niemczech, gdzie wystarczy po prostu skrajnie szybko jechać, by podpaść pod paragraf o „nielegalnych wyścigach”. W Polsce trzeba będzie przekroczyć poważnie dopuszczalną prędkość, złamać rażąco zasady oraz zagrazić swoim zachowaniem innej osobie. To też nie będą jednak rzadkie przypadki. Wystarczy, że kierowca pojedzie 100 km/h w obszarze zabudowanym, wyprzedzi na podwójnej ciągłej linii, a jednocześnie pieszy będzie przed nim uciekał w popłochu z przejścia. Za takie zachowanie kierujący stanie przed sądem.

LEKKI POŚLIZG Z „DRIFTEM”

Nie wszystko w projekcie zaostrzającym kary wydaje się do końca przemysłane. Tak jest np. z driftem, czyli celo-

wym wprowadzaniem pojazdu w poślizg. O ile rozsądna wydaje się propozycja, że tego rodzaju zachowania na publicznej drodze – tak jak jazda motocyklem na jednym kole – zostaną stypizowane jako konkretne wykroczenia drogowe i zagrożone karą minimum 1,5 tys. zł, o tyle uznanie „kręcenia bączków” autem za przestępstwo wydaje się zmianą idącą za daleko.

Nowelizacja resortu sprawiedliwości zakłada bowiem, że „nielegalnym wyścigiem” będzie również „celowe wprowadzenie pojazdu w poślizg lub doprowadzenie do utraty styczności z nawierzchnią chociażby jednego z kół pojazdu, wykonane w trakcie zgromadzenia zorganizowanego na otwartej ogólnodostępnej przestrzeni – odbywające się bez wymaganego zezwolenia”.

Zatem samodzielna jazda bokiem samochodem na rondzie będzie wykroczeniem karanym mandatem. Jednak zrobienie dokładnie tego samego na parkingu przed marketem, z obserwującymi to kolegami w innych samochodach, będzie już przestępstwem. Nie wydaje się to racjonalnym posunięciem.

I na koniec – dla „zwykłych” kierowców też nadchodzi potężna zmiana, choć nie ma jej jeszcze w pakiecie nowelizacji, które już ujawniono. Rząd nie pokaże jej przed wyborami prezydenckimi. Najwyraźniej politycy wciąż uważają, że „nie wolno ludzi denerwować” karami. Chodzi o uszczelnienie automatycznego nadzoru. Tajemnicą poliszynela jest bowiem fakt, że system karania z fotoradarów i innych urządzeń, który wymaga od urzędników ustalenia personaliów kierowcy popełniającego wykroczenie, jest od lat nieefektywny. Kierowcy w Polsce masowo zaczęli też wskazywać jako sprawców obcokrajowców, którzy rzekomo mieli jechać ich pojazdami. Wiceminister infrastruktury Stanisław Bukowiec podczas konferencji uruchamiającej kampanię edukacyjną powiedział, że prawo dotyczące uszczelnienia nakładania mandatów z automatycznych systemów jest już napisane, gotowe. Odpowiedzialność ma zostać przełożona na właściciela pojazdu, który będzie miał krótki czas na wskazanie rzeczywistego kierującego pojazdem. Gdy tego nie zrobi, karę zapłaci sam.

Giorgio Vasari miał tyle pracy, że musiała mu wystarczyć trzy godziny snu dziennie. W jego czasach wypadało być człowiekiem wszechstronnym. Architekt, malarz, designer, historyk, okazjonalny poeta, luminarz, pedagog, doradca władców i papieży. Rodacy nigdy o nim nie zapomnieli, natomiast cudzoziemcy poddali go przesadnej krytyce. Należał bowiem do pokolenia, któremu post factum zarzucono grzech śmiertelny: odejście od ideałów renesansu i skierowanie kultury europejskiej w stronę ślepego zaułka manieryzmu.

Poniekąd sam się przyczynił do tej anatemy, lansując opinię, że sztuki plastyczne osiągnęły szczyt za sprawą Leonarda, Rafaela, Tycjana i Michała Anioła, więc po ich śmierci musi nastąpić kryzys. Potomni tę myśl podchwycili. Artystów czynnych w drugiej połowie XVI w., nawet jeśli za życia cieszyli się uznaniem, uznano za żałosnych ambicjonerów, którzy w pogoni za fałszywie pojętą oryginalnością porzucili szlachetny umiar odrodzenia. Zaburzone proporcje i perspektywa? Eksperymenty ze światłem i kolorem? Apage, satanas! Vasari, używający słowa „maniera” jako określenia stylu charakterystycznego dla danego twórcy, nie mógł przewidzieć, że powróci ono bumerangiem jako synonim nadmiernego wyrafinowania czy wręcz złego gustu.

GIORGIO WSPANIAŁY

Nasz bohater urodził się i wychował w Arezzo. Zanim osiadł na stałe we Florencji, zdążył kupić w rodzinnym mieście dom, który osobiście udekorował. Dawny wystrój w sporej części ocalał, więc gdy budynek przejęło państwo, urządzono w nim muzeum tokańskiego manieryzmu. Casa Vasari daje dobre pojęcie o guście XVI-wiecznej elity, w której szeregi gospodarz wdarł się przebojem. Największe wrażenie robi Sala Kominkowa. Jej ściany są całkowicie pokryte freskami, a drewniany kasetonowy sufit składa się z 17 paneli. Centralnym motywem, zaczerpniętym z Owidiusza, jest walka cnoty z fortuną i zazdrością. Autor malowideł nie omieszkał też złożyć hołdu artystom starożytnym, których sława przetrwała upadek Cesarstwa Rzymskiego. Na środku komnaty z okazji jubileuszu ustawiono posąg Diany efeskiej, co potęguje wrażenie wyrafinowania. Vasari byłby zadowolony,

Chimera dla księcia



Wiesław Chęćminiak

Niedawno w Toskanii dobiegły końca obchody 450. rocznicy śmierci artysty, który zdobył nieśmiertelną sławę, pisząc o innych artystach



W zbiorach wawelskich znajduje się obraz pędzla Vasariego: portret Bernadetta, przedstawiciela bocznej linii Medyceuszów

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

również z faktu, że dom stał się schronieniem dla jego bezcennego archiwum.

Arezzo chlubi się monumentalną loggią, która wypełnia całą pierzeję Piazza Grande. Na pierwszej z kolumn wyrzeźbiono podobiznę architekta. Vasari zaprojektował ów gmach, gdy zasiadał (zdalnie) w radzie miejskiej. Pod koniec życia objął najwyższy urząd gonfaloniera. Problem zaopatrzenia Arezzo w wodę pitną rozwiązał jego następca, lecz inwestycję ochrzczono mianem Acquedotto Vasariano. Nawet Petrarca, choć urodził się w pobliżu tutejszej katedry, nie jest tak fetowany.

Kulminacją obchodów był wernisaż wystawy „Vasari. Il Teatro delle Virtù” (czyli Teatr Cnót) w Galleria Comunale d'Arte Moderna e Contemporanea. Pomysł trafiony, gdyż tokański architekt współtworzył język alegorii (dziś już niestety zapomniany). Dopiero 20 lat po jego śmierci ukazała się „Ikologia” Cesare Ripy, pomyślana jako kompendium wiedzy dla artystów i estetów. Kuratorzy sprowadzili do Arezzo ponad 100 dzieł z włoskich i zagranicznych kolekcji, od nowojorskiego MET i wiedeńskiej Albertiny do paryskiego Luwru.

ARAMEJCZYCY Z FLORENCJI

Jak Vasari oraz współcześni mu malarze, tacy jak Bronzino, Federico Zuccari czy Giovanni Stradano (który urodził się w Brugii jako Jan van der Straet), wizualizowali Cierpliwość, Wdzięczność, Miłosierdzie, Los albo Zapomnienie? Zwykle jako młodą, kuso odzianą kobietę. Źródłem natchnienia, nawet w sztuce religijnej, wciąż była grecko-rzymska mitologia. „Rzeźbiarstwo i malarstwo są siostrami urodzonymi z jednego ojca, którym jest rysunek” – twierdził nasz koryfeusz. Z jego inicjatywy we Florencji powstała Accademia delle Arti del Disegno. Tym samym instytucjonalny wymiar zyskał (wylbrzymiony przez historyków) konflikt z wielbiącą kolor szkołą wenecką.

Fakt, że tokańscy manieryści mieli obsesję na szkiecie, wywarł poważny wpływ na kształt wystawy. Archiwa i biblioteki, od watykańskiej poczynając, udostępniły rękopisy i starodruki autorstwa włoskich humanistów, którzy z artystami tworzyli wspólne, wzajemnie się inspirujące środowisko. Najstarszym z eksponatów jest etruska Chimera, duma Muzeum Ar-

cheologicznego we Florencji. Posąg dwugłowego monstrum, odkryty w 1553 r. podczas prac fortyfikacyjnych w Arezzo, natychmiast trafił do zbiorów Medyceuszy. „Los chciał, aby odnaleziono go za czasów księcia Kosmy, który dziś jest poskramiaczem wszystkich chimery” – komentował Vasari.

Artefakt, stworzony przez cywilizację poprzedzającą rzymską, stał się argumentem w politycznej grze o wzmocnienie pozycji władcy Toskanii. Akademik Pierfrancesco Giambullari ukuł teorię o pochodzeniu dialektu florenckiego od etruskiego, który z kolei wywodził z aramejskiego, czyli języka, którego używał Jezus. Kosma, bezwzględny dla wrogów, ale hojny dla uczonych, świadczących usługi o charakterze propagandowym, na pewno był zadowolony.

W świątyniach i muzeach Arezzo znajduje się kilkanaście malowideł, przypisywanych Vasariemu bądź jego uczniom. „Uczta weselna Estery i Aswerusa” przytłacza rozmiarem (289 x 745 cm) i mnogością przedstawionych postaci. Biesiadników otacza tłum usługujących i muzykantów. Jedni wchodzą, drudzy kwapią się do wyjścia, w przedśionku czeka straż. Na pierwszym planie znalazło się jednak miejsce dla nadwornego karła i małpki w kubraku. Malarz się napracował, ale policzył sobie skromnie, bo zamawiającym był przyjaciel – opat klasztoru św. Flory i Lucyli.

MILCZENIE, MATKA CNÓT

Aneksem głównej wystawy są cztery ołtarze sprowadzone z Perugii, Bosco Marengo i Florencji oraz wyeksponowane w dawnym kościele jezuitów. Największe wrażenie robi „Alegoria Niepokalanego Poczęcia”. Dziwaczny demon, deptany przez Maryję, trafił na plakat reklamujący jubileuszową ekspozycję. Nie da się jednak ukryć, że najbardziej prestiżowe dzieła Vasariego znajdują się gdzie indziej. Przede wszystkim w stolicy Toskanii, gdzie zadebiutował, gdy był jeszcze dzieckiem.

Dwunastoletni Giorgio zachwycał bawiącego przejazdem w Arezzo kard. Silvia Passeriniego, recytując z pamięci obszernie fragmenty „Iliady”. Hierarcha, pilnujący interesów papieża Klemensa VII w jego rodzinnym mieście, zabrał chłopca ze sobą. We Florencji Va-

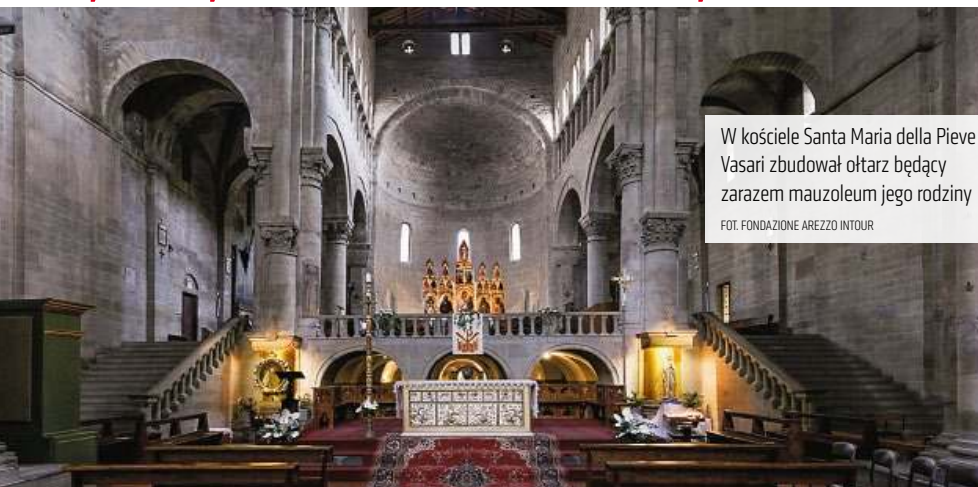
sari za towarzyszy ze szkolnej ławy miał młodych Medyceuszy. Edukacji dopełnił, terminując w pracowniach Andrei del Sarto i Pontorma, którego później opisał jako melancholika i odludka. On sam lubił towarzystwo, co z pewnością pomogło mu zostać artystą dworskim.

Po przedwczesnej śmierci ojca Giorgio stał się głową licznej rodziny i musiał ją utrzymywać. Szukał (i znajdował) klientów w różnych częściach Italii, jednak ostatecznie oddał swój talent w służbę Medyceuszy przywróconych do władzy przez cesarza Karola V. Florencka republika bezpowrotnie odeszła w przeszłość, ale na polityczną stabilizację przyszło jeszcze poczekać. Książę Aleksander, syn papieża i czarnej niewolnicy, został zabity przez krewniaka po pięciu latach chaotycznych rządów. Jego następcą, Kosma I, okazał się pojętnym uczniem Makiawela. Podporządkował sobie większą część Toskanii. Kultura interesowała go średnio, lecz z prestiżowych względów chciał uchodzić za mecenasa w stylu Wawrzyńca Wspaniałego.

Vasari stał się ulubieńcem ambitnego władcy. U szczytu kariery był kimś w rodzaju ministra budownictwa i generalnego konserwatora zabytków. Zajmował się również oprawą dworskich i państwowych uroczystości. Nieźle jak na człowieka, którego dziadek sprzedawał naczynia z wypalanej gliny (stąd wzięło się nazwisko Vasari). Kosma dbał jednak, by przyjaciel znał swoje miejsce w szeregu. Gdy ujrzał szkic obrazu, na którym otoczony doradcami planuje zdobycie Sieny, wpadł w złość. Oznajmił, że zwycięską kampanię wymyślił sam, a jeśli dla artysty to za mało, to niech domaluje „posąg przedstawiający Milczenie i jakieś inne cnoty”.

HERETYKOM NA POHYBEL

Wycieczka szlakiem manieryzmu nie może ominąć florenckiego Palazzo Vecchio. Przez 17 lat Vasari i jego współpracownicy przekształcali gotycki ratusz w rezydencję godną księcia Toskanii. Salone del cinquecento, czyli Salę Pięciuset wypełniły freski, rzeźby i obrazy będące apoteozą Kosmy oraz jego dokonań. Sala degli Elementi, czyli Sala Żywiołów, zyskała wystrój mitologiczny. Wykwintne dekoracje cechują także komnaty zadekowane dwóm



W kościele Santa Maria della Pieve Vasari zbudował ołtarz będący zarazem mauzoleum jego rodziny
FOT. FONDAZIONE AREZZO INTOUR

► papieżom Medyceuszom, których pontyfikaty były nader owocne dla sztuki, ale katastrofalne dla kondycji Kościoła i jedności chrześcijaństwa. Dla Franciszka, syna i następcy Kosmy, Vasari zaprojektował słynne studio, czyli gabinet osobiowości. Właściciel wchodził przez ukryte w sypialni drzwi, by w samotności napawać się swoją kolekcją jubilersko-geologiczną.

Po sąsiedztwie znajduje się inne dzieło naszego bohatera: biurowiec Uffizi. Olbrzymi gmach w kształcie litery U, zanim stał się muzeum sztuki, służył jako centrum administracji księstwa. Z Palazzo Pitti, rezydencją Medyceuszy znajdującą się po drugiej stronie rzeki Arno, Uffizi łączy 700-metrowy korytarz, nazwany imieniem architekta. Vasari kontynuował też budowę Biblioteki Laurenziana rozpoczętą przez jego idola Buonarrotiego. Gdy sędziwy Michał Anioł zmarł w Rzymie, dołożył starań, by zwłoki przewieziono do Florencji. Kto zorganizował uroczysty pogrzeb i sporządził projekt monumentalnego grobowca w kościele Santa Croce? Oczywiście Vasari.

Listę rzymskich dokonań otwiera Palazzo della Cancelleria. Freski sławiące papieża Pawła III nasz bohater wykonał w rekordowym tempie 100 dni, co znalazło wyraz w nazwie: Sala dei Cento Giorni. U schyłku życia Vasari, wspólnie z uczniami, pracował w Watykanie. Efektem są trzy ekspresyjne malowidła w sali sąsiadującej z kaplicą Sykstyńską. Pierwsze upamiętnia koniec „niewoli awiniońskiej”, drugie – zwycięstwo koalicji hiszpańsko-wenecko-papieskiej nad turecką armadą pod Lepanto. Chrześcijańskiej flocie sekundują z obłoków Chrystus i święci z mieczami w dłoniach. Ostatnie przedstawia (z dokładnością godną współcze-

snej transmisji on-line) rzeź francuskich hugenotów w Paryżu, czyli osławioną noc św. Bartłomieja. Dyplomaci czekali tu na audiencję u papieża. Z „publicznego czczenia mordu” kpił Stendhal, ale od kilku lat sala jest dostępna dla turystów zwiedzających Pałac Apostolski.

Vasari przeżył swego chlebodawcę o dwa miesiące. Fresku w kopule florenckiej katedry, przedstawiającego „Sąd Ostateczny”, już nie zdążył dokończyć. Zrobił to jego dawny współpracownik, Federico Zuccari, odchodząc jednak od planu i stylu zmarłego. Normalną koleją rzeczy sława mistrza z Arezzo zaczęła przygasać. Włosi, trochę z przyzwyczajenia, tytułują go gigantem i geniuszem. Cudzoziemcy są surowi w ocenach. „Jako artysta nie wykroczył poza przeciętność” – stwierdził Jean Delumeau, autor „Cywilizacji odrodzenia”. Według Karola Estreichera Vasari „nie myślał kategoriami malarskimi”. Na pierwszym miejscu stawiał dekoracyjność i wierne odwzorowanie tematu.

Owszem, opanował zasady poprawnej kompozycji i perspektywy, miał oko do szczegółów, lecz zasługuje co najwyżej na miano „ilustratora”.

POMNIK Z PAPIERU

Jako architekt Vasari znalazł się po śmierci w cieniu Andrea Palladia, smakoszysy ekscentrycznego malarstwa bardziej intrygującego Parmigianino i Bronzino. Vasari był manierystą nieświadomym. Krytykował Pontormo i Tintoretta za „zejście z utartego szlaku”, lecz jego własna sztuka, obfitująca w ryzykowne zestawienia kształtów i kolorów, może być odbierana jako dziwaczna. Pytanie, czy manieryzm był epilogiem renesansu, zwiastunem baroku czy osobną epoką, zostawmy bez odpowiedzi. Krytycy sztuki są zgodni,

że ojcem chrzestnym nowej estetyki był Michał Anioł. Dążenie „boskiego” do maksymalnej ekspresji, deformacje, nienaturalne pozy i gesty tudzież postulat, by malarstwo naśladowało rzeźbę, stały się drogowskazem dla całego pokolenia artystów. W północnej Europie manierizm trzymał się najdłużej, przekraczając próg XVII w.

Opus magnum Vasariego okazała się... książka. „Le vite de' più eccellenti pittori, scultori ed architettori”, monumentalny zbiór biografii włoskich artystów, ukazał się w roku 1550. Następną, rozszerzoną edycję otwierał wiernopoddańczy adres do księcia Kosmy. Autor własnoręcznie zilustrował swe dzieło, czasem polegając na wyobraźni, bo moda na (auto)portrety twórców zaczęła się dopiero z końcem średniowiecza. „Żywoty” nadal pozostają fundamentem wiedzy o artystach renesansu (to słowo wprowadził do obiegu nie kto inny jak Vasari). Włoskie muzea w opisach eksponatów namiętnie cytują „pierwszego historyka sztuki”.

Z perspektywy stuleci widać, że polihistor z Arezzo był jednym z największych influencerów epoki nowożytnej. Zaraził wiele generacji pogardą dla gotyku i sztuki bizantyjskiej, skutecznie wmawiając elitom Europy, że Italia (a dokładniej Toskania) to ziemia geniuszy. Może Vasari nie miał odwagi Michała Anioła, lecz zrobił wiele dla ugruntowania mitu o wyjątkowości artystów. Jeśli Włosi do dziś skłonni są wierzyć, że malarze, rzeźbiarze oraz architekci zrobili dla rozślawienia ich ojczyzny więcej niż wszyscy władcy i papieże razem wzięci, to jego sprawa.

W zbiorach wawelskich znajduje się obraz pędzla jubilata: portret Bernadetta, przedstawiciela bocznej linii Medyceuszy. Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego posiada zaś egzemplarz drugiej edycji „Żywotów”. Estreicher zauważył, że nie widać po nim śladów używania. Przed opuszczeniem Arezzo zabrałem do kościoła Santa Maria della Pieve, w którym Vasari zbudował ołtarz będący zarazem mauzoleum jego rodziny. Znalazłem tylko małą tablicę pamiątkową, 50 lat temu wmurowaną w ścianę świątyni przez miejscowych społeczników. To smutne, że człowiek, który tyle zrobił dla upamiętnienia innych artystów, sam nie ma porządnego nagrobka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Masłowski



FOT. JERZY BŁONCZYŃSKI/RETNA

Chleb mój powszedni

Pisał dla radia i telewizji, kabaretu i estrady, ale zawsze najważniejsze było to, co przekazywał osobiście. Jak na barda przysłało – z gitarą w ręku. Zdarzały mu się przeboje („Mamy po 20 lat”), festiwalowe nagrody w Opolu („Czysta woda”), a jednak całkiem inną rangę ma to, o czym mówił i mówi od siebie i dla swoich. Bo jest Tomasz Kordeusz człowiekiem stąd. W najgłębszym rozumieniu tego słowa.

W napisanej prawie 40 lat temu „Balladzie o mojej ulicy” śpiewał:

*Moja ulica jest taka
Jak inne w naszej dzielnicy
Że tylko się i zapłakać
Nad łosem mojej ulicy.*

*A ja jednak kocham moją ulicę
Ję szarość to chleb mój
powszedni
I chociaż na szpicla czyha tu
szpicel
Ja nie dam się nigdzie wysiedlić.
Bo ja jednak kocham moją ulicę
I nigdy tych słów nie
odszczękam
I chociaż na hycła czai się hycel
Ja nigdzie nie będę uciekał.*

Komunizm się skończył i wyglądało na to, że i dla Starachowic barda nastała nowa era. W istocie jednak daleko jej było do tej oczekiwanej, wymarzonej, wytęsknionej. I Kordeuszowi nie pozostało nic, jak tylko w gorzkim „Europejskim śniadaniu” opowiedzieć o rzeczywistości, w której „człowiek, który kłamał i kłamał, nowej prawdy mnie uczy o świecie”. A w utworze „To wolność” z 2010 r. skonstatować:

*Zima skryła się przed mrozem
W ciepłym domu naszych serc
Przyjechali radiowozem*

*I nie mogli znaleźć jej
Mieli wszystkie pozwolenia
By rozstrzelać nasze sny
Lecz nie poszła do więzienia
Była wolna tak jak my.*

*Dzisiaj ją napotkasz wszędzie
W nazwach ulic, placów, szkół
W podręcznikach i w urzędzie
Na pomnikach w miastach stu*

*Przyszło nowe pokolenie
I pytanie własne zgłasza
Że potrzebne wyjaśnienie
Co to jest ta wolność nasza
Pieśni o niej wyśpiewano
Pieśni rwały murom kratę
By wolności tyle samo
Miał konfident i bohater.*

Świętokrzyskie zawsze było dla niego ważne, co nie znaczyło, by miał się dać zamknąć w jego granicach. Przeciwnie – przyswoił polskim słuchaczom twórczość Antonia Carlosa Jobima, pisząc teksty do jego utworów. Tłumaczył i śpiewał bardowską klasykę: Lluisa Lłacha, Bułata Okudżawę, Jaromira Nohavice, Olega Mitajewa, Aleksandra Dolskiego. Kontakt z odbiorcami tego, co miał do powiedzenia, szukał zaś na różnych polach, a to publikując swoje rysunki, a to występując na scenie obok Stana Tutaja i Bronisława Opałki (zmarłego w 2018 r. twórcy postaci Genowefy Pigwy), to znów tworząc radiowy Kielecki Magazyn Autorów. A gdy w czasie pandemii występy publiczne stały się niemożliwe, swoje ballady nagrywał w domu, prezentując je w sieci. Tak powstał „Domowy album z piosenkami”.

Reagował na bieżące wydarzenia, na to, co działo się

w Polsce i w świecie. I tak w 2014 r. po tym, co stało się w Kijowie, napisał „Na niebieskim fortepianie”:

*Na niebieskim fortepianie
Wolność grała na Majdanie
[...]
Świat się ocknął, zaskoczony
Idzie wojna z obcej strony
Idzie wojna, niespokojna, jak
rzeka
Lepiej, żebyś tam została
Nam spokoju nie zabrała
Może jutro zgaśniesz sama
Poczekaj.*

Nie zaczekała... Znaczenie wcześniej, bo w 1989 r., w „Placu Niebiańskiego Spokoju” dał wyraz swoim uczuciom po tym, jak na placu Tiananmen w Pekinie czołgi rozjechały studencką manifestację. A jeszcze wcześniej, bo w trudnym dla Polaków roku 1983, zwracał się do nas wszystkich słowami formalnie adresowanymi do jednej tylko, najbliższej osoby. W „Pamiętasz, Mamo” retorycznie pytał:

*W moim małym sercu pamięć
jest o tamtym lecie
Gdy morze z brzegów wystąpiło
równym krokiem
I w całym kraju woda się zrobiła
słona
Ramiona dźwigów pochyliły się
do okien.
Pamiętasz, Mamo, obiad długo
stał na stole
I w całym mieście znowu słychać
było strzały
Śnieg pod żołnierskim równo
skrzypiał krokiem
A proste drogi nam się
popłatały.
Nazajutrz sennie zasyczały
odbiorniki
Przy ogniu grały przemarznięte
się patrole*

*A szale wagi w jedną stronę się
skłoniły
Ktoś mocną ręką trzymał znak
z napisem koniec.*

Osobieście jednak, a myślę, że nie jestem w zdaniu swoim odosobniony, niezmiennie poruszają mnie najbardziej te utwory barda ze Starachowic, w których opowiada o tym i innych małych miastach, o tym, jak się tam żyje i co on tam robi. „To krew” – tak 30 lat temu zatytułował Tomasz Kordeusz swoje poetyckie wyznanie:

*Jestem kawałkiem tego świata
Pomysłem wariata
Spisanym na murze
Jestem na zapomnianej stacji
Zapachem kolacji
Co pozostał na dłużej... i kurzem.
Jestem kawałkiem świata tego
Jak obrus przypięty do stołu
pinezka
Jestem fragmentem krajobrazu
Jak pogrzeb poety z dętą
orkiestrą
Diabelsko niebieską.*

W jego osobistych piosenkach, na ogół melancholijnych, nostalgicznym, refleksyjnym, słyszy się, na szczęście, nutę optymizmu, bo przecież – jak śpiewał w balladzie „Ale dobrze żyć”:

*Życia się nie da wyprasować
Życie z natury jest pomięte
Tu w każdym zgięciu nowa
droga
I niespodzianka za zakrętem*

*Życia się nie da złożyć w kostkę
Żeby trzymało zawsze fason
Z reguły idzie się na oślep
Naprzeciw całkiem nowym
czasom*

*Ale dobrze żyć
Czuć i być
I marzyć
Ale dobrze żyć
Istnieć z duszą w parze
Ale dobrze żyć
Śnić o Drodze Mlecznej
Zanim skończy list
Serca pióro wieczne. ©*



Serial opiera się na kreacji Luki Marinellego, który wypełnia sobą ekran niemal cały czas FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zwyczajny faszyzm



Piotr Gociek

Włoskie pieniądze, brytyjski reżyser, śmiałe chwyt formalne, kreacja Luki Marinellego – nic nie jest w stanie uratować serialu „Mussolini – syn stulecia”

Udaje mi się, bo zawsze wiem, kiedy nadchodzi odpowiednia chwila – przechwala się Benito Mussolini (Luca Marinelli) w piątym odcinku serialu „Mussolini: syn stulecia” („Mussolini: Son of the Century”,

do obejrzenia na SkyShowtime). Jego kochanka, Margherita Sarfatti (Barbara Chichiarelli), jest bardziej sceptyczna. W końcu sama nieraz podpowiadała odpowiednie posunięcia, była nie tylko nałożnicą i wyznawczynią wodza, lecz

także jego doradczynią i specjalistką od PR (choć sformułowania „public relations” jeszcze nie wymyślono). Oraz promotorką w bliskich jej kręgach arystokratów i przemysłowców. W realu była jedną z wielu kochanek Mussoliniego, w serialu wyrasta na kobietę, bez której niczego by nie osiągnął.

Widz ma prawo wierzyć raczej Marghericie, bo po wielokroć widział we wcześniejszych epizodach sytuacje, kiedy to okoliczności zmuszały Mussoliniego do gwałtownej zmiany taktyki, działania, a często i poglądów. (Zwykle przed podjęciem decyzji pokazywany jest także jako człowiek głęboko załamany, który desperuje niczym Mirmil w komiksach o Kajku i Kokoszu i grozi, że się zabije, niczym zakochany nieszczęśliwie nastolatek). Kto zatem i czym tu kieruje: Benito ujarzmia wzburzone wody historii czy też jest jedynie bezradnym pływakiem, którym miotają fale? W serialu według powieści Antonia Scuratiego widzimy niesłychaną zręczność Mussoliniego w wykorzystywaniu nadarzających się okazji; inna sprawa, że często jest to chwytywanie się brzytwy w chwilach, zdawałoby się, beznadziejnych. I ostatecznie sam Mussolini bywa zaskoczony faktem, że kolejna wolta uszła mu na sucho. Ale tylko przez chwilę, bo zaraz biorą górę chępliwość i pycha: on wiedział, że tak będzie, bo zawsze wie wszystko najlepiej.

MISSIONE IMPOSSIBILE

Siła powieści Antonia Scuratiego leżała w dbałości o detale. Sama lista postaci zamieszczona na końcu książki „M. Syn stulecia” liczyła kilkanaście stron. Do tego elegancki, prosty styl, którym podawano – jak przystało na powieść historyczną – niezliczone szczegóły. Oto przykład: „Samochód zaparkowany na via Lovanio to torpeda marki Bianchi, typ S3. Został skonstruowany na bazie maszyny używanej przez sztab armii włoskiej podczas wojny przy obserwacji manewrów wojskowych. Jest to samochód elegancki, czteroosobowy, wyposażony dodatkowo w składane siedzenia, idealny dla człowieka na kierowniczym stanowisku, który potrafi docenić sportowy charakter detali, takich jak np. koła szprychowe”.

Włoscy czytelnicy odwdzięczyli się entuzjazmem. „Scurati jest w tej chwili najpopularniejszym literatem w Italii,

może poza Dantem i Petrarcką” – pisał dwa lata temu na łamach „Do Rzeczy” (nr 19/2024) nasz rzymski korespondent, Piotr Kowalczyk. Kwestia mocno lewicowych poglądów Scuratiego jest tu nie bez znaczenia, ale o tym później. Prawda jest taka, że pracowitości i talentu nie można mu odmówić. Wypada zastanowić się jednak, jak ekranizować tak gęstą prozę, zwłaszcza że jest owej prozy 800 stron (a to tylko pierwszy tom, Scurati zaplanował tetralogię o Mussolinim i jego czasach).

Włosi postąpili sprytnie, to znaczy choć wyłożyli pieniądze, to do missonie impossibile zatrudnili człowieka z importu. I tak twórcą ośmioodcinkowego serialu został Joe Wright, ceniony brytyjski specjalista od literackich adaptacji. „Duma i uprzedzenie” wedle Jane Austen, „Pokuta” podług Iana McEwana, „Anna Karenina” wedle Lwa Tołstoja – oto tylko część jego dorobku. Joe Wright potrafi szukać rozwiązań nieoczywistych, tak było choćby w jego wersji „Anny Kareniny”, która pod jego ręką zamieniła się w widowisko na poły teatralne, wyglądające jak skrzyżowanie filmów Baza Luhrmanna i Petera Greenawaya.

WIELKIE WYZWANIE

W serialu „Mussolini: syn stulecia” Wright też proponuje nam hybrydę. Część scen prowadzi niczym teatralne przedstawienia – wrażenie oglądania jakiejś mocno pokreślonej inscenizacji „Kariery Artura Ui” Brechta długo mnie nie opuszczało. Stawia jednak przede wszystkim na podrabiany dokument: stylizuje ujęcia na kadry z archiwalnych kronik filmowych, miesza je z oryginalnymi zdjęciami. Najwięcej roboty mieli chyba specjaliści od desaturacji obrazu, którym zawdzięczamy królujące na ekranie żółtobure barwy. W pierwszych odcinkach królują też klaustrofobiczne ujęcia małych, zamkniętych przestrzeni, potem, w miarę rozwoju fabuły (i kariery Mussoliniego), powoli wychodzimy na zewnątrz (rzadko) i dostajemy szersze kadry. Montaż jest gęsty, obraz często przekrzywiony lub obracany, aktorzy występują na tłach, które celowo zaprojektowano tak, by biły widza po oczach swoją umownością. Joe Wright opowiada w wywiadach, że inspirował się w dużym stopniu stylem opowiadania i montażem

sowieckiego dokumentalisty i eksperymentatora, Dzigi Wiertowa.

Nade wszystko jednak serial opiera się na kreacji Luki Marinello, który wypełnia sobą ekran niemal cały czas. Jest bohaterem, jest narratorem, rozbija czwartą ścianę, zwracając się bezpośrednio do widza, by komentować wypadki. Było to wielkie wyzwanie i Marinelli mu sprostał, kreacja jest intrygująca. Do czasu – bo wszystko to, o czym opowiedziałem, sprawia też, że oglądanie serialu jest doświadczeniem męczącym. Jestem pewien, że zawodowcy – reżyserzy, operatorzy, montażyści, studenci filmu i wreszcie badacze kina – będą w czasie seansu w nastroju wybornym, przyglądając się, jak to wszystko zostało zrobione. Ja od połowy oglądałem „Syna stulecia” już tylko z obowiązku, choć znam i takich, którzy odpadli w połowie pierwszego odcinka.

Można bronić wyborów Wrighta – o czasach chorych i szalonych chciał opowiedzieć właśnie w taki sposób, dokładając do tego charakterystyczną dla włoskiej kultury skłonność do przesady. Zresztą taki był i sam Mussolini, którego biograf, Göran Hägg („Mussolini. Butny faszysta” 2015), charakteryzuje słowami: „Działal w kulturowych ramach, w których wartości i normy zachowania były – i nadal są – całkiem inne od tych, które obowiązywały i nadal obowiązują w Europie Północnej. Jego wielkie słowa i napuszone gesty były dopasowane do oczekiwań odbiorców”.

Serial Wrighta pełen jest wielkich słów i napuszonych gestów, ale reżyser i scenarzyści tak bardzo starają się uniknąć zarzutów, że uczłowieczają czy, nie daj Boże, podziwiają Mussoliniego, że idą w kierunku karykatury. Moim zdaniem zbyt mocno, nie dlatego, że żywię do włoskiego twórcy faszystu jakieś miłe uczucia, ale dlatego, że idiota i tchórz nigdy nie osiągnąłby tego, co osiągnął, nawet w bardzo sprzyjających okolicznościach historycznych. „Zdolny i cyniczny – pisze o nim Hägg – chłonący wiedzę jak gąbka, czytany, znający kilka języków, potrafiący uwodzić rozmówców (łącznie ze szczywanym Churchilllem)”. Nie ma takiego Mussoliniego na ekranie,



„M. SYN STULECIA”
WŁOCHY 2025

jest mały człowieczek targany na zmianę nienawiścią i lękiem, rozdarty między kompleksem niższości i bufonadą.

Pojawia się więc oczywiste pytanie: Chciał Wright, wsparty na dziele Scuratiego, fenomen włoskiego faszystu i popularności Duce analizować czy tylko malowniczo przyłożyć Mussoliniemu, wyszydzić go

w stylu, który Anglicy trenowali na Napoleonie, wyzywając go od „korsykańskich karłów”? Z ekranu wynika, że to drugie. O mechanizmach rewolucji dowiemy się niewiele, o ściąganiu majątek – zbyt dużo. W celach edukacyjnych lepiej jednak sięgnąć po powieść Scuratiego, choć z autorem też jest problem. Kiedy odbierał prestiżową nagrodę literacką Strega, nie omieszkał wznieść w górę zaciśniętej pięści jak komunistyczny rewolucjonista; w ubiegłym roku został też nominowany na świeckiego świętego, kiedy telewizja RAI nie chciała wyemitować jego antyfaszystowskiego monologu. Co specjalnie nie dziwi, gdy przypomnimy sobie że RAI jest państwowa, a Scurati należy do tych, którzy lekką ręką rysują paralele między faszystem Mussoliniego a rządzącą dziś Włochami premierem Giorgią Meloni.

Co prowadzi nas do tytułu niniejszych rozważań: „Zwyczajny faszysta”. Pozwoliłem sobie pożyczyć ów tytuł z głośnego niegdyś sowieckiego filmu dokumentalnego Michaiła Romma (na ekranach w roku 1968). Otóż film ten zwykle opisywany jest jako doskonały przykład wykorzystania materiału dokumentalnego dla zbudowania aktu oskarżenia. Romm sięgnął po archiwalne kroniki nazistów, by zmontować je i opatrzyć szyderczym komentarzem. Ale kogo oskarża w finale? Po odnotowaniu, że Hitler nie żyje, a III Rzesza upadła, przypomina, że faszyci działają nadal – w Ameryce. Nazywają się US Army (tu Romm wmontowuje zdjęcia z ćwiczeń wojskowych) i czekają tylko na okazję, by zniszczyć demokrację na całym świecie.

W serialu Wrighta dość wcześnie Mussolini zwraca się wprost do widza i z błyskiem w oku woła: „Make Italy Great Again!”. Miało być o historii, a dostaliśmy kawałek współczesnej propagandy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Rakuten

CANAL+
ONLINE

Facet z zasadami



★★★★★
**REŻ. KATHRYN
 FERGUSON**
**„BOGART:
 LIFE COMES
 IN FLASHES”**
USA 2024

Nic nie wskazywało na to, że jego kariera kiedykolwiek na dobre się zacznie – za to nim dobił czterdziestki, zdążyła się kilka razy skończyć. Fatalnie obsadzany, przerabiany na siłę na amanta w stylu Valentino, grający ogony na Broadwayu albo w drugorzędnych kryminałach. Gdy zagrał swą najsłynniejszą rolę w „Casablance”, miał już 43 lata i niewiele na swą obronę (głównie filmy „High Sierra” i „Skamieniały las”). Ludzie, którzy w tym wieku nie doczekali się przełomu w aktorskiej karierze, powinni na serio myśleć o zmianie zawodu.

A potem stał się cud i Humphrey Bogart w ciągu kilku lat nie tylko osiągnął status gwiazdy, lecz także

stał się symbolem całego Hollywood. A wkrótce, z nową (czwartą) żoną, którą była Lauren Bacall, zasłużyli na miano pierwszej pary fabryki snów. Wciąż grywał zbyt dużo i w nierównych filmach, ale w 1952 r. zdobył Oscara za rolę w „Afrykańskiej królowej”, a w roku 1955 (dwa lata przed śmiercią) stworzył swą najbardziej dojrzałą kreację w filmie „Bunt na okręcie”. Nie ma historii Hollywood bez „Sokoła maltańskiego” czy „Wielkiego snu” – a propos tego ostatniego, Raymond Chandler uważał, że Bogart to idealny Philip Marlowe. Aktor stał się zresztą archetypem postaci prywatnego detektywa w filmach noir.

Znakomity dokument „Bogart: Life Comes in Flashes” pokazuje

Bogarta od mało znanej strony: dużo jest o karierze, ale jeszcze więcej o życiu prywatnym, o tym, jak ukształtowała go matka artystka, a w sukcesie dopomogły kolejne małżonki. Całe życie nieźle się zapowiadało, ale trzeba było dopiero pomysłu z obsadzeniem go w rolach skomplikowanych twardzieli, by dotrzeć do jego talentu. Do kieliszka zaglądał zbyt często, ale ci, którzy go znali, nie mówili inaczej, jak tylko „gość z klasą”. Pod koniec życia po raz pierwszy zaznał uroków ojcostwa; jego syn Stephen Humphrey jest jednym z narratorów filmu Kathryn Ferguson. (Nakręciła także poruszający dokument o Sinéad O’Connor „Nothing Compares”). Unikato-we zdjęcia, wypowiedzi samego aktora i jego najbliższych oraz masa informacji, których wielu nie znało, czynią z tej produkcji seans obowiązkowy dla miłośników kina – nie tylko miłośników Bogarta. ©©

GRA TYGODNIA: „SPLIT FICTION”

Twórcy „It Takes Two” – wydanej w 2021 r. i wciąż jednej z najlepszych gier kooperacyjnych – powrócili z kolejnym znakomitą tytułem do kanapowego grania. W „Split Fiction” wcielamy się w pisarki, które utknęły w światach fantasy i sci-fi ze swoich

opowiadań. Musimy im pomóc się z nich wydostać. Aby to zrobić skutecznie, niezbędna jest ścisła współpraca postaci i sterujących nimi graczy. Zróżnicowane lokacje, pomysłowe mechaniki i niesamowita grywalność w bardzo dobrej oprawie.



Warto mieć tę grę na dysku, kiedy dwa pady idą w ruch. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** akcji, TPP
 • **Platforma:** XSX, PS5, PC
 • **Producent, dystrybutor:**
Hazelight; Electronic Arts

Karaluch też człowiek

KINO

Sprawy na świecie nie idą w dobrym kierunku? Nie narzekajcie, w przyszłości będzie jeszcze gorzej. Długość kolejki chętnych do opuszczenia Ziemi najbliższą rakieta zadziwi historików zajmujących się epoką realnego socjalizmu. Znalazienie planety o parametrach zbliżonych do naszej to bułka z masłem, ale kosmos jest jak pudełko czekoladek: nigdy nie wiesz, na co dokładnie trafisz. Tytułowy Mickey, słabo rozgarnięty przegryw, trafia na nową Antarktydę. Jako jedyny z kolonistów nie musi się bać zamrażnięcia i odpornych na mróz karaluchopodobnych stworów. Jest „wymienialny”. Gdy przydarzy mu się coś złego, naukowcy produkują z organicznych odpadów kolejną wersję. Jażń Mickeya, stale uaktualniana, znajduje się w dysku wyglądającym jak cegłówka. „Have A Nice Death!” – pozdrawia go zdolna do odruchów empatii pani w białym kitlu.

Joon-ho Bong już wcześniej miał skłonności do makabrycznego humoru, a po sukcesie „Pasożyta” w ogóle przestał się hamować. W nowym filmie podąża (raczej nieświadomie) śladami Stanisława Lema



★★★★★

REŻ. JOON-HO BONG
„MICKEY 17”
USA 2025

wyst. Robert
Pattinson, Naomi
Ackie, Mark Ruffalo

i Piotra Szulkina. Spodziewam się, że krytyka, zawsze chętna do przyznawania dodatkowych punktów za antykapitalizm, przymknie oczy na słabości popełnionej przez Koreańczyka dystopii. A jest ich trochę. Po pierwsze: czarna groteska to paliwo na dłuższą metę mało wydajne. Po drugie: nic tak szybko się nie starzeje jak doraźna publicystyka. Po trzecie: gdy już ma się na pokładzie aktorów ze sporym dorobkiem (Toni Collette i Mark Ruffalo), grzechem jest im powierzać role płaskie jak naleśniki. Sekutnicę i bufona może zagrać każdy. Występ Pattinsona pozostawię bez komentarza.

W USA publiczność przyjęła „Mickeya 17” chłodno nie dlatego, że ma alergię na kpiny z Trumpa. Film Bonga jest pozbawiony waloru, który posiada pierwszy lepszy amerykański akcyjniak: rytmu i energii. Trochę zaskakujące, że autor „Snowpiercera” zawałił sprawę właśnie na tym odcinku frontu. Może należało schować honor do kieszeni i wynająć montażystę z Hollywood, chociaż zdaje się, że główny problem tkwił w pokretnym i przegadanym scenariuszu. Ciekawe, jak teraz potoczy się kariera reżysera, któremu fani przypisali głębię geniusza i proroka X muzy. © ©

Wiesław Chelminiak

O DWÓCH TAKICH

TH nowe horyzonty

Zdjąć garniak i wyjechać z miasta. Życ w zgodzie z naturą, pić wino, słuchać płyt, czytać wiersze. Kto potrzebował dowodu, że Argentyńczycy mentalnie są blisko Europejczyków, tego dzieło Moreny usatysfakcjonuje. Najpierw musi jednak uwierzyć, że pracownicy sektora bankowego nie są pozbawieni duszy i tak jak inni przechodzą kryzys wieku średniego. Główny bohater ma do wyboru kolejne 25 lat męczarni za biurkiem lub dożywotnie wakacje po 54 miesiącach spędzonych w więzieniu. Decyzja jest oczywista. Nawet w produkcjach z Hollywood genialny plan rzadko wytrzymuje zderzenie z rzeczywistością, lecz reguły cine lento wymagają, by historię dwóch przestępców amatorów kontemplanować z cierpliwością godną filozofa. © ©



★★★★★

REŻ. RODRIGO MORENO
„DELIKWENCI”
ARGENTYNA/
BRAZYLIA/
LUKSEMBURG/
CHILE 2023

wyst. Daniel Elias,
Esteban Bigliardi,
Cecilia Rainero

DO ZOBACZENIA

Śmiech i łzy



RADOSŁAW
WOJTAS

★★★★★

GDZIE?

**Międzynarodowe
Centrum Kultury**

w Krakowie

KIEDY?

do 20 lipca

Wystawa „Śmiejąc się jednym, płacząc drugim okiem” prezentuje dzieła z kolekcji Ovidiu Șandora, jednego z najważniejszych prywatnych zbiorów sztuki w Europie Środkowej. To panorama sztuki rumuńskiej ostatniego stulecia. „To opowieść o wolności twórczej i ograniczeniach, grotesce i absurdzie, triumfach i traumach XX wieku, które wciąż rezonują we współczesnej sztuce”



FOT. PAWEŁ MAZUR/AMEX

– piszą autorzy, czyli Centrum Kultury w Krakowie i Rumuński Instytut Kultury.

Z listy przeszło pół setki nazwisk artystów, których prace prezentowane są na wystawie, niewiele jest szerzej w Polsce kojarzonych. Mamy zatem doskonałą okazję, by przyjrzeć się sztuce niemal zupełnie nad Wisłą nieznanej. „Kolekcja Ovidiu Șandora jest nie tylko zbiorem wybitnych prac, lecz także zapisem historii Rumunii i jej artystów, pozwalającym na refleksję nad tożsamością i dziedzictwem kulturowym” – zachęcają kuratorzy. © ©

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Wokulski przed lustrem

Jakkolwiek by to dziwiło, to „Lalka” Bolesława Prusa, a nie, dajmy na to, „Księgi Jakubowe” Olgi Tokarczuk jest najchętniej czytana i najczęściej wydawaną polską powieścią. Pozostaje też dzieło Prusa, niezależnie od rewolucyjnych poczyniń obecnej minister edukacji, żelazną pozycją na liście lektur szkolnych, co kilka lat trafiając do tematów egzaminów maturalnych. „Lalka” jest regularnie wznawiana (niedawno wydały ją Marginesy), a obie jej ekranizacje – film Wojciecha J. Hasa i serial Ryszarda Bera – stale przypominane są na wielu kanałach telewizyjnych. Ma też ta powieść wcale niemałe grono miłośników, potrafiących godzinami analizować poszczególne wątki utworu, krytycznie przyjmujących wszelkie ustalenia literaturoznawcze i żywo interesujących się najróżniejszymi hipotezami odnośnie do losów Izabeli Łękiej i Stanisława Wokulskiego – głównych bohaterów „Lalki”.

Z pewnością nie przeoczą oni niewielkiej, a smakowitej książeczki Rafała Skąpskiego „Trzeci Wokulski” już w podtytule stawiającej zasadnicze dla treści tej publikacji pytanie: Czy był „Leon Krupecki pierwowzorem Wokulskiego?”. Odpowiedzmy też od razu, że nie jest to pewne, ale hipoteza postawiona przez autora ma – mówiąc wprost – ręce i nogi. Ale też Skąpski nie dezawuuje wcześniejszych przypuszczeń badaczy doszukujących się prototypu sportretowanego przez Prusa warszawskiego kupca w innych znanych postaciach drugiej połowy XIX stulecia. Stąd Leon Krupecki (1822–1875) nazwany jest „trzecim Wokulskim”, bo przed nim wskazywano na podobieństwa fikcyjnego bohatera literackiego ze Stanisławem Stróżywąsem i Jakubem Langem.

Krupecki był bogatym kupcem, właścicielem sześciu składów, specjalizującym się w handlu artykułami kolonialnymi, głównie herbatą, którą warszawianie właśnie wtedy nad wyraz polubili. Już w 1856 r. kupił część pałacu Ossolińskich-Mokronowskich przy Krakowskim Przedmieściu, a dwa lata później pałacyk na Koszykach. Z żoną i pięciorgiem dzieci mieszkał zaś w pałacu Zamoyskich, gdzie na parterze miał sklep. A zaczynał jako skromny subiekt w sklepie swego przyszłego teścia Franciszka Mentzla. Wraz z ręką jego córki – Marii – otrzymał 50 tys. rubli posagu, stając się żywym dowodem na to, jak ważne w życiu jest odpowiednie ulokowanie uczu.

Został Krupecki członkiem Towarzystwa Nowej Resursy, interesy szły znakomicie, wybuchło jednak powstanie styczniowe, które przynajmniej na parę lat odmieniło jego egzystencję. Zarówno on, jak i jego rodzina wspierali działania niepodległościowe, ale o losie kupca zadecydować miało to, co stało się 19 września 1863 r., kiedy to z pałacu Zamoyskich rzucono bomby na powóz carskiego namiestnika Teodora Berga. W wyniku zamachu ranne zostały konie i adiutant Berga, on sam jednak z opresji wyszedł cało. Zemścił się okrutnie; aresztowani zostali wszyscy mężczyźni mieszkający w pałacu, na bruk wrzucono ich dobytek, wraz z uwiecznionym potem przez Norwida fortepianem Chopina i bezcennymi zbiorami sławnego orientalisty Józefa Szczepana Kowalewskiego. Podejrzany zarzucono działalność spiskową, m.in. Stanisława Augusta Zamoyskiego skazano na osiem lat ciężkich robót, a Leona Krupeckiego, podejrzanego, że należał „do członków kierownictwa rewolucyjnego”, na rozkaz namiest-

nika zesłano do oddalonych guberni cesarstwa, oddając pod „najbardziej surowy policyjny nadzór”. Na szczęście śledztwo nie potwierdziło przypuszczeń Moskali i w 1865 r. kupca zwolniono ze zsyłki, odsyłając do Warszawy.

Dla Rafała Skąpskiego, który skrupulatnie wyczylił wszystkie podobieństwa losów Krupeckiego, skądinąd powinowatego z jego pradziadkami, do historii wykreowanego przez Bolesława Prusa bohatera, hipoteza, że to on właśnie był pierwowzorem postaci Wokulskiego, była zbyt kusząca, by jej nie zaprezentować. Od dłuższego czasu z powodzeniem eksploruje zresztą genealogię rodzinną, m.in. wydając w trzech tomach pt. „Dziwne jest serce kobiece...” interesujące wspomnienia babci, Zofii z Odrowążów-Pieniążków Skąpskiej. A uczynił to nie tylko z należytym szacunkiem dla przeszłości – rodzinnej i polskiej – lecz także z niejakim wdziękiem, cytując np. takie ogłoszenie z „Kurjera Warszawskiego” ze stycznia 1857 r.: „Rzadko zaprawdę tak pięknych winogron, jakie obecnie nadeszły świeżo do handlu P. Krupeckiego na Lesznie, gdzie jest znana piwnica Hamburgska, czyli ostrygarnia. Ale oprócz tych przysmaków są tam jeszcze i inne wędzone łakocie, jak słynne półgęski z Pomeranii, oraz słonina i kiełbaski Węgierskie i. t. d. Co się zaś tyczy owych śliwek suszonych, które przed świętami tak rozkupione zostały w innym handlu Pana Krupeckiego na Nowym Świecie obok Kopernika, dodajemy, iż świeży tychże transport znowu w tych dniach nadszedł do tegoż handlu pod Kopernikiem i już znajduje licznych amatorów”.

Dziś reklamy są nachalne i płaskie jak ziemia przed przewrotem kopernikańskim. ©



★★★★★
RAFAŁ SKĄPSKI
„TRZECI
WOKULSKI.
LEON KRYPECKI
PIERWOWZOREM
WOKULSKIEGO?”
WYDAWNICTWO
AUSTERIA
KRAKÓW 2024



POCZYTANKI

Wiek Murti-Binga

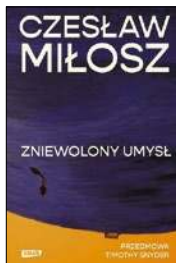
Komunizm jako nowa wiara? Przeciwnicy Miłosza twierdzili, że próbuje siebie i sobie podobnych wybielać i usprawiedliwiać (podobnych, to znaczy współpracujących z reżimem po 1945 r.). A jednak noblista miał rację, analizowanie komunizmu jako szczególnego przypadku świeckiej religii mesjanistycznej nie jest dziś ani niczym nowym, ani kontrowersyjnym. Warto więc nadal czytać „Zniewolony umysł”, opatrzone z okazji wznowienia zadziwiająco wyważonym i wnikliwym wstępem Timothy’ego Snydera. Wyjaśniam: we wnikliwość Snydera nigdy nie wątpiłem, natomiast jego zaangażowanie po stronie głosicieli kłamstwa o obsesyjnym polskim antysemityzmie pozwala mi podważać jego obiektywizm.

Jednak wstęp do „Zniewolonego umysłu” napisał świetny, a i przysłużył się przy okazji polskiej kulturze, bo uratował nas przed powierzeniem pisania przedmowy Oldze Tokarczuk. A to przecież w interpretacjach aktywistki zaczął Znak przerabiać dorobek Miłosza na karmę dla globalistów i klimatystów. A może po prostu nie byłaby w stanie Tokarczuk z czystym sumieniem udźwignąć ciężaru zmierzania się z esejem o komunistycznym

ukąszeniu? Stulecia się zmieniają, ale reguły zac zadania pozostają te same.

Wróć do Snydera: w jego przedmowie odnalazłem stwierdzenia warte szczególnej uwagi w kontekście współczesnych mód światopoglądowych. Słusznie przypomina, że do utopii komunizmu naukowego „można było rzekomo dotrzeć, poruszając się wyłącznie w sferze transformacji gospodarczej i technologicznej. Wszystko, co przyspiesza taką transformację, jest dobre, wszystko zaś, co ją opóźnia, złe”. Próbujemy jednak te same słowa przyłożyć do transformowania PRL w III RP – czyż nie czyniono tego z podobnym lekceważeniem innych kwestii? Wszystko, co ją przyspieszało, miało być z definicji dobre; w imię czego to wszystko robimy, zwykle nie pytano. Okazało się, że liberalizm ma być nie sposobem na rozwiązanie problemów, lecz – podobnie jak kiedyś komunizm – nową wiarą. A dalej

czytajmy już Miłosza. Czyż nie żyjemy znów w czasie triumfu witkacowskiej pigułki Murti-Binga? Snyder przypomina: „Narkotyk nie rozwiązuje żadnych metafizycznych dylematów – sprawia zwyczajnie, że zdają się one nieistotne”. Kto ją dziś łyka i w jakiej formie? Ano, kochani, rozejrzyjcie się. ©



★★★★★
CZESŁAW MIŁOSZ
„ZNIEWOLONY
UMYSŁ”
ZNAK 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od lutego 2022 do lutego 2024 r.: ciąg dalszy zapisków rozpoczętych książką „Dziennik ukraiński: Notatki z serca protestu” o Majdanie (tomem drugim był „Dziennik inwazji”). Dużo o sytuacji na Ukrainie, sporo o nihilizmie Rosji.



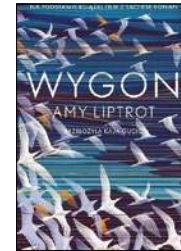
ANDRIJ KURKOW
„DZIENNIK CZASU
WOJNY”
NOIR SUR BLANC

Napisana w 1933 r., wydana kilkanaście lat później nakładem autora. Pierwszy raz po polsku prekursorska powieść gwatemalskiego noblisty, od której wywodzi się cały latynoski podgatunek opowieści o dyktatorach.



**MIGUEL ÁNGEL
ASTURIAS**
„PAN
PREZIDENT”
PIW

Przemielona przez nałogi i życie w Londynie dziewczyna wraca w rodzinne strony, by odkryć, że miejsce, które kiedyś ją popsło, może ją teraz uleczyć. Opowieść autobiograficzna – także film „The Outrun” z Saoirse Ronan.



AMY LIPTROT
„WYGON”
MARGINESY

Szkola falenicka twierdzi, że w gorących politycznie czasach stresu nie da się kontrolować, wedle szkoły otwockiej tym bardziej trzeba próbować zarządzać jego poziomem. Poradnik norweskiego lekarza przyda się jednym i drugim.

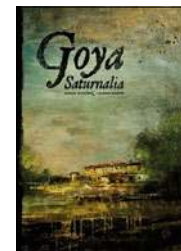
recenzuje Piotr Gociek



TORKIL FÆRØ
„TWÓJ PULS”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: DEMONY GOI

U kresu życia, z dala od życia publicznego, pogrążający się w szaleństwo Goya maluje na ścianach swego domu serię niezwykłych kompozycji znanych jako „Czarne obrazy”. Wykorzystując je jako inspirację (oraz dosłownie: reprodukując w albumie), hiszpańscy twórcy proponują czytelnikowi medytację



**MANUEL
GUTIÉRREZ,
MANUEL ROMERO**
„GOYA.
SATURNALIA”
TIMOF COMICS
2025

o ambicjach twórcy, o nieposkromionej pysze i budzących się demonach.

Piotr Gociek

Atomowy listek figowy



Wojciech Golonka

Prezydent Andrzej Duda przez ostatnie trzy lata zachowywał się jak nieformalny wiceprezydent Ukrainy, której sprawy przejmowały go bardziej niż interesy i dobrobyt Polski. Jako zwierzchnik sił zbrojnych wykazywał się infantylnością i rozmiłowaniem w obcych interesach. Nie krzewił minimum zaufania i sensu, które leżą u podstaw obywatelskiej decyzji o gotowości ewentualnej ofiary ze swego życia za kraj. A jak wiadomo, nie mamy realnie wyszkolonej i gotowej do walki rezerwy

Wprawdzie ponawiając swój apel o przystąpienie Polski do programu użyczenia amerykańskiej broni nuklearnej wśród krajów NATO, prezydent Andrzej Duda okazał się wierny swej dotychczasowej wizji obrony Polski i powieści już wyrażane przez siebie publicznie od kilku lat poglądy i apele, niemniej zaprzeczył on wprost oficjalnej polityce deeskalacji nuklearnej, podkreślonej kilkukrotnie w ostatnich miesiącach przez samego Donalda Trumpa. I choć dążenia polskiego prezydenta cieszą się pozytywnym odbiorem większości polskiego społeczeństwa, to nie tylko jawią się one jako kontrproduktywne względem naszego głównego sojusznika

militarnego, lecz także rodzą pytanie o nasze poczucie realizmu. Wpajają one ponadto Polakom wątpliwą, a wręcz nieroztropną wizję bezpieczeństwa Polski, w której mocarstwowy blichtr przesłania możliwe apokaliptyczne realia dla naszej populacji i ziemi w razie „W”.

Problem dyskusji o broni atomowej w Polsce jest o tyle skomplikowany, że sam symbol atomu mocno rezonuje w naszym imaginariu, uderzając także w struny naszej nostalgii za utraconą wieki temu mocarstwowością. Stąd pierwsza, bezrefleksyjna reakcja Polaka na hasło „broń jądrowa dla polskiej armii” będzie zazwyczaj bardzo pozytywna, rodząc przekonanie, że siła nuklearna to po pierwsze bezpieczeństwo, a po dru-

gie – no właśnie, pewna mocarstwowość, której splendor ongiś posiadaliśmy, a za którym bez wątpienia w polskiej duszy wciąż tęsknimy. Przyznam, że taka mniej więcej była dekadę temu moja reakcja, kiedy w 2015 r. znajomi pokazali mi treściwy spot wyborczy wówczas bliżej nieznanego większości Polaków Grzegorza Brauna, który obiecywał m.in. zabiegać o „wolność gospodarczą, o broń jądrową dla polskiej armii i o intronizację Chrystusa Króla”. Wiele z ówczesnych obietnic Brauna jest dziś zresztą popularnymi hasłami po prawej stronie politycznej, przy czym muszę przyznać, że jeśli miałem wówczas uświadomione przekonanie do wolności gospodarczej i społecznego panowania Chrystusa Kró-



FOT. ADRIAN STOK

szące im instrumenty i doktryny. Była to okazja do odejścia od bezrefleksyjnych, a instynktownych reakcji na poniekąd mityczne hasła na rzecz przemysłów, które oprócz potrzeby istotnego niuansowania kwestii tej rangi nakazują przede wszystkim, a zwłaszcza w dobie wojny, ostrożność i wzmoczoną roztropność. Nie ma jednak wątpliwości, że podobna refleksja nie dotknęła ogółu tzw. opinii publicznej (zakładając, że coś takiego rzeczywiście istnieje), a wręcz przeciwnie – u części Polaków nachalna i nieubłagana, acz tępa i prymitywna propaganda medialna miała jeszcze bardziej, w miejsce myślenia, utrwaląć mechanizm impulsywnego reagowania oraz wpajać podświadomy imperatyw, że nie ma kosztów i ofiar, których nie należałoby obecnie ponosić, byle dawać Moskalom, których imperium, jak przecież nam co chwila anonsowano, i tak lada dzień legnie w gruzach na skutek zbliżającej się ich nieuchronnej dziejowej klęski.

Nie odmawiam tu przy tym prezydentowi Rzeczypospolitej własnych przemysłów i rozumienia niuansów tej problematyki, ale nawet abstrahując od irytacji, którą jego słowa mogły obecnie wywoływać w amerykańskiej administracji, zwrócić uwagę, że w oderwaniu od pozostawiających wiele do życzenia realiów polskiej armii czy wewnętrznej sytuacji politycznej kraju w ogóle poruszył on, po raz kolejny, jako niepodważalne pewniki i oczywistości kwestie, z którymi łączy się niesamowita odpowiedzialność, a wobec których w miejsce wyrobionej świadomej opinii społecznej zachodzi właśnie przede wszystkim poruszający wyobraźnię i łechtający ego narodowe mity o atomowej mocarstwowości.

Sam w sobie byłby to zbyt obszerny i specjalistyczny wątek, niemniej, mając do czynienia z mitem, trzeba przytoczyć kilka koniecznych ogólnych rozróżnień i prawideł. Strategiczna broń atomowa to ta, za pomocą której mocarstwa utrzymują się we wzajemnym egzystencjalnym pacie, a której odpalenie oznaczałoby po prostu kilkietapową zagładę sporej części globu, najpierw poprzez eliminację strategicznych obiektów wojskowych i gospodarczych oraz co większych miast, a następnie, w ramach skażenia radioaktywnego i tzw. zimy nuklearnej, znacznie większych połaci

ziemskich. Wobec powyższego z niemałą psychozą w dobie zimnej wojny – co w sposób bardzo wymowny wyraża filmografia tamtego okresu – wiązał się imperatyw uniknięcia podobnej katastrofy, co w gruncie rzeczy zakładało równowagę i symetrię we wzajemnym odstraszeniu. Otóż kluczowym elementem tej równowagi jest możliwość odpalenia wystarczającej liczby śmiercionośnych głowic, zanim wyrzutnie te zostałyby zniszczone przez broń jądrową przeciwnika; w przypadku strategicznej broni nuklearnej chodzi zatem głównie o rakiety dalekiego zasięgu oraz o rozsiane po oceanach łodzie podwodne przenoszące głowice jądrowe. Do tego dochodzi także ważna kwestia pewnego konsensusu co do środków umożliwiających likwidację tychże głowic już w locie, w oparciu o instalacje na terytoriach państw trzecich, co siłą rzeczy czyniłoby je także celem ataków strategicznych na wypadek „W” i zwiększałoby obszar armagedonu, a także mogłoby rodzić dodatkowe napięcie, gdyby jedno z mocarstw uznało, że drugie próbuje w praktyce zneutralizować w zarodku jego potencjał odstraszenia, zamieniając pożądaną sytuację patową w jednostronny szach. Taką stopniową próbę, według prof. Jeffreyja Sachsa, podjęli w okresie pozimnowojennym Amerykanie i to właśnie m.in. na tym gruncie, jeśli dojdzie do ponownego ułożenia stosunków na linii Waszyngton – Moskwa, dojdzie niewątpliwie do odprężenia.

PŁYNNE ROZRÓŻNIENIE

Ma się rozumieć, prezydent Andrzej Duda nie poprosił Amerykanów o rozmieszczenie w Polsce ich nuklearnej broni strategicznej, a o przechowywanie w Polsce przez Amerykanów, pod ich pieczę, tzw. taktycznej broni jądrowej, która mogłaby zostać użyta przez polskie siły, choć nie bez amerykańskiego zielonego światła (w postaci choćby natury czysto technicznej), jedynie w trakcie wojny, kiedy nie obowiązuje układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – taką nieco elastyczną interpretacją prawną USA tłumaczą, dlaczego przechowywana przez nich od czasów zimnej wojny taktyczna broń jądrowa na terenie niektórych państw członkowskich NATO w Europie (Belgia, Niemcy, Włochy i Holandia,

la, to nie miałem praktycznie zielonego pojęcia o problematyce atomowej, w tym o dość płynnym, ale istotnym rozróżnieniu między bronią strategiczną a taktyczną, o zasadach równowagi w odstraszeniu nuklearnym między mocarstwami gwarantującymi trwały pokój między nimi oraz o trendzie ich podważenia.

PROPAGANDA MEDIALNA

Z pewnością dla części z nas wojna rosyjsko-ukraińska – a wcześniej już nawet sam epizod COVID-19 – była okazją do przyspieszonego nadrabiania podobnych zaległości i przebudzenia się z iluzorycznego snu o końcu historii, dostrzegając na nowo twarde realia geopolityczne, które bynajmniej nie zniknęły, oraz towarzy-

■ a także Turcja) nie łamie wspomnianego układu z 1968 r. Czym jest zatem owa „taktyczna broń jądrowa”? W rzeczywistości od broni strategicznej odróżnia ją przede wszystkim cel destrukcji większych jednostek bojowych przeciwnika w walce mniej lub bardziej przyfrontowej, za pomocą głowic przenoszonych przez rakiety lub nawet artylerię, a nie porażenia jego ośrodków, np. miejskich, w głębi jego terytorium. Jest to jednak nieco płynne rozróżnienie, zważywszy na to, że taktyczna broń jądrowa, w zależności od przypadku, ma moc rażenia porównywalną lub nawet kilkukrotnie większą niż bomby zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki, a ponadto jej rozmieszczenie w krajach potencjalnie przyfrontowych pokroju Polski nadawałoby jej w pewnych warunkach, pośrednio, również walor strategicznych możliwości uderzeń na samym terytorium Rosji. Summa summarum, podobny krok dość właściwie byłby rozpoznawany przez wszystkich, tj. Polaków, Amerykanów i Rosjan, jako po prostu rozmieszczenie amerykańskiego atomu w Polsce, a zważywszy na oczywiste okoliczności chwili, zabiegi o podobne rozwiązanie są, delikatnie rzecz ujmując, infantylne.

Niektórzy z komentujących apel prezydenta bardzo słusznie przywołali tu casus kubański, w jego złożoności. Otóż Rosjanie umieścili swe instalacje rakietowe na Kubie nie na zasadzie nagłego widzimisię, a w ramach retorsji, w odpowiedzi na umieszczenie przez Amerykanów swych instalacji w Turcji i we Włoszech, co z kolei – o tym też trzeba pamiętać – było odpowiedzią na agresywne wypowiedzi Nikity Chruszczowa grożącego Amerykanom na szczycie w Wiedniu w 1961 r. wojną nuklearną na wypadek ponownej ich próby obalenia rządów Fidela Castro... Te elementy napiętej układanki są tu istotne, gdyż nasz prezydent podpierał swój apel dokonany przez Rosjan rozmieszczeniem ich taktycznej broni nuklearnej na Białorusi, domagając się proporcjonalnej odpowiedzi na ten ruch, który z kolei sam był efektem szerszej eskalacji na linii Rosja – NATO. Kolejne ważne porównanie: ruch Fidela Castro, bez którego zgody Sowieci nie mogliby wykorzystać Kuby do swych działań, a który miał wzmocnić bezpieczeństwo jego kraju, w rzeczywistości znacząco

pogorszył tegoż sytuację. Kuba stała się bowiem nie tylko przedmiotem osławionej blokady morskiej, lecz także przedmiotem amerykańskiego ultimatum: brak natychmiastowego demontażu sowieckich wyrzutni rakietowych skończyłby się ich zbombardowaniem. Innymi słowy, przy obecnym napięciu rozmieszczenie amerykańskiej broni jądrowej w Polsce, nawet tej tylko tzw. taktycznej, miałoby jak najbardziej potencjał do doprowadzenia do analogicznej do kubańskiej sytuacji, która w bilansie zysków i strat nie służyłaby naszemu bezpieczeństwu.

Jest to jednak, na szczęście, casus czysto teoretyczny, gdyż Amerykanie, m.in. wyczuleni dramaturgią kryzysu kubańskiego, pozostają po prostu głusi na podobne apele prezydenta Dudy, niezależnie od tego, czy rządziła prowojenna frakcja byłej administracji czy rządzi już

Wojna rosyjsko-ukraińska była okazją do przebudzenia się z iluzorycznego snu o końcu historii

ta nowa ze swą polityką rozjemczą i wizją odprężenia na linii USA – Rosja. W przypadku tej nowej administracji okoliczność jej orientacji geopolitycznej jest jednak niezwykle ważnym dodatkowym elementem, mianowicie nie trzeba było czekać na odpowiedź wiceprezydenta J.D. Vance’a, który skomentował prośbę prezydenta Dudy jako dlań niewyobrażalną do spełnienia, aby zdać sobie sprawę, że tego pokroju apel po prostu będzie na przekór obecnej polityce Donalda Trumpa i jego deklaracjom z ostatnich tygodni o ogólnoswiatowym odprężeniu nuklearnym in spe mającym objąć USA, Rosję i Chiny. Ale czy w takim razie prezydent USA ma traktować nasz kraj jako poważnego partnera do rozmów o bezpieczeństwie? Równie dobrze prezydent Duda mógłby prosić włodarz z Waszyngtonu o zarzucenie jego polityki energetycznej z powodu imperatywów Zielonego Ładu lub o przyjmowanie imigrantów odsyłanych nam przez Niemcy, aczkolwiek w skali niedorzeczności są to przykłady nieadekwatne, jeśli wspomnimy, że w Ga-

biniecie Owalnym prezydent Trump zarzucił wprost prezydentowi Zelenskiemu, iż igra z trzecią wojną światową i próbuje USA wciągnąć do wojny z Rosją – były to najwyraźniej zarzuty, które nie dotarły do uszu naszej głowy państwa. Stąd pytanie: Jakże ma ona rozeznanie i wyczucie geopolityczne, będąc odpowiedzialna za nasze bezpieczeństwo?

WYMACHUJĄC RETORYKĄ

Na koniec: przykre w ruchu prezydenta Dudy jest to, że wymachując retoryką nuklearną, nie w porę przykrywa on w rzeczywistości bolączki swego położenia, co doskonale uwydatnia archetyp tego zachowania w ostatnim czasie – postawa Emmanuela Macrona. Prezydent Francji przegapił wszystkie sensowne okazje negocjacji pokojowych, nie ma rzeczywistej zdolności bojowej do wojny konwencjonalnej, więc w obecnej sytuacji pozostało mu wymachiwanie przed Rosją francuskim atomem, nieco dla zasady, a znacznie bardziej w ramach przestrojenia narracyjnego i unikania odpowiedzialności za swą dotychczasową politykę.

Prezydent Polski, ma się rozumieć, nie odpowiada za politykę rządu, ale przez ostatnie trzy lata zachowywał się jak nieformalny wiceprezydent Ukrainy, której sprawy najwyraźniej przejmowały go bardziej niż interesy i dobrobyt Polski. Dość powiedzieć, że on, głowa państwa, nie uchronił nas przed szaleństwami Zielonego Ładu, nie uchronił nas przed anarchizacją systemu sądowego, nie przyczynił się nawet, jeśli już, do przymiarek samodzielnego pozyskania własnego, rodzimego atomu lub po prostu broni konwencjonalnej na jego miarę, co byłoby o wiele sensowniejszym rozwiązaniem. Co więcej, on, zwierzchnik sił zbrojnych, podobną infantylnością i rozmiłowaniem w obcych interesach nie krzewił minimum zaufania i sensu, które leżą u podstaw obywatelskiej decyzji o gotowości ewentualnej ofiary ze swego życia za kraj, a – jak wiadomo – nie mamy realnie wyszkolonej i gotowej do walki rezerwy. Tak, skoro większość Polaków popiera atom dla polskiej armii, to PR-owsko takie posunięcie ma sens – przykry sens listka figowego, choć samo w sobie jest bez sensu i nierealne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zdemobilizowani i słabo uzbrojeni



W 2024 r. Rosja wyprodukowała lub odnowiła 1,55 tys. czołgów, 5,7 tys. opancerzonych wozów bojowych, 450 jednostek artyleryjskich i 1,8 tys. zestawów dronowych Lancet. W Europie produkcja czołgów Leopard (na zdjęciu) też została wydatnie zwiększona od początku wojny, gdy produkowano poniżej 50 rocznie, ale nadal wynosi ona trochę więcej niż 200. FOT. ADOBE STOCK



Robert Bogdański

Europa będzie musiała nie tylko mówić, że stoi na własnych nogach, lecz także rzeczywiście na nich stanąć, nie tylko mówić o „strategicznej autonomii”, lecz także zacząć ją praktykować. To trochę sytuacja podobna do tej z filmów wojennych, kiedy zaczynają dzwonić dzwonki, a przez megafony odzywa się głos: „To nie są ćwiczenia!”

Europę spowiała „mgła pokoju”. Pokoju na Ukrainie. I nieźle europejską klasę polityczną wystraszyła. Oczywiście nikt nie powie głośno, że obawia się, iż na Wschodzie umilkną wystrzały, armia rosyjska przestanie być dziesiątkowana przez ukraińskich obrońców i dla krajów europejskich zacznie tykać zegar odmierzany czołgami wypuszczanymi z rosyjskich fabryk tym razem nie po to, aby zostały zniszczone na Ukrainie, tylko po to, aby odbudowywać siłę putinowskiej maszyny wojennej, która złapawszy oddech, zacznie się szykować do marszu na Zachód. Nikt tego głośno nie powie, bo przecież nie można nie być za pokojem. Ba! Za samą sugestią, że Europejczykom odpowiadała

sytuacja, w której gdzieś tam na Wschodzie ginęli ludzie, niszcząc za to zdolność bojową Rosji, a oni musieli tylko na spółkę z Amerykanami za to płacić i dalej mogli spokojnie oraz bezpiecznie żyć, nie inwestując nadmiernie w swoje bezpieczeństwo, można spotkać się z erupcją świętego oburzenia. Tak to bowiem jest, że obnażenie cynizmu często jest myłone z samym cynizmem i ten, który pokazuje cynizm elit, sam może wylądować jako skończony cynik.

Zdawał sobie z tego sprawę amerykański politolog Max Bergmann, dyrektor w renomowanym think tanku CSIS (dla porządku dodam, że antytrumpista, który pracował dla administracji Baracka Obamy i pisał przemówienia Johnowi

Kerry’emu), kiedy formułował taką oto obrazoburczą myśl: „Wyzwaniem dla Europy jest odstraszenie Rosji od myślenia o akcji ofensywnej przeciwko terytorium UE. Na szczęście rosyjskie wojsko zostało poobijane przez Ukrainę. Kiedy Stany Zjednoczone mogą zakończyć wsparcie wojskowe dla Ukrainy, Europa powinna zapewnić, by ten kraj kontynuował wysiłek wojenny, degradując i wyczerpując Rosję, jak tylko to możliwe. Choć brzmi to cynicznie, to kupuje Europie czas”.

KONIEC BŁOGIEGO SNU

Bardzo podobną myśl, choć w sposób nieco bardziej zawołowany i bez odwołania do cynizmu (bo przecież cyniczni są jedynie przeciwnicy liberalizmu, to jasne), wyrazili w publikacji firmowanej przez poważne europejskie think tanki – Bruegel i Kiloński Instytut Ekonomiczny – dwaj niemieccy politolodzy, Guntram Wolff i Alexandr Burilkov. Ten pierwszy to były szef oficjalnego think tanku zajmującego się w Niemczech polityką zagraniczną, DGAP, człowiek, który jest słuchany. W artykule zatytułowanym „Obrona Europy bez Stanów Zjednoczonych” napisali: „Znacząco trudniejszym wyzwaniem dla Europy byłby trudny do wyobrażenia pokój zaakceptowany

przez Ukrainę. W takim scenariuszu Rosja będzie prawdopodobnie kontynuować swój militarny wzrost, a gdy wziąć pod uwagę obecną wielkość jej produkcji, stworzy w bardzo krótkim czasie poważną siłę zagrażającą UE”.

A więc pokój na Ukrainie jawi się tu jako wyzwanie. Pozornie jest to zwyczajna analiza sytuacji, której dokonuje się sine ira et studio. Warto jednak wziąć pod uwagę, że tego rodzaju opracowania, tylko niepublikowane i zawierające więcej danych, są podstawą do podejmowania decyzji przez polityków. Wolno sądzić, że teza o tym, iż pokój na Wschodzie jest niebezpieczny dla Europy, jest z pewnością rozpowszechniona w kręgach decyzyjnych, które zdały sobie nagłe sprawę z tego, że kunktatorska polityka liczenia na to, że sprawy jakoś się same załatwią, gwałtownie dobiegła końca. Przez trzy lata Europa obserwowała bohaterką walkę Ukraińców, łożyła na nią, przekazywała pewne ilości broni, zwykle pięknie wyglądające w przemówieniach niż na polu walki, dostarczała politycznego wsparcia, przytakiwała, gdy Joe Biden mówił, że o końcu wojny zadecyduje sama Ukraina, a jednocześnie patrzyła z ulgą, jak zasoby militarne Rosji są systematycznie niszczone. Z nadzieją, że to niszczenie będzie miało charakter trwały.

Tymczasem Putin nadspodziewanie skutecznie przestawił gospodarkę na tory wojenne, zaczął wydawać trzecią część PKB na zbrojenia oraz armię i rozpędził maszynę wojenną tak bardzo, że jest ona w stanie się odnawiać. Burillkov i Wolff piszą z przerażeniem, że w samym roku 2024 Rosja wyprodukowała lub odnowiła 1,55 tys. czołgów, 5,7 tys. opancerzonych wozów bojowych, 450 jednostek artyleryjskich i 1,8 tys. zestawów dronowych Lancet. Te ostatnie okazały się bardzo skuteczne przeciwko nowoczesnym zachodnim czołgom. Ta cała produkcja może stać się podstawą tworzenia armii, która zacznie się zbierać i grozić Europie. Niemieccy autorzy nie piszą, że tymczasem w Europie produkcja czołgów Leopard też została wydatnie zwiększona od początku wojny, gdy produkowano poniżej 50 rocznie, ale nadal wynosi ona trochę więcej niż 200.

Drugim wydarzeniem, które wytrąciło Europę z błęgiego snu, był oczywiście wybór Donalda Trumpa, który postanowił wojnę na Ukrainie zakończyć. Czas

dobrotliwego Bidena, który od czasu do czasu wygłaszał bojowe przemówienia, a poza tym pozwalał wszystkim żyć w tej diabelskiej równowadze, którą tworzyły wojna na jednym końcu kontynentu i gnusność na drugim, się skończył, a Amerykę zaczął rządzić ktoś, kto postanowił zmienić zasady gry. Czy Trumpem kierują nie nawiść do wojny i miłość do pokoju, jak chcą jego zwolennicy, czy też pragnienie zbliżenia z Rosją, bo czuje wspólnotę duchową z Władimirem Władimirowiczem, jak chcą jego wrogowie, nie jest w tym momencie istotne. Ważne są fakty. Europa będzie musiała nie tylko mówić, że stoi na własnych nogach, lecz także rzeczywiście na nich stanąć, nie tylko mówić o „strategicznej autonomii”, lecz także zacząć ją praktykować. To trochę sytuacja podobna do tej z filmów wojennych, kiedy zaczynają dzwonić dzwonki, a przez megafony odzywa się głos: „To nie są ćwiczenia!”.

POBOŻNE ŻYCZENIA

Twarde fakty są takie, że pokój na Ukrainie, a raczej coś w rodzaju rozejmu, jest na wyciągnięcie ręki. Putin będzie oczywiście zwlekał i wybierał moment, aby pokazać swoją siłę i za wszelką cenę pokazać, że jest równy Trumpowi, ale i jemu zależy na tym, aby jego wojsko przestało się wykrwawiać, bo jedyną rzeczą, której się naprawdę obawia, jest ogłoszenie powszechnej mobilizacji. Poza tym będzie twardo domagał się wznowienia normalnych stosunków handlowych, co da Rosji oddech i pozwoli zacząć przywracać równowagę ekonomiczną. Dla zagrożonej Europy to są wszystko bardzo złe informacje. Niezależnie od tego, czy rozejm nastąpi zaraz czy dopiero w grudniu. Zbrojenia i przygotowania do wojny to nie jest bowiem coś, co dzieje się z dnia na dzień. Wystarczy przypomnieć, że nasze samoloty F-35 zostały zamówione w styczniu roku 2020, a pierwsze egzemplarze zaczęły napływać teraz. Najnowsze Abramsy Polska zamówiła w roku 2022, a dostawy rozpoczęły się na początku tego roku. To i tak tempo ekspresowe, jeżeli to porównać z tempem europejskim: w roku 2024 Czechy zamówiły leopardy, a ich dostawa także potrwa trzy lata. Tylko że Czechy zamówiły 14 sztuk, a Polska 250... Więc od momentu decyzji o zainwestowaniu w zbrojenia do chwili, gdy ta decyzja się zmaterializuje (a trzeba pamiętać, że sam sprzęt nie walczy, trzeba także mieć

do jego obsługi przeszkolonych ludzi), upływają długie lata.

Ważne jest także przygotowanie do tego, aby armie mogły się swobodnie poruszać. Unia Europejska postanowiła już ponad sześć lat temu usunąć bariery prawne i poprawić stan infrastruktury, wprowadzając program „mobilności militarnej”. Są bowiem w Unii kraje, które wymagają, aby chęć przemieszczenia przez ich terytorium czołgu notyfikować na półtora miesiąca wcześniej, a są też takie, które nie wpuszczają czołgów, bo mają za słabe drogi i za wąskie mosty. Niedawno opublikowano audyt tego projektu, który wykazał, że mamy w jego przeprowadzaniu cztery lata opóźnienia. Co interesujące, niezrealizowanym elementem nie jest wcale wyłącznie wzmocnienie dróg i wiaduktów, lecz także zmiany w przepisach umożliwiających przejazd wojska. Być może lokalni Zieloni chcą przepuszczać tylko czołgi ekologiczne?

Jesteśmy więc obecnie w Europie na etapie decyzji. Gdyby oceniać sytuację na podstawie przemówień i nagłówków w sprzyjających politykom mediach, to właściwie wszystkie decyzje zostały już podjęte. Charakterystyczny tu jest akapit w przekrojowym tekście Reutersa, który zatytułowano bombastycznie: „Trzy tygodnie, które zmieniły świat”. Te trzy tygodnie zaczęły się od przemówienia Vance’a w Monachium, a kulminację znalazły w starciu Zełenskigo z Trumpem w Gabinetcie Ovalnym i licznych europejskich szczytach oraz spotkaniach. Reuters opisuje to tak: „W zamieci spotkań i decyzji liczne kraje europejskie rozmawiały o »koalicji chętnych«, aby pomóc Ukrainie, Francja ofiarowała się, że rozważy rozciągnięcie swojego parasola nuklearnego na europejskich sojuszników, akcje europejskich producentów broni skoczyły o 20 proc., a dyskutowane poprzednio po cichu spekulacje o śmierci NATO zaczęły być omawiane otwarcie jako coś, co jest możliwe”.

Zauważmy, że to decyzyjne tsunami ma jedną wspólną cechę: w żadnej kwestii nie ma tam mowy o podjętych decyzjach. Tam się „rozmawia”, „rozważa” i „omawia”. Właściwie jedyną rzeczą, która się realnie stała, jest wzrost akcji europejskich producentów broni, bo akcjonariusze spodziewają się zwiększenia zamówień. Akcje producentów broni rosną jednak przez

cały czas. Wartość walorów niemieckiego Rheinmetall wzrosła w ciągu trzech lat wojny 10-krotnie.

Co się zatem realnie stało? Ursula von der Leyen triumfalnie oznajmiła, że Europa w ciągu czterech lat przeznaczy na zbrojenia oszołamiającą kwotę 800 mld euro. Unia zezwoli także na wykorzystanie środków z KPO i uzna, że zadłużanie się na cele militarne nie będzie liczone do procedury nadmiernego deficytu. Typowany na nowego kanclerza Niemiec Friedrich Merz chciałby, aby Niemcy zmobilizowały 500 mld euro na zbrojenia i odbudowę infrastruktury dzięki poluzowaniu reguł fiskalnych i umożliwieniu zadłużania się ponad dotychczasowy konstytucyjny próg.

To naprawdę wielkie pieniądze i wyglądają znakomicie w nagłówkach. Warto więc przyjrzeć im się bliżej. A więc 800 mld von der Leyen to nie są pieniądze gotowe, tylko potencjalne. Oblicza się, że zezwolenie krajom członkowskim na bezkarne zadłużanie się pozwoli im na zebranie ok. 650 mld euro. Czy jednak wszystkie kraje się na to zdecydują? Oto pytanie! Pozostałe 150 mld euro to wspólny europejski fundusz, który ma dopiero powstać. Czy powstanie? Ba! Biorąc pod uwagę

bo sama zmiana konstytucji nie oznacza jeszcze, że automatycznie te pieniądze się pojawiają. Trzeba te pożyczki przeprowadzić i może się okazać, że zmieniające się społeczne nastroje sprawiają, iż coraz więcej i więcej inwestycji będzie przechodziło na „zieloną stronę” i w efekcie zamiast armat powstaną wiatraki...

Przypuśćmy jednak, że przynajmniej część z tych ogromnych pieniędzy, którymi w przemówieniach epatowali nas europejscy przywódcy, się zmaterializuje. Co wtedy? Oczywiście wielkie europejskie pieniądze powinny zostać wydane w Europie, jak mówi głośno Emmanuel Macron i jak myślą także inni przywódcy. Czy to jest możliwe? Spójrzmy na obecną sytuację. Sztokholmski instytut SIPRI, autorytet w dziedzinie zbrojeń, ma na swojej stronie internetowej listę 100 największych światowych producentów broni. Najnowsze dane dotyczą roku 2023. Pięć pierwszych miejsc zajmują na niej firmy amerykańskie. Pierwszą firmą europejską jest brytyjski BAE Systems, potem są rosyjski Rostec i trzy firmy chińskie. Paneuropejski Airbus jest 11., za nim znajduje się włoski Leonardo. Pierwsza firma francuska, Thales, jest

Czy możliwe jest, aby skokowo zwiększyć moce produkcyjne i wydawać u europejskich producentów 200, a może i 250 mld euro rocznie? Wielce wątpliwe. Sprzęt wojskowy jest wysoko specjalistyczny, wymaga kwalifikowanej kadry, wymaga też odpowiedniej obudowy kontrwywiadowczej. Nie można z dnia na dzień zwiększyć o kilkadziesiąt procent produkcji militarnej. Europa – chcąc nie chcąc – będzie musiała zacisnąć zęby i kupować w Stanach Zjednoczonych. Tylko czy Stany będą mogły sprzedawać? To oczywiście zależy od ich zaangażowania na Dalekim Wschodzie. Ostrożnie można powiedzieć, że nie będzie to proste.

ŁATANIE DZIUR

I wreszcie sprawa niematerialna, ale krytycznie ważna – wsparcie społeczne. Monachijskie Centrum Studiów Ekonomicznych CESifo opublikowało w zeszłym roku raport, w którym pokazano, że co prawda świadomość konieczności wydawania większych kwot na obronę jest w europejskich społeczeństwach stosunkowo wysoka, jednak już chęć zapłacenia za to dość niska. Spada też chęć do walki w obronie swojego kraju. W Wielkiej Brytanii szok wywołał niedawno sondaż, z którego wynikało, że tylko 10 proc. obywateli w wieku 18–24 lat (Generacja „Z”) walczyłoby w obronie kraju, 37 proc. walczyłoby tylko, gdyby zgadzało się z celem działań zbrojnych, a 41 proc. nie walczyłoby w żadnych okolicznościach.

Szefowa brytyjskiego think tanku Chatham House zaprosiła niedawno do rozmowy o tym, czy Wielka Brytania jest gotowa do prowadzenia działań wojennych, m.in. byłego szefa MI6. Powiedział on, że wszystkie te pieniądze, które teraz planuje się wydać, posłużą jedynie do zatkania „istniejących dziur”, które powstawały przez dziesięciolecia zaniedbań. Dość podobnie było ze słynnym 100-miliardowym niemieckim funduszem „Zeitenwende” z 2022 r., który po prostu posłużył do tego, żeby stan Bundeswehry się nie pogorszył. Te dziury zieją nie tylko w magazynach broni, lecz także w umysłach. Mgła pokoju, który oczadził Europejczyków w ciągu dziesięcioleci amerykańskiej ochrony, przeszła w niepokojącą mgłę pokoju na Ukrainie, a z tej wyłonić się może realna wojna. Oby nie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Stany Zjednoczone są zdecydowanie największym producentem broni, wytwarzając jej ponad połowę w świecie. Europa to 21 proc., Chiny 16 proc., Rosja 4 proc. Spośród krajów europejskich największym producentem jest Wielka Brytania (7,5 proc.), dalej Francja (4 proc.) i Niemcy (2 proc.)

dotychczasowe doświadczenia z rozdzielaniem tego rodzaju funduszy, wolno sądzić, że wiele krajów będzie chciało mieć w nim zagwarantowany minimalny udział, zanim zgłoszą za. Natomiast pomysł Merza znajduje się w połowie drogi. Udało się na razie przegłosować zmiany w konstytucji jeszcze w starym składzie Bundestagu (bo w nowym mniejszość blokującą będą miały partie przeciwnie zbrojeniom), ale stało się to za cenę wpisania do ustawy zasadniczej żądania Zielonych, aby 100 mld euro przeznaczono na inwestycje związane z „osiągnięciem neutralności klimatycznej do roku 2045”. A więc Merz trzyma już w ręku nie 500, a 400 mld euro, a może się okazać, że trzyma realnie o wiele mniej,

na miejscu 16., a pierwsza niemiecka, zawsze w naszych mediach określana mianem „giganta”, Rheinmetall, jest na miejscu 26. Ujmując rzecz wartościowo, bo ilościowo nie sposób, gdyż wtedy trzeba by porównywać pomarańcze ze śliwkami, Stany Zjednoczone są zdecydowanie największym producentem broni, wytwarzając jej ponad połowę w świecie. Europa to 21 proc., Chiny 16 proc., Rosja 4 proc. Spośród krajów europejskich największym producentem jest Wielka Brytania (7,5 proc.), dalej Francja (4 proc.) i Niemcy (2 proc.). Roczna produkcja broni w Europie to ok. 132 mld dol. (SIPRI stosuje walutę amerykańską), czyli ok. 122 mld euro.



Bitwa o godność człowieka

FOT. ADRIAN STOK



Paweł Chmielewski

Przedmiotowe traktowanie człowieka prowadzi do zbrodni. Tak było w totalitarnych reżimach XX w., tak jest i we współczesnej cywilizacji śmierci. Wielkie dyskusje ideowe, które kryją się za tymi zjawiskami, celnie opisuje w najnowszej pracy ks. Andrzej Kobyliński

W Polsce spieramy się praktycznie o wszystko. Jednym z obszarów najostrzejszej dyskusji jest bioetyka. Czy wolno zabijać starych i chorych, jeżeli wyrażą pragnienie śmierci? Czy człowiekowi należy się ochrona od poczęcia? A może dziecko wolno bezkarnie uśmiercić nawet kilka miesięcy po narodzinach? To kwestie fundamentalne: wyznaczają ramy cywilizacji. Kto nie chce albo nie potrafi na nie odpowiedzieć, nie może uważać się za dojrzałego obywatela, a już na pewno nie polityka.

Za sprawą ks. Andrzeja Kobylińskiego – etyka i filozofa z UKSW – Polacy

otrzymali właśnie wyjątkowe narzędzie do prowadzenia debaty bioetycznej. Ks. Kobyliński opublikował książkę pt. „Osoba w centrum? Specyfika debaty bioetycznej we Włoszech”. Skupił się na Italii nie bez przyczyny. To właśnie w tym kraju toczą się dziś ciekawe i doniosłe dyskusje filozoficzne o wartości oraz znaczeniu ludzkiego życia. Znaczenie tych dyskusji jest kluczowe dla przyszłości świata. Od tego, jaką przyjmimy koncepcję człowieczeństwa, zależy to, czy zbudujemy społeczeństwo gwarantujące nam elementarną ochronę czy reżim, w którym damy zdegradować się do roli przedmiotu. Historia zna przecież liczne przypadki potwornych zbrodni ufundowanych właśnie na wypaczonej wizji filozoficznej.

ŻYCIE NIEWARTE ŻYCIA?

Nikomu nie trzeba przypominać o zbrodniach III Rzeszy. Niemcy dopuścili się na Żydach, Polakach i wielu innych grupach ludzi straszliwych przestępstw dlatego, że wypracowali głęboko złą koncepcję bioetyczną. Nazistowskie zbrodnie nie wyrosły wyłącznie z chorych idei politycznych przywódców NSDAP. Odpowiednie ziarno zasiano wcześniej. Już w 1920 r. wydano w Niemczech głośną wówczas książkę pt. „Legalizacja niszczenia życia niewartego życia: jej wymiar

i jej forma”. Jej autorami byli psychiatra Alfred Hoche i prawnik Karl Lorenz Binding. Sedno pracy stanowiła argumentacja na rzecz dopuszczalności zabijania pacjentów za ich zgodą... a w niektórych przypadkach również bez niej. Hoche i Binding nie byli nigdy nazistami, rozwijali ówczesną myśl eugeniczną. Chcieli podkreślić wolność i podmiotowość człowieka. Ich idee trafiły na podatny grunt. W 1925 r. lekarz Ewald Meltzer przeprowadził badanie wśród opiekunów dzieci chorych psychicznie. Aż 73 proc. z nich stwierdziło, że mogłoby zdecydować się na uśmiercenie podopiecznych, żeby skrócić ich cierpienia.

Takie stanowisko miało ugruntowanie filozoficzne. Życie nie uchodziło za wartościowe po prostu dlatego, że jest ludzkie. Miało wartość tylko dzięki swojej jakości. Życie bez jakości nazywano życiem niewartym życia – „Lebensunwertes Leben”. Wówczas można było albo nawet należało je odebrać. Pierwsza masowa zbrodnia nazistów – mordowanie chorych psychicznie w ramach Aktion T4 – stanowiła owoc rozsiewanych wcześniej idei. NSDAP przyjęła za swoją koncepcję bioetyczną, która odrzucała powiązanie godności z człowieczeństwem. W tej wizji nie było metafizyki: ludzie nie uchodzili za byty stworzone przez Boga i przeznaczone do wieczności. Cel czło-

wieka został określony jako immanentny – realizował się wyłącznie w historii. To pozwoliło zbudować wielki aparat zagłady – wszystko powinno służyć narodowi III Rzeszy. Sowieccy komuniści inaczej definiowali podmiot, któremu wszystko należało podporządkować – nie uznawali wartościowania rasowego. Godność człowieka wiązali jednak ściśle z ideą „wyzwalania” kolektywu robotniczego – kto w ich mniemaniu w tym przeszkadzał, nie miał żadnej godności i powinien zostać zlikwidowany.

BIOETYKA KATOLICKA A LAICKA

Koncepcje bioetyczne odmawiające życiu ludzkiemu bezwzględnej godności są szeroko rozpowszechnione również dzisiaj. Ks. Andrzej Kobyliński pokazuje głębokie filozoficzne korzenie tych stanowisk i wynikające z nich konsekwencje praktyczne. W przypadku Włoch zasadniczy spór przebiega między bioetyką katolicką a bioetyką laicką. W znacznej części spór ten można ekstrapolować na wszystkie państwa o chrześcijańskiej przeszłości. Za bioetyką katolicką kryje się zasadnicze przekonanie o tym, że człowiek został stworzony przez Boga i w związku z tym jego życie ma przyrodzoną godność. Z tym wiąże się też oczekiwanie, że prawo cywilne będzie respektować daną przez Boga naturę człowieka.

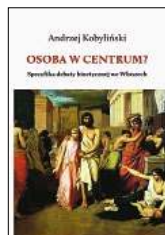
Bioetyka laicka wychodzi z przesłanek ateistycznych albo agnostycznych. Odrzucając Boga, opiera się wyłącznie na ludzkiej woli. Dobro i zło nie mają w tym ujęciu obiektywnego istnienia, bo nie istnieje żadna prawda. Ostatecznie wszystko sprowadza się do tego, czego chcą sami ludzie. Nasze życie nie jest wartościowe przez sam fakt człowieczeństwa, ale przez swoją „biograficzność” – ten, kto nie ma biografii, nie jest osobą i nie ma godności. Co to oznacza? Zgodnie z bioetyką laicką można zabijać chorych, którzy nie mają świadomości. Wolno uśmiercać również dzieci – niekoniecznie tylko narodzone. Znany australijski etyk Peter Singer, wychodzący z założeń utilitarystycznych, postuluje np. moralną dopuszczalność zabijania noworodków. Dlaczego? Nie mają jeszcze biografii, są pozbawione rozwiniętej samoświadomości, dlatego mogą zostać zabite, jeżeli miałoby to przynieść „korzyść” społec-

zeństwu. Część rodziny Singera zginęła w czasie drugiej wojny światowej w niemieckich obozach zagłady. Filozof nie uważa jednak, że jego wartościowanie życia ludzkiego ze względu na jego jakość jest niedopuszczalne. Takie myślenie jest rozwijane również w Europie, w tym we Włoszech.

W kilku krajach świata wdrożono je w praktykę. W dwóch państwach europejskich – Belgii i Holandii – jest możliwe zabicie dziecka już po porodzie, jeżeli z powodu ciężkiego upośledzenia w ocenie jego rodziców oraz lekarzy jakość życia tego dziecka byłaby niezadowolająca. Zabójstw z tej przyczyny dokonuje się zgodnie z prawem cywilnym od kilkuset do ponad tysiąca rocznie... Czym różni się to od praktyk III Rzeszy? W 1942 r. w niemieckich kinach pokazywano film „Dasein ohne Leben”, czyli „Bycie bez życia”. Widowni zaprezentowano chorych psychicznie, tłumacząc, że będzie lepiej dla nich i dla całego społeczeństwa, jeżeli zostaną uśmierceni. Większość przymusowych aktorów rzeczywiście zabito. Argumentacja, którą posługiwali się twórcy tego obrazu, jest całkowicie zbieżna z argumentacją stojącą za belgijską i holenderską praktyką zabijania niemowląt. Dziecku należy oszczędzić cierpienia, a jego rodziców i społeczeństwo odciążyć.

DEFINICJA CZŁOWIECZEŃSTWA

Debata bioetyczna, którą opisuje ks. Andrzej Kobyliński, dotyczy nie tylko dzieci nienarodzonych, niemowląt czy ludzi chorych. Chodzi w niej również o każdego z nas, bo stawką jest definicja człowieczeństwa. To szczególnie ważne w dobie błyskawicznego rozwoju tzw. sztucznej inteligencji. W przemówieniu wygłoszonym w 2020 r. na spotkaniu Światowego Forum Ekonomicznego znany autor Yuval Noah Harari stwierdził, że „ludzie nie są już tajemniczymi duszami, ale zwierzętami, które można zhakować”. Te słowa mogą szokować, ale badania nad wszczepianiem czipów do ludzkich mózgów są już przecież rzeczywistością zaawansowaną. Amerykańska firma Neuralink należąca do Elona Muska za sprawą czipów umożliwia sparaliżowanym obsługę kursora myszki komputerowej. Nawet



**ANDRZEJ
KOBYLINSKI**
**„OSOBA
W CENTRUM”**
**WYDAWNICTWO
UKSW 2024**

jeżeli daleko jeszcze do masowej „robotyzacji” człowieka, to „hakowanie” ludzi może odbywać się także innymi drogami.

Infosfera jest coraz silniej kontrolowana przez wielkie podmioty publiczne albo prywatne. Cenzura prewencyjna albo kasowanie treści to tylko najbardziej rażąca część tej kontroli. Kluczowe jest stosowanie algorytmów, które premiują treści pożądane przez władców

informacji. Tymi władcami mogą być ludzie postrzegający człowieka nie jako byt obdarzony godnością przez Boga, ale jako zwykłe zwierzę, jak chciałby tego Harari. Wówczas łatwe do wyobrażenia są gigantyczne nadużycia. W książce ks. Kobylińskiego wiele miejsca poświęcono zagadnieniu tzw. biopolityki – zarządzaniu ludzką populacją niczym jednostką biologiczną. Chodzi o „optymalizację” naszego zdrowia, produktywności i prokreacji – zgodnie z ogólnymi założeniami ideologicznymi. Przykładem brutalnej państwowej biopolityki jest chińska polityka jednego dziecka. Doprowadziła w Państwie Środka do uśmiercenia niezliczonej liczby dzieci nienarodzonych. Tak naprawdę analogiczną biopolitykę prowadzono również na Zachodzie. Przecież dokładnie ten sam skutek w postaci masowych aborcji przyniosła agresywna propaganda wroga posiadaniu dzieci, którą sączone rozmaitymi kanałami medialnymi od lat 60. XX w. Różniły się tylko sankcje: surowe kary finansowe w Chinach, ostracyzm społeczny na Zachodzie.

Książka ks. Andrzeja Kobylińskiego oferuje solidną porcję wiedzy na temat wszystkich tych debat. Problemów bioetycznych nie wolno ignorować – każdy musi się z nimi mierzyć już dziś, np. głosując w wyborach. Wraz z rozwojem technologiczny podstawowe pytania bioetyczne wkraczają coraz śmielej w naszą codzienność. Nie możemy pozwolić, by politycy w Polsce wprowadzali bezrefleksyjnie śmiertelne rozwiązania narzucone przez obce ośrodki wpływu.

Aby temu zapobiec, musimy dobrze zrozumieć, z czym się zmagamy. W tym zadaniu praca profesora UKSW jest wielką pomocą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

Lekcja skutecznej polityki



Pomnik Czynu Polaków w Szczecinie. Na kolejnych stronach: plakat propagandowy Polski Ludowej z roku 1945 autorstwa Włodzimierza Zakrzewskiego (51) oraz okładka książki „Szaniec Bolesławów” z roku 1941, napisanej przez działacza ruchu narodowego Lecha Karola Neymana (52) FOT. MATEUSZ WAR/WIKIPEDIA CC BY-SA 3.0



Marcin Skalski

Szczecinowi i Pomorzu Zachodniemu niesłusznie odmawia się miana Ziem Odzyskanych. Podcinamy w ten sposób swoje dawne korzenie, mimo że testament Piastów nigdy nie przestał być na tym obszarze aktualny. Faktu tego nie zmienia nawet dominacja niepolskiego przecież historycznego dziedzictwa w tym regionie

Konieczność opanowania ujścia Odry i władania Szczecinem ze względów strategicznych jest niemal tak dawna, jak długo istnieje samo państwo polskie.

PIASTOWSKI GRÓD

Szeroki dostęp do morza zabezpieczony kontrolą nad ujściem Odry to jeden z wiodących celów polityki protoplasty polskiej państwowości, którym jest książę Mieszko I. Państwo Polan na północy rozciąga się między dolną Odrą a dolną Wisłą, sięgając do Bałtyku. Sam Szczecin doświadcza gwałtownego rozwoju właśnie ze względu na zabezpieczenie przez Mieszka szlaku odrzańskiego prowadzącego nad Bałtyk, czego stawką są wcześniej dwie zwycięskie wojny stoczone w latach 967 i 972. Skuteczność

polityki księcia pozwala na określanie zachodnich rubieży jego państwa mianem piastowskich. „Całe dolnoodrzańskie prawobrzeże wraz z Pomorzem Zachodnim i ze Szczecinem już w końcu rządów Mieszka I stanowiło terytorium piastowskie” – pisze mediewista prof. Przemysław Urbańczyk.

W historii jednak nic nie jest dane raz na zawsze, jeśli nie jest podparte realną siłą – o czym szybko przekonuje się późniejszy król Bolesław Chrobry. Syn księcia Mieszka I od początku panowania tyłem bezwzględnie, co skutecznie konsoliduje swoją władzę, dość agresywnie rozpychając się przy tym na arenie międzynarodowej. Zmysł polityczny Bolesława doprowadza do powołania arcybiskupstwa w Gnieźnie w roku 1000. Nowej metropolii kościelnej podlegają biskupstwa



w roku 1176. Tym razem za sprawą naszych piastowskich przodków Pomorze Zachodnie już za drugim podejściem – po wspomnianym upadku biskupstwa w Kołobrzegu – zostaje trwale włączone w krąg świata chrześcijańskiego.

ZAKTUALIZOWANY TESTAMENT

Późniejsze rozbitcie dzielnicowe doprowadza jednak do stopniowego rozluźniania związków Pomorza Zachodniego z Polską. Jednocześnie – jak czytamy w tematycznym artykule

w „Przeglądzie Zachodniopomorskim” – Kościół pomorski z każdym rokiem swojego funkcjonowania oddala się coraz bardziej od archidiecezji gnieźnieńskiej. Ta ostatnia mimo wszystko podejmuje próby potwierdzenia swej zwierzchności nad diecezją w Kamieniu Pomorskim. Wyśliki te kończą się definitywnym niepowodzeniem pod koniec XIV w., a mieszkańcy wciąż jeszcze słowiańskiego Pomorza Zachodniego ostatecznie nie biorą udziału w etnogenezie narodu polskiego.

Tymczasem próby prowadzenia aktywnej polityki na odcinku północno-zachodnim, podejmowane przez królów Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego, Aleksandra Jagiellończyka czy też Zygmunta Augusta, nie przynoszą rezultatu. Szczególnie efektywnie wygląda jednak plany tego ostatniego władcy. „Zapanowawszy nad rozległym wybrzeżem morskim od Zatoki Fińskiej aż po Puck, Zygmunt August dążył do przedłużenia polskiego wybrzeża o Pomorze Zachodnie” – pisał prof. Zygmunt Boras („Związki Śląska i Pomorza Zachodniego z Polską w XVI wieku”). Jak widzimy, wybór między aktywną polityką wschodnią i zachodnią, między polityką „piastowską” a „jagiellońską”, to fałszywa alternatywa. Dobrze rządzone państwo polskie może być bowiem aktywne na wielu kierunkach jednocześnie.

W roku 1534 Pomorze Zachodnie, będące już prawie 200 lat lennem niemieckiego cesarza, przyjmuje wiarę protestancką. Oznacza to zarazem zagładę miejscowego katolicyzmu, ponieważ 11 lat później przestaje istnieć samo biskupstwo w Kamieniu Pomorskim. Katolickie dziedzictwo polskich władców Mieszka I,

wersytetu Szczecińskiego. Jak już jednak wspomniano, w historii nic nie jest przesądzone raz na zawsze...

Znaczenie ujścia Odry dla Polski rozumie jednak książę Bolesław Krzywousty. Prowadzi on na tym kierunku niezwykle aktywną, zaczepną politykę zagraniczną. W roku 1121 wojska polskie zdobywają Szczecin, być może docierając także na należącą dziś do Niemiec wyspę Rugię. Miejscowy książę Warcisław z pomorskiej dynastii Gryfitów musi przystać na ciężkie warunki pokoju: m.in. płacić dotkliwy trybut w wysokości kilkuset grzywien srebra rocznie i dostarczać posiłki wojskowe. Zarazem piastowski książę Krzywousty, dostrzegając polityczne znaczenie krzewienia wiary chrześcijańskiej, wymusza na pokonanym przeciwniku wpuszczenie do swego kraju misjonarzy, co z kolei – jak pisał historyk średniowiecza prof. Stanisław Szczur – spotyka się ze zdecydowanym sprzeciwem Kościoła niemieckiego.

Krywousty uzyskuje jednak aprobatę cesarstwa i licencję papieską na misję chrystianizacyjną, którą przeprowadza ciesząc się autorytetem Otton z Bambergu. Piastowski książę zapewnia misjonarzom Ottona eskortę zbrojną i częściowo aprowizację, uzupełnia też część kadry duchownych oraz tłumaczy towarzyszących wyprawie ewangelizacyjnej. „W tym wypadku wzorcem dla działań Krzywoustego okazał się Bolesław Chrobry” – pisze prof. Stanisław Rosik z Uniwersytetu Wrocławskiego. Tymczasem biskupstwo powstaje najpierw w Wolinie w roku 1140, a następnie – po niszczących najazdach duńskich – w Kamieniu Pomorskim

utworzone w Krakowie, we Wrocławiu i w Kołobrzegu. Warto odnotować, że dwa ostatnie powstają na obszarze, któremu częstokroć odmawia się dziś miana Ziemi Odzyskanych, poprzedzając je określeniem „tak zwane” – mimo że historia wyklucza przecież tę rzekomą uzurpację.

Tymczasem państwo Polan wciąż rodzi się w bólach, a w toku trzech wojen z Niemcami w latach 1003–1018 polskie wpływy muszą ustąpić z północno-zachodnich rubieży. Biskupstwo w Kołobrzegu przestaje istnieć, a miejscowy biskup zostaje wypędzony ze swej siedziby w roku 1007. „W ten sposób przed chrześcijaństwem z Polski zostały zamknięte na długie lata drogi w kierunku Szczecina, Wolina, Kamienia Pomorskiego i Kołobrzegu” – podsumowuje ks. prof. Grzegorz Wejman z Uni-

Bolesława Chrobrego i Bolesława Krzywoustego wydaje się zaprzeczające. Zarazem postępy czyni też germanizacja, która stopniowo spycha zasięg żywiołu słowiańskiego na Wschód. Sama polskość zostaje wzięta w niemieckie kleszcze z dwóch stron, tak że już w XX w. polski etnos ma dostęp do Bałtyku jedynie przez wąskie gardło, które 1 września 1939 r. Niemcy postanowią ostatecznie chwycić w śmiertelnym uścisku. Te dramatyczne okoliczności zaktualizują testament piastowskich władców jak nigdy wcześniej.

WZLATUJĄCY ORZEŁ

W XIX w. w Szczecinie i okolicach autochtoniczna ludność polska nie występowała. Miejscowi Polacy to głównie napływowi robotnicy, których zatrudnia lokalny przemysł. W samym mieście w okresie międzywojennym Polonia szczecińska liczy sobie maksymalnie kilkaset osób, a poszczególne organizacje polskie nie więcej niż kilkudziesięciu członków. Całokształt życia polonijnego jest inspirowany i animowany przez działający w tym mieście konsulat RP, trudno też mówić o samorządności czy oddolności ruchu polskiego. „Polska była bardzo źle odbierana w Szczecinie i prowincji pomorskiej. Potwierdza to szereg raportów konsulatów. Bycie Polakiem było więc rzeczą niełatwą w tym mieście. Utrudniało to karierę zawodową oraz stwarzało wiele codziennych napięć i upokorzeń” – pisze prof. Wojciech Skóra. Co najmniej nieprzyjazne stanowisko wobec Polaków demonstruje też niemieckie duchowieństwo katolickie, co nasila się szczególnie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Mimo tego znajdują się Polacy, którzy decydują się na czynny udział w działalności narodowej. Prawdopodobnie najaktywniejszą organizacją polonijną jest Polskie Towarzystwo Śpiewu „Chopin”, powołane w roku 1927. Warunki jego funkcjonowania są co najmniej niesprzyjające. „Chór, podobnie jak inne organizacje polonijne w Szczecinie, nie oparł się presji totalitarnie zorganizowanego społeczeństwa niemieckiego” – konkluduje prof. Skóra. Tym bardziej warta odnotowania jest ciągłość działania organizacji, funkcjonuje ona bowiem aż do roku 1939. Tymczasem od kwietnia 1929 r. w prywatnym mieszkaniu Józefy Gilowej przy obecnej ul. Śląskiej 17 dla grupy dzieci

Historia uczy, że warto posiadać nie tylko słuszość moralną, lecz także realną siłę

odbywają się polskie lekcje. Z kolei 10 maja 1930 r. działalność inauguruje Polskie Towarzystwo Szkolne w Szczecinie, a zarazem miejscowa szkoła polska. Jej los w decydującej mierze zależy od pracowników konsulatu. Zaangażowana w przedsięwzięcie Stefania Lechowska jest z kolei siostrą konsula. Działalność szkoły nie umyka uwadze władz niemieckich, co powoduje szykany wobec tej instytucji. „Stosunek władz niemieckich do działalności Polonii szczecińskiej, w tym Towarzystwa Szkolnego [...], był zdecy-



dowanie niechętny” – twierdzi dr Anna Lew-Machniak z Muzeum Narodowego w Szczecinie.

Co ciekawe, to właśnie miejscowi polscy nauczyciele są najliczniej reprezentowaną grupą zawodową wśród współpracowników polskiego wywiadu, który utrzymuje w mieście placówkę Bombaj. Po wrześniu 1939 r. Niemcy za współpracę tę skazują na śmierć m.in. dwóch z nich: Aleksandra Omieczynskiego i Maksymiliana Golisza. Wspomnianej szkółce pozytywną recenzję wystawił zaś prof. Wojciech Skóra: „Szkołka obej-

mowała swym edukacyjnym wpływem znaczny procent dzieci tych mieszkańców Szczecina, którzy w dalszym ciągu czuli się Polakami i w trudnych warunkach potrafili to potwierdzić swym postępowaniem”. Przedwojenną Polonię szczecińską upamiętnia dziś jeden z trzech wzlatujących ku niebu orłów na ustanowionym w roku 1979 szczecińskim pomniku Czynu Polaków.

NIE TYLKO SŁUSZNOŚĆ MORALNA

3 maja 1932 r. w Szczecinie odbywa się patriotyczna polska uroczystość, której frekwencję szacuje się na ok. 200 osób. W jej trakcie działacz polonijny Kazimierz (von) Pruszek przypomina, że Szczecin kiedyś należał do Polski, mówiąc: „Wszyscy nie chcemy stracić nadziei, że to miejsce, gdzie się znajdujemy, znowu będzie polskie”. Natomiast w styczniu 1933 r. podczas innej polskiej uroczystości prezes miejscowego towarzystwa szkolnego Tomasz (Thomas) Wilczyński oznajmia: „Może będziemy mogli nazwać kiedyś swoim własnym miejsce, gdzie się dzisiaj znajdujemy”. Już po wybuchu wojny działacz narodowy Lech Karol Neyman pisze z kolei: „W rozkazie swym do wojska [...] Hitler stwierdził, że obecne granice wykuwają się na tysiąclecie. Nie pomylił się w ocenie znaczenia chwili dziejowej”. Czytamy to w konspiracyjnej broszurze z 1941 r., która nosi znamienity tytuł „Szaniec Bolesławów”. Sam Neyman zostanie zamordowany przez komunistów w roku 1948, wolna Polska nie uhonorowała go nawet jedną ulicą jego imienia.

Zwycięstwo nad Niemcami w drugiej wojnie światowej, choć na sowieckiej „licencji”, przywróciło Polsce Szczecin. Doniosłość tego faktu doceniał choćby kard. Stefan Wyszyński, który w październiku 1972 r. mówił: „Powrót Polski na Ziemię Piastowskie, na Ziemię Śląskie czy też na Ziemię Pomorskie, jest ostrzeżeniem [...] dla narodów krwawych, które wywołują wojny [...]. Ale myśli Boże są inne niż myśli ludzkie i państwo polskie i Kościół polski są znowu tutaj i ten plan Boży jest dzisiaj realizowany”.

Historia uczy jednak, że warto posiadać nie tylko słuszość moralną, lecz także realną siłę. W kwestii panowania nad ujściem Odry mamy co najmniej jedną z nich.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Oczami świadka

Każda rocznica wprowadzenia stanu wojennego przywołuje w pamięci tamte grudniowe i styczniowe dni oraz represje, które dotknęły mnie i innych, niezależnych dziennikarzy. Pracowałam wtedy jako reporter popularnej popołudniówki „Express Poznański” i – oprócz tekstów pisanych do gazety – mając świadomość niezwykłości czasu, prowadziłam dzienniki. Dwa połówki zeszyty formatu A4 oddają szczegółowo atmosferę tamtych miesięcy. Czytane po latach mogą razić nadmierną emocjonalnością i uproszczeniami, ale taki był wtedy świat. Byliśmy MY z Solidarności i ONI, którzy wyprowadzili wojsko na ulice, bili, pałowali, zastraszali, wsadzali do więzień i wyrzucali z pracy.

Byłam członkiem Komitetu Zakładowego NSZZ „Solidarność” w RSW Prasa, zajmowałam się wydawnictwami i prowadziłam zakładową bibliotekę. W noc stanu wojennego internowano dziennikarzy: Michała Łuczaka z „Głosu Wielkopolskiego” i Wojciecha Dolałę z „Gazety Poznańskiej”. Tak opisuję pierwsze chwile w redakcji po wprowadzeniu stanu wojennego.

14 grudnia 1981 roku

W poniedziałek w redakcji nie do każdego do końca dotarła prawda o stanie wojennym. Dla wielu na początku była to jakby zabawa, a internowanie kolegów przypominało wyjazd na trochę niebezpieczną, wysokogórską wycieczkę. Jednak coraz to nowe wiadomości i zarządzenia studziły beztroskę: godzina milicyjna od 23ciej do 7mej rano, obowiązek zdania nawet białej broni, rozwiązanie Stowarzyszenia Dziennikarzy i wielu stowarzyszeń, militaryzacja coraz to nowych zakładów pracy, wyłączone telefony.

W gmachu „Prasy” pojawiają się nowe twarze, zdarto już naszą solidarnościową gablotę [...]. Członkowie „Solidarności” otrzymują bezterminowe urlopy, z „Expressu Poznańskiego” zostaje tylko kierownictwo. Nawet kierowniczka stołówek (należała do „Solidarności”) musi opuścić swoje stanowisko. Stołówekę przejmuje ktoś partyjny. Zemsta czy obawa przed otruciem?

Groteska miesza się z dramatem.

Puste pokoje, plombowane maszyny do pisania, opróżniane biurka, walające się



Barbara Kęcińska-Lempka

– Po Okrągłym Stole w roku 1989 i pierwszych „częściowo wolnych” wyborach do Sejmu do tematu weryfikacji dziennikarzy nie wracano. Nikt nas za wyrzucenie z pracy nie przeprosił i nie zwrócił się z prośbą o powrót do redakcji. Były wypadki, że weryfikatorzy, uplasowani później na wysokich stanowiskach w redakcjach, odmawiali swoim ofiarom przyjęcia do pracy. Większość moich kolegów z poznańskiej prasy (negatywnie zweryfikowanych) nie wróciła na etat – wspomina dziennikarka

■ wszędzie maszynopisy. Malarze już gipsują dziury po wyrwanej gablocie „Solidarności”. Wszystko trzeba zamałować jak najprędzej. W portierni nowe osoby. Wydają przepustki. Piętro wyżej dyżurni z opaskami sprawdzają wszystkich wchodzących. Ludzie zaczynają się bać. Nadal jesteśmy odcięci od świata, od innych miast, ba nawet od sąsiednich instytucji. Co z ludźmi, nie wiadomo. Spikerzy raczeli przeczytać listy niektórych internowanych. Ilu wzięto ludzi z „Solidarności”, gdzie Wałęsa? – milczą ubrani w mundury. Zamiast tego długa lista aresztowanych za próby nawoływania do strajku. Przybijają człowieka te listy, każą myśleć o okupacji i odważnych, którzy usiłują walczyć [...]. Propaganda osiąga wyżyny absurdu. W telewizji umundurowani spikerzy rozprawiają o kontrewolucji. Wyciągnięto z lamusa wyświechtane, gotowe formułki. Przykładem pewien docent, specjalista od cybernetyki społecznej, który w telewizji z całą powagą oświadcza, że imperialiści zmuszali nas do eksportu żywności, powodując napięcie na rynku i słuszny protest klasy robotniczej, wykorzystany przez wrogów socjalizmu. W telewizorze dzieci z przedszkola śpiewają „Okę”, a podstawiony profesorek w obecności podstawionych kamer wręcza „spontanicznie” żołnierzom czekoladki. Groteska.

Pamiętam te mroźne pierwsze dni stanu wojennego. Mróz, śnieg, a ja ciągle wędrowałam po znajomych i po ulicach miasta, zbierając informacje, dopytując się o ludzi. Wieczorami pisałam i pisałam. Do redakcji nie mogłam przychodzić. Pierwszego dnia większość dziennikarzy otrzymała bezterminowe urlopy. Do gmachu Prasy można było wejść po załatwieniu przepustki, i to tylko na pierwsze piętro do administracji. Wyższych pięter strzegli umundurowani osobnicy z bronią. Z trzech dzienników, ukazujących się w Poznaniu, wydawano tylko jeden – „Gazetę Poznańską”, redagowaną przez zaufanych dziennikarzy. Już 15 grudnia zostałam wezwana na Komendę Milicji na ulicę Kochanowskiego. „Sprawa urzędowa. Natychmiast!” – napisano na świstku, który pod moją nieobecność zostawili dwaj panowie mojej mamie.

Przesłuchanie opisałam szczegółowo w dziennikach. Wróć teraz do sytuacji w prasie. Oto fragmenty dzienników:

19 stycznia 1982 roku

Wszyscy otrzymaliśmy wezwanie do redakcji na jutro. Ciekawe, czy będą zmuszać nas do podpisania deklaracji lojalności i odcięcia się od „Solidarności”. Ironizuję i śpiewam: „Do zeszmacenia jeden krok, jeden jedyny krok, nic więcej”. Rzeczywiście, najpierw drobne ustępstwo, parę małych kłamstw, potem jeszcze kilka kroków i, niepostrzeżenie, człowiek zamieni się w trzęsącą ścięgę, zamoczoną w aktualne slogany, wykręcaną w potrzebie chwili [...].

21 stycznia 1982 roku

Metody upokarzania są różne. Wczoraj o godzinie 17.15 miało się odbyć zebranie „Expressu Poznańskiego”. Przyszliśmy wszyscy.

Czekaliśmy nie wiadomo na co. Napięcie rośnie. Niektórzy z nerwów zaczęli odczuwać głód, mówiliśmy o jedzeniu. – A ja od rana nic nie jadłem – żartował Żuk (reporter Zbigniew S.). – Nic nie jem przed akcją. Stara partyzancka zasada. Jak dostaniesz kulę w brzuch, większa szansa, że przeżyjesz.

W Polsce za niepłacenie abonamentu RTV ściga się obywatela do upadłego, a zbrodnie komunistyczne ulegają przedawnieniu

Po godzinie czekania poproszono do świetlicy „Gazety Poznańskiej” dziennikarzy nienależących do „Solidarności”. Po 20 minutach wyszli, po wysłuchaniu komunałów typu „stan wojenny był koniecznością” i po scharakteryzowaniu sytuacji w wydawnictwie (nadal nie wiadomo, kiedy ukażą się wszystkie gazety). Poślano ich do domu i kazano czekać na ewentualne wezwanie do pracy. Pozostałych, pojedynczo, do świetlicy, wprowadzał zastępca redaktora naczelnego „Expressu” Janusz O. Zaskoczyła mnie powaga komisji: redaktorzy naczelni, sekretarz POP PZPR, jakiś wojskowy, ktoś z SB, towarzysz Kozibąk z KC PZPR, towarzysz Olejniczak sekretarz Wydziału

Propagandy KW PZPR w Poznaniu, Jacek Świgoń dyrektor RSW „Prasa”. Siedzieli za dużym, czarnym stołem i notowali każde słowo [...].

W mojej sprawie (podejrzewam, że w każdym wypadku tak było – hierarchia obowiązuje) inicjatywa należała do członka Komitetu Centralnego. Po przedstawieniu mnie przez naczelnego „Expressu” redaktora Macieja Gryfi- na zażądano, bym scharakteryzowała „Solidarność”. Scharakteryzowałam, kładąc nacisk na proponowane reformy ekonomiczne, na rozpoczęcie dyskusji o gospodarce, odejście od ekonomicznych dogmatów (naczelnym „Expressu” przedstawił mnie jako reportera, ekonomistę i członka Koła Młodych Związku Literatów Polskich).

– Zawsze konstruktywna jest wielość spojrzeń na problem, różne podejścia i dyskusja – mówiłam.

Towarzysz Kozibąk: – Ale chyba pani widziała też mankamenty w działaniu, „Solidarność” robiła wiele złego [...].

Ja: – O niczym takim nie wiem.

Towarzysz Kozibąk (złośliwie): – No jak to! Dziennikarz. Taki świadomy niby człowiek, a nie wie! Czekamy.

Ja: – Odmawiam odpowiedzi na to pytanie. Oskarżony ma prawo do odmowy zeznań, a ja się czuję oskarżona.

Towarzysz Kozibąk (po chwili): – No chyba pani tego tak nie traktuje. Nikt tu nikogo nie oskarża, ale musimy mieć ludzi pewnych, zaufanych. Uniknęliśmy kontrrewolucji, w szeregach „Solidarności” byli ludzie nieodpowiedzialni, groził nam demontaż państwa socjalistycznego.

Ja (z udawaną głupotą): – Aha, to o to chodzi! To ja się tu mogę zobowiązać, że państwa socjalistycznego demontować nie będę. Zresztą nie mam takich możliwości.

Tow. Kozibąk (wściekły): – Nie ma co z panią rozmawiać. Kończymy.

Mój naczelny usiłował załagodzić sprawę, mówiąc: Ta pani tak zawsze się młodzieżowo zachowuje.

Byłam zła, że pozwoliłam wyrzucić się tak szybko, nie powiedziałam więcej od siebie i nie spytałam o internowanych. Niektórzy moi koledzy opieprzyli mnie również:

– Dziewczyno, ale jesteś niemądra. Przecież wiedziałaś, czego oni od ciebie oczekują. To należało mówić,

a nie odgrywać bohaterkę. Przecież tak i tak nie ma znaczenia, co się przed nimi powie.

Jestem jednak w miarę zadowolona. Setki ludzi w więzieniach, tysiące wyrzuconych z pracy, szykany i represje. Nie będę, trzęsąc się o swój stołek, przed jakimś partyjnym młotem wypierać się wszystkiego [...]. Każdy wykręcał się, jak umiał, od odpowiedzi, ale komisja drążyła, żądała konkretnych deklaracji. Trudno zresztą było się zapierać. Komisja dysponowała wiedzą na temat najdrobniejszych, wewnątrzredakcyjnych spraw, zdarzeń, jakie zaszły nawet w małym gronie. Drobną, tragikomiczną przykłąd. Siedzieliśmy kiedyś w stołówce przy obiedzie. Cztery osoby, sami zaufani koledzy z „Solidarności”. Wojtek D. męczył się z żylastą pieczęcią. – Ciesz się, bo niedługo komunistów w buraczkach będziesz jadł – zażartował Przemek. Ten incydent dotarł do komisji przesłuchujących dziennikarzy, która z całą powagą kazała odpierać zarzuty nawoływania do kanibalizmu i tłumaczyć się z planów jedzenia komunistów w buraczkach. Kto doniósł?

Przeciętne przesłuchanie trwało 20 minut. Ludzie wykręcali się ogólnikami, a przyparci do muru powtarzali partyjną propagandę. Redaktor naczelny „Expressu Poznańskiego”, jako jedyny, bronił swoich pracowników. Inni, jak opowiadali koledzy, przed komisją skarżyli na nieprawomyślnych podwładnych. Wychodziliśmy z redakcji około godziny 22.

– Tyle zakrętów historii, a pierwszy raz taka czystka, zorganizowana na wielką skalę – twierdzili ci, którzy pracowali w redakcji ponad 20 lat i jak sztabacy, czekać musieli pod drzwiami na egzamin [...].

Kolega, po usłyszeniu opowiadania o weryfikacji i mojego stwierdzenia, że nawet z UB nie wyniosłam tak złych wrażeń jak z redakcji, powiedział lapidarnie: – Nic dziwnego. Na UB przesłuchiwali z obowiązku, tu z powołania. Poza tym na Kochanowskiego chcieli się czegoś dowiedzieć. W prasie z momentem wejścia dziennikarza wszystko jest prawie przesądzone. Chodzi tylko o to, by upokorzyć i zmusić do zaparcia się siebie. Dlatego monosylaby nie wystarczy. Trzeba się poniżać i wypierać.

Człowiek z przetrąconym kręgosłupem będzie uległy.

Po weryfikacji do pracy nie wróciłam.

*

W grudniu 2015 r. brałam udział w konferencji „Represje wobec pracowników mediów po wprowadzeniu stanu wojennego 13.12.1981 roku”, zorganizowanej w Domu Dziennikarza SDP w Warszawie. Rozmawiając o weryfikacji przedstawił, występujący na konferencji, dr Grzegorz Majchrzak, historyk z Instytutu Pamięci Narodowej. Wśród kilku tysięcy internowanych działaczy Solidarności było 100 dziennikarzy. Komisje weryfikacyjne odbyły 10 tys. rozmów z dziennikarzami i osobami z zaplecza redakcji (drukarze, pracownicy techniczni) – 10 proc. dziennikarzy zweryfikowano negatywnie i pozbawiono pracy. Odwołano 60 redaktorów naczelnych gazet, 80 zastępców i 60 sekretarzy redakcji. Zmilitaryzowano radio i telewizję, rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Wielu dziennikarzy wyrzuconych z pracy zajęło się rzemiosłem, inni znajdowali jakąkolwiek pracę, często fizyczną.

Z Poznańskiego Wydawnictwa Prasowego wyrzucono 12 pracowników. Odeszli ludzie najzdolniejsi, najaktywniejsi. Wielu zapłaciło za swoją postawę cenę najwyższą. Internowany Wojciech Dolata zmarł młodo na serce, Michał Łuczak przypłacił internowanie ciężką chorobą i przedwczesną śmiercią. Wojciech Cieślewicz, dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego”, zginął pobity przez milicję i ZOMO (sprawców nie ustalono do dziś).

Pisząc dzienniki, zastanawiałam się, jak podsumować opowieść o tamtych latach, kładących się cieniem na życiu wielu ludzi. Wśród cytatów z książek, którymi kiedyś pracowicie zapełniałam zeszyty, znalazłam fragment „Wspomnienia z martwego domu” Fiodora Dostojewskiego i nim zakończyłam zapiski...

„[...] ile młodości pogrzebano w tych murach na próżno, ile wielkich sił zginęło tu nadaremnie. Bo trzeba już powiedzieć wszystko, przecież ci ludzie byli ludźmi niezwykłymi. Przecież to może ludzie najzdolniejsi, najwybitniejsi z całego naszego narodu. Ale na darmo przepadły potężne siły, przepadły nienormalnie, bezprawnie, bezpowrotnie. Ale kto temu winien? Otóż kto winien?”

Nie doczekałam się odpowiedzi na pytanie oraz kary dla sprawców. Po Okrągłym Stole w roku 1989 i pierwszych „częściowo wolnych” wyborach do Sejmu do tematu weryfikacji dziennikarzy nie wracano. Nikt nas za wyrzucenie z pracy nie przeprosił i nie zwrócił się z prośbą o powrót do redakcji. Były wypadki (mówiono o nich na konferencji), że weryfikatorzy, uplasowani później na wysokich stanowiskach w redakcjach, odmawiali swoim ofiarom przyjęcia do pracy. Większość moich kolegów z poznańskiej prasy (negatywnie zweryfikowanych) nie wróciła na etat, mnie łaskawie, po latach, przyjęto na umowę-zlecenie, płacąc jedynie wierszówkę.

W roku 2007 wystąpiłam do Instytutu Pamięci Narodowej z prośbą o dostęp do akt. Dowiedziałam się, że byłam „[...] kontrolowana jako aktywny działacz NSZZ »Solidarność«”. Niestety, materiały wybrakowano (czyli zniszczono) w 1989 r. W archiwach Komitetu Centralnego PZPR znaleziono jednak protokoły z weryfikacji dziennikarzy. Na ich podstawie w 2008 r. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Poznaniu wszczęła śledztwo w sprawie „przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego, członków komisji weryfikacyjnej, polegającym na złośliwym naruszaniu praw pracowniczych i podjęciu decyzji o rozwiązaniu umowy o pracę” (śledztwo dotyczyło Poznańskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa”, Rozgłośni Polskiego Radia w Zielonej Górze oraz Polskiego Radia i Telewizji w Poznaniu).

Działania weryfikacyjne uznano za zbrodnię komunistyczną, ale w roku 2010 śledztwo umorzono z powodu przedawnienia. Podobnie było ze śledztwami w innych rejonach kraju. Polska to taki dziwny kraj, że za jazdę bez biletu lub niepłacenie abonamentu RTV ściga się obywatela do upadłego, a zbrodnie komunistyczne ulegają przedawnieniu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka w 2016 r. za dzienniki stanu wojennego otrzymała nagrodę specjalną Wielkopolskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Całość zapisów można znaleźć w Internecie na stronie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w zakładce „Historia, Ludzie, Działa”. Fragmenty ukazały się w „Kronice Miasta Poznania” 2002, nr 4. Mimo starań autorki nie udało się doprowadzić do wydania dzienników w formie książkowej.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Słodkie życie

Wpotocznym przekonaniu pierwsza dekada Polski Ludowej była bardzo siermiężna i pełna wyrzeczeń. I taka była, ale nie dla „nowej szlachty”, która wypęzła z lumpenproletariatu i pośpiesznie się na wszystkim uwłaszczała. Bieruta uczył jeść nożem i widelcem jeden ze zdeklasowanych arystokratów. Gomułka był nadzwyczaj oszczędny, najtańszego papierosa marki Sport łamał na pół i palił go w fife, aby wyżarzyć go prawie w całości. Ale produkty spożywcze kazał sobie przywozić ze wsi – szynkę, wędliny, masło, sery, bo sklepowych jeść nie chciał. W żąbki go kłuły! A te od kułaka lepiej mu smakowały. Hulaszczy styl życia Cyrankiewicza był wprost przysłowiowy. Dla niego pracowała specjalna masarnia. Natomiast sklepy „za złotymi firankami” były dla partyjnego plebsu, bo i on musiał coś z tego mieć. O kulisach życia codziennego czerwonej nomenklatury wiemy bardzo niewiele, skupiając się na sprawach bardziej politycznych. Co więcej, nie ma nawet takich badań, przez co komuniści nawet z warstwy wyższej odbierani są swojsko i prawie przyjaźnie. A jednak warto zajrzeć za kulisy, jak to z nimi naprawdę było.

W 1956 r. na fali wewnętrznych rozliczeń między frakcjami PZPR powstawały dokumenty, które nie miały prawa ujrzeć światła dziennego. Ale

ujrzały i sporo możemy się z nich dowiedzieć. Sporo nam mówi na ten temat notatka dla Biura Politycznego „W sprawie ograniczenia przywilejów materialnych dla działaczy państwowych, partyjnych, związkowych i wojskowych”. Okazuje się, że w sferze obsługi czerwonej pajęczyny zatrudnione były tysiące ludzi, przez których prawda o słodkim życiu wychodziła na jaw. W tejże notatce czytamy, że towarzysze i ich rodziny nie zachowują... skromności i umiaru w korzystaniu. No właśnie: służbowe meble, darmowe wakacje i wyjazdy zagraniczne, darmowe wyżywienie i przejazdy, darmowe mieszkanie i auta do stałej dyspozycji.

Najbardziej bulwersujące było jednak utrzymywanie „pracownic domowych” na etatach poszczególnych resortów. Były przydzielane do dyspozycji członka nomenklatury na rok. I pewnie poszłoby to w zapomnienie, gdyby nie fakt, że żony towarzyszy zaczęły protestować, bo następowała zbyt częsta zamiana tych kobiet między ich mężami. Były to ówczesne „agencje towarzyskie” – mówiąc wprost: państwowe zamtuzy, bo przecież towarzysze nie mogli swobodnie chodzić gdzieś w bok poza jakąkolwiek kontrolą. Jednak instytucję „pracownic domowych”, prosperującą ponad dekadę, uznano za czynnik demoralizujący i przyczyniający się do rozbijania rodzin. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Inflanty
a sprawa polska

Początki Dyneburga (obecnie łotewskie Daugavpils) sięgają XIII stulecia, a jego założycielami byli rycerze z zakonu Kawalerów Mieczowych. Nowa epoka nadeszła wraz z sekularyzacją państwa zakonnego na Inflantach, gdy miasto znalazło się w granicach Rzeczypospolitej.

Jego nową lokację na prawie magdeburskim przeprowadził król Stefan Batory (26 marca 1582 r.) i do I rozbioru Polski dzieliło ono losy naszego kraju. Dyneburg stał się stolicą Inflant Polskich (województwa inflanckiego), ale uczciwie trzeba przyznać, że prowincja nie miała szczęścia do dostojników. Peryferyjne położenie zadecydowało, że tutejsze godności traktowano wyłącznie jako synekury, gdyż nominacja na wojewodę czy biskupa inflanckiego dawała przepustkę do Senatu Rzeczypospolitej.

W efekcie urzędy sprawowali często typowi karierowicze, a w tym gronie szczególne miejsce zajmowali miejscowi biskupi. Antoni Ostrowski pobierał regularną pensję od Rosjan, Jan Stefan Giedroyc zasłynął jako zajadły poplecznik Katarzyny II, a Józef Kossakowski został uznany za zdrajcę i powieszono go publicznie podczas powstania kościuszkowskiego.

Natomiast inflancka szlachta pochodzenia niemieckiego dobrze się zaskładała w dziejach Polski. Manteufflowie, Platerowie

i Tyzenhauzowie byli wierni swojej ojczyźnie z wyboru, pełnili wysokie urzędy, walczyli w powstaniach, mieli też wielkie zasługi dla polskiej kultury. Nie tylko jako jej sponsorzy, lecz także jako twórcy i naukowcy.

Rozbiory nie zahamowały poczucia przynależności do Polski, co potwierdza to, że podczas insurekcji kościuszkowskiej Dyneburg został opanowany przez oddziały Michała Kleofasa Ogińskiego (tego od poloneza), natomiast podczas powstania styczniowego z Rosjanami walczył oddział Leona Broela-Platera. Przy okazji można też przypomnieć, że do stłumienia powstania Rosjanie zastosowali patent opracowany wcześniej przez Austriaków. Podburzyli miejscowe chłopstwo, które ruszyło na polskie dwory, a makabryczne sceny z Łatgalii przypominały niekiedy wydarzenia z rabacji galicyjskiej z 1846 r.

Pod koniec XIX w. Dyneburg nosił rosyjską nazwę Dźwińsk i był intensywnie kolonizowany przez carskich wojskowych oraz urzędników. Miasto leżało bowiem na trasie kolei warszawsko-petersburskiej i miało dogodne połączenie z Rygą. Nic zatem dziwnego, że władze rosyjskie rozbudowały miejscową twierdzę i stolica dawnych Inflant Polskich stała się ważnym bastionem obronnym na Pribałtice. Wszystko to miały jednak zmienić pierwsza wojna światowa i rozpad imperiów Romanowów. ©©



SILIKONOWE „ROGI”

Pewien miłośnik modyfikacji ciała z Brazylii twierdzi, że ludzie nazywają go „diabłem”. Trzydziestoletni ojciec dwojga dzieci jest cały pokryty tatuażami, a w jego głowie znajdują się silikonowe implanty, które „mają sprawiać wrażenie rogów”. Mężczyzna opowiedział o najboleśniejszym zabiegu, jakiemu się kiedykolwiek poddał. Było to rozcięcie warg i języka na pół. Człowiek nazywany „diabłem” twierdzi, że rodzina go w jego pasji wspiera.

FOT. INSTAGRAM@PEDROKINGO

NAGO W SKLEPIE

Para influencerów – również z Brazylii – posiada rezydencję o powierzchni 700 mkw., w której mieszka z innymi partnerami, praktykując „poliamorię”. W swoim rodzinnym mieście João Pessoa kobieta i mężczyzna chcą stworzyć „pierwszą społeczność nudystów”. A zainspirowali się podróżą do kurortu Cap d'Agde we Francji, który słynie z liberalnych zwyczajów. Byli pod wrażeniem choćby tego, że mogli tam nago wejść do supermarketu i zrobić w nim zakupy.

GENDER NOWORODKÓW

Administracja szpitala w New Jersey pyta rodziców o płeć ich nowo narodzonych dzieci. Szkopuł w tym, że w szpitalnej ankiecie muszą oni nie tylko podać płeć dziecka „przy urodzeniu” – tu do wyboru są „tylko” trzy opcje: „kobieta”, „mężczyzna”, „wolę nie odpowiadać” – lecz także określić tożsamość płciową, którą mu przypisują. A w tym przypadku w formularzu jest do wyboru wiele odpowiedzi – są to m.in.

„transpłciowa kobieta” i „transpłciowy mężczyzna”.

NIEUDOLNI RABUSIE

Dwóch uzbrojonych zamaskowanych mężczyzn chciało obrabować kasyno w Brabancji Północnej. Ale nic z tego nie wyszło. Automatyczne drzwi do budynku nie otwierały się przed nimi. Próbowali więc je sforsować ręcznie, ale bez skutku. Gdy nie udało im się dostać do kasyna, sfrustrowani swoją nieudolnością rabusie postanowili napaść i okraść przypadkowego przechodnia.

Z MŁOTKIEM W STANIKU

Amerkańska badaczka polarna przeżyła w roku 2022 horror w stacji na Antarktydzie. Teraz zdecydowała się ujawnić, że do grupy, w której pracowała, trafił mężczyzna o przeszłości kryminalnej. Zachowywał się agresywnie. Kobiętę nękał do tego stopnia, że na wypadek poważnego niebezpieczeństwa trzymała ona w staniku młotek. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Efektywny jak Polak

Produktywność w Polsce w latach 2019–2024 wzrosła aż o 9,6 proc. – wynika z najnowszego raportu EY. To imponujący wzrost. W tej kategorii Polacy wypadli bowiem lepiej niż inne kraje Europy Zachodniej czy Amerykanie, choć podobnie jak Litwini, Słowacy czy Bułgarzy.

W badanym okresie w Stanach Zjednoczonych wzrosła bowiem o 7,3 proc., w Wielkiej Brytanii o 2 proc., w Niemczech o 0,7 proc., a we Francji spadła o 1,5 proc. Najszybszy wzrost PKB na przepracowaną godzinę eksperci EY zaobser-

wowali na Malcie (18,7 proc.) oraz na Słowacji (wzrost o 12,3 proc.).

Największe wzrosty wydajności w Polsce eksperci EY zauważyli w takich sektorach jak rolnictwo, leśnictwo i rybołówstwo (przyrost aż o 37,1 proc. w porównaniu z 9,1 proc. w latach 2015–2019), na rynku nieruchomości (wzrost o 35 proc. w latach 2019–2024, a wcześniej, w latach 2015–2019, aż 39,8 proc.) oraz w przetwórstwie przemysłowym (gdzie wydajność w ciągu ostatnich pięciu lat wzrosła o 12 proc., czyli nieco mocniej niż w latach 2015–2019 – wówczas o 11 proc.).

Dane za ostatnich pięć lat to wcale nie koniec dobrych wiadomości. Ekspert EY prognozują bowiem, że m.in. dzięki dalszej akumulacji kapitału oraz rozwojowi Generatywnej Sztucznej Inteligencji (GenAI) produktywność w Polsce nadal będzie rosła. Przez kolejne 3,5 roku wzrost produktywności ma utrzymać się na poziomie zbliżonym do ostatnich 4,5 roku lub nawet być od niego nieco szybszy.

Trzymam kciuki. Może wówczas pod względem PKB na mieszkańca przegonimy nie tylko Czechy czy Hiszpanię, lecz także wymarzoną Japonię... ©



Z dr. Michałem Krupą, historykiem, politologiem i publicystą, byłym redaktorem naczelnym portalu Konserwatyzm.pl rozmawia Ryszard Gromadzki

Polska nie ma wiecznych wrogów



RYSZARD GROMADZKI: Brytyjski rząd ogłosił, że do tzw. koalicji chętnych, czyli misji wojskowej, która miałaby gwarantować rozejm, a później pokój na Ukrainie, zgłosiło się już 30 państw. Problem w tym, że o żadnej misji rozjemczej na Ukrainie z udziałem wojsk NATO nie chce słyszeć Rosja. Kreml stawia ten warunek bardzo kategorycznie. Dlaczego brytyjski rząd wraz z prezydentem Francji z takim uporem forsują tę inicjatywę?

DR MICHAŁ KRUPA: Myślę, że Wielka Brytania próbuje doprowadzić do rozmieszczenia na Ukrainie sił pokojowych, szczególnie z państw NATO, licząc, że w ten sposób wymusi ze strony prezydenta Trumpa gwarancje, że gdyby te wojska zostały zaatakowane przez Rosjan, mogłyby liczyć na wsparcie ze strony USA.

Praktyka pierwszych tygodni sprawowania władzy przez nową administrację w Waszyngtonie pokazuje jednak, że z dużą niechęcią odnosi się ona do jakichkolwiek gwarancji na rzecz Ukrainy, szczególnie militarnych gwarancji bezpieczeństwa. Wprawdzie Trump wielokrot-

nie mówił, że nie widzi problemu w tym, żeby Europejczycy znaleźli się w składzie sił pokojowych, które miałyby ewentualnie zostać rozmieszczone na Ukrainie, ale stanowisko Kremļa w tej sprawie jest nieprzejednane. Rosja stawia sprawę jasno: żadnych wojsk NATO na Ukrainie. Co więcej, wydaje się czymś pewnym, że takie siły, nawet gdyby znalazły się na Ukrainie, nie mogłyby liczyć na żadne gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA.

Reasumując, inicjatywę określaną jako „koalicja chętnych” trzeba traktować jak przejaw daleko posuniętego chaosu, który panuje w Paryżu, Londynie i Berlinie, a także w Brukseli, bo tamtejsze elity tylko powielają politykę kształtowaną przez główne ośrodki władzy w Niemczech i we Francji. Chaosu, a także desperacji, bo wszyscy trzeźwo patrzący na rzeczywistość zdają sobie sprawę, że Ukraina przegrała tę wojnę. A przy obecnym tragicznym położeniu jej wojsk w obwodzie kurskim ta przegrana może

mieć jeszcze bardziej sromotny charakter. Wielka Brytania i Francja ze względów taktycznych i propagandowych cały czas próbują przedstawiać nowe koncepcje wsparcia Ukrainy, ale doskonale wiedzą – co regularnie podkreśla brytyjski premier Starmer – że każda europejska inicjatywa polityczna czy wojskowa dotycząca Ukrainy musi mieć amerykański backstop.

Linia polityczna realizowana przez premiera Starmera wpisuje się w tradycyjną brytyjską doktrynę, której celem było zawsze osłabianie najsilniejszego państwa na kontynencie, w tym wypadku Rosji?

Zdecydowanie tak. Historia brytyjskiej rusofobii, jakkolwiek byśmy ją oceniali, jest bardzo długa.

Jej początków należy chyba szukać w epoce wojny krymskiej, w połowie XIX w.?

Niektórzy badacze twierdzą, że jeszcze wcześniej, wiążąc to zjawisko z rywalizacją imperium brytyjskiego



Pójście w ciemno na wojnę na Ukrainie za podpowiedzią Brytyjczyków – czy to w postaci jakichś sił pokojowych, czy w ogóle angażowania się w tej wojnie zastępczej z Rosją pod brytyjską batutą – jest igraniem z ogniem. Na zdjęciu: premierzy Donald Tusk i Keir Starmer

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

i despotycznego przeciwnika zachodnich wartości.

Wracając do polityki premiera Starmera w sprawie ukraińskiej, zgadzam się z pana tezą postawioną we wcześniejszym pytaniu, że jest ona tradycyjnym aktem brytyjskiej rusofobii. Aktem realizowanym mimo wycofywania się z Ukrainy przez Stany Zjednoczone, protektora Europy, a szczególnie Wielkiej Brytanii. Londyn mimo to robi wszystko, aby ściągnąć tam Wielkiego Brata z powrotem. Rząd Starmera nie odstępuje od tej polityki, choć ma fatalne sondaże. Postawa prowojenna, proukraińska i skrajnie antyrosyjska – bo tak trzeba ją nazwać – ewidentnie mu nie pomaga.

Ten konfrontacyjny wobec Rosji kurs brytyjskiej polityki zaznaczył się już na początku wojny na Ukrainie. Z dyplomatycznych przekazów wynika, że w kwietniu 2022 r., zaledwie kilka tygodni po agresji Rosji na Ukrainę, była szansa na rozejm. Nie doszło do niego, bo prezydenta Ukrainy Zełenskigo skutecznie odwiódł od porozumienia z Rosją ówczesny premier Wielkiej Brytanii, Boris Johnson. Teraz sytuacja się powtarza – na czele międzynarodowej partii prowojennej podsycającej konflikt znów jest premier Zjednoczonego Królestwa.

To fakt. Trzeba podkreślić, że MI6, czyli brytyjski wywiad, odgrywa znaczącą rolę na Ukrainie, a na niektórych odcinkach, jak wynika z mojej wiedzy, ta rola jest nawet większa niż amerykańskiej CIA. To służby brytyjskie mają odpowiadać za bezpieczeństwo prezydenta Zełenskigo i jego najbliższego otoczenia. Z pewnością Brytyjczycy dużo zainwestowali w wojnę na Ukrainie. Jeślibym miał wskazać państwo europejskie, które jest prowadzonym w tej wojnie, to zdecydowanie jest nim Anglia. W ostatnim czasie Niemcy próbują wejść w pewną konkurencję z Brytyjczykami w tej materii, w prowojennej retoryce, ale mimo wszystko, biorąc pod uwagę, ile Wielka Brytania zainwestowała w ten konflikt, poczynając już od przewrotu politycznego na Majdanie w 2014 r., widać, że to Anglia wiezie prym i cały czas stara się oddziaływać na sytuację na Ukrainie. Ponadto Wielka Brytania ma do dyspozycji coraz słabsze karty przetargowe. Wymowna scena miała miejsce podczas niedawnej wspólnej konferencji prasowej Trumpa i Starmera w trakcie wizyty brytyjskiego premiera w Waszyngtonie. Kiedy ten wychwalał sojusz amerykański-

ska-brytyjsko-kanadyjski, Trump w pewnym momencie bezceremonialnie mu przerwał, dając wyraz swojej dezaprobaty wobec brytyjskiej polityki nacechowanej rusofobią, wicherzycielskiej w kontekście Europy Wschodniej, nastawionej na wzmacnianie swojego proxy state, czyli Ukrainy.

Biorąc pod uwagę obecną pozycję geopolityczną Wielkiej Brytanii, można chyba zaryzykować twierdzenie, że w obszarze prestiżu międzynarodowego stacza się ona szybko w dół. Nie zmienia tego fakt, że Zjednoczone Królestwo należy do grona mocarstw nuklearnych...

Brytyjski arsenał nuklearny, oparty na systemie Trident, jest tematem złożonym, jeśli chodzi o kwestię niezależności od Stanów Zjednoczonych. Formalnie Wielka Brytania zachowuje pełną kontrolę operacyjną nad swoim arsenałem – tylko brytyjski premier może autoryzować użycie broni jądrowej, a system nie wymaga zgody USA do odpalenia rakiet. W praktyce jednak istnieje znaczące uzależnienie od amerykańskiej technologii, infrastruktury i wsparcia logistycznego.

Rakiety Trident II D5, które znajdują się na wyposażeniu brytyjskich okrętów podwodnych klasy Vanguard, są projektowane i produkowane w USA przez Lockheed Martin. Wielka Brytania nie posiada własnych rakiet balistycznych – leasinguje je od USA w ramach wspólnej puli, a ich konserwacja i modernizacja odbywają się w amerykańskim porcie Kings Bay w Georgii. Co więcej, kluczowe komponenty, takie jak systemy nawigacyjne czy oprogramowanie, są dostarczane i aktualizowane przez Amerykanów. Brytyjskie głowice nuklearne (znane jako Holbrook) są wprawdzie projektowane i produkowane w kraju, ale istnieje podejrzenie, że ich konstrukcja opiera się w dużej mierze na amerykańskim modelu W76, a ich utrzymanie korzysta z wiedzy technicznej USA na mocy porozumienia o współpracy nuklearnej z 1958 r. (Mutual Defence Agreement).

Chociaż Wielka Brytania ma niezależność operacyjną – może samodzielnie zdecydować o użyciu Tridenta w sytuacji kryzysowej – to jej zdolność do utrzymania tego systemu w dłuższej perspektywie bez wsparcia USA jest ograniczona. W przypadku zerwania współpracy z Amerykanami (np. z powodów

i Cesarstwa Rosyjskiego w Europie oraz w Azji. Niedawno miałem w rękach bardzo ciekawą książkę wydaną w Anglii w 1950 r., pt. „Geneza rusofobii w Wielkiej Brytanii”, autorstwa Johna H. Gleasona, która w pasjonujący sposób naświetla ten resentyment i pokazuje, w jaki sposób manifestował się on w trakcie geopolitycznych rozgrywek. Gleason bada, jak stereotypy, uprzedzenia i obawy wobec Rosji zaczęły się kształtować w okresie po wojnach napoleońskich, kiedy Wielka Brytania coraz bardziej postrzegała Rosję jako zagrożenie dla swoich interesów, zwłaszcza w Azji Środkowej i na Bliskim Wschodzie (tzw. Wielka Gra). Autor analizuje źródła rusofobii, takie jak relacje podróżników, publikacje prasowe, literatura oraz polityczne debaty tamtych czasów. Książka podkreśla, że rusofobia nie była jedynie reakcją na konkretne wydarzenia, lecz także wynikiem szerszych procesów kulturowych i ideologicznych, które przedstawiały Rosję jako „obcego”

politycznych) brytyjski arsenał mógłby funkcjonować tylko przez pewien czas – szacuje się, że od kilku miesięcy do kilku lat – zanim brak części zamiennych, aktualizacji czy serwisu rakiet uniemożliwiłby jego działanie.

Jedyną autonomiczną siłą nuklearną w Europie jest Francja, choć liczba głowic będąca w jej posiadaniu jest zdecydowanie mniejsza, niż ma ich Rosja w swoim arsenale.

Nazwał pan brytyjską politykę wchryzcielską w stosunku do państw Europy Wschodniej. Polska dramatycznie doświadczyła jej skutków, wchodząc samotnie w wojnę z Niemcami w 1939 r. Czy można powiedzieć, że podobny schemat Wielka Brytania zrealizowała ponad 80 lat później, przyczyniając się do wciągnięcia Ukrainy w wojnę z Rosją?

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Widać, że ta tradycja jest bardzo żywa wśród brytyjskich elit politycznych, spośród których wywodzą się premier Starmer i poprzedni szefowie rządów.

Czy w takim razie można wciąż mówić o sprawczości brytyjskiej polityki międzynarodowej czy to tylko pozory sprawczości?

Odpowiedź na pana pytanie daje pobieżna analiza potencjału brytyjskiej armii. Marynarka wojenna – niegdyś podstawa potęgi imperium brytyjskiego i jego chluba – dziś jest w kiepskiej kondycji. Armia lądowa też nie jest liczącą się siłą w świecie. W polityce międzynarodowej Zjednoczone Królestwo jest graczem drugoplanowym. Postimperialna trauma związana z brakiem pogodzenia się z utratą potężnego imperium przez brytyjskie elity wciąż daje o sobie znać. Anglicy nie są już lwami Albionu, a co najwyżej szczekającymi pieskami Albionu, którym tylko się wydaje, że mają jeszcze jakieś znaczenie. Widać to po utracie zdolności prowadzenia samodzielnych działań militarnych za granicą przez Wielką Brytanię po 1989 r. Ostatnia samodzielna brytyjska operacja wojenna miała miejsce podczas wojny z Argentyną o Falklandy w 1982 r. Od ponad 35 lat Brytyjczycy są zdani na wsparcie amerykańskie.

Wielka Brytania jest dziś pod względem politycznym największym amerykańskim „lotniskowcem” w Europie?

Myślę, że Zjednoczone Królestwo może być „lotniskowcem” pewnych frakcji

w Stanach Zjednoczonych, tego, co określa się mianem „deep state”, a więc sieci tworzonej przez wysokich rangą urzędników poprzednich administracji, agencji wywiadowczych, departamentu obrony, media, rozmaite think tanki, wielki biznes. Te struktury nadal są bardzo silne i próbują na różne sposoby podważać działania administracji Trumpa na poziomie wewnętrznym i te zmierzające do przywrócenia większego realizmu w polityce międzynarodowej. Jeśli chodzi o specjalny status relacji amerykańsko-brytyjskich, który gwarantował strategiczny sojusz między Waszyngtonem a Londynem, to myślę, że powoli odchodzi to do przeszłości. Priorytety strategicznej gry mocarstw, czyli Stanów Zjednoczonych, Chin i Rosji, sprawiają, że Wielka Brytania i jej obecnie największy sojusznik, czyli Unia Europejska, stały się nieistotnymi graczami.

Zasada równowagi w relacjach międzynarodowych czy słynna maksyma lorda Henry’ego Temple, zgodnie z którą Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników czy wiecznych wrogów, lecz tylko interesy, których ma obowiązek zawsze bronić, przestała definiować brytyjską politykę?

Paradoksalnie tę maksymę, która przez wieki budowała kanon brytyjskiej polityki, przejął nie kto inny, jak Donald Trump, który tchnął w nią nową treść. Obecny prezydent USA podchodzi do polityki w sposób transakcyjny, opiera się na realistycznej ocenie sytuacji międzynarodowej, czyli nieważne, czy się kogoś nie lubi czy z kimś nie sympatyzuje – trzeba z nim ułożyć przewidywalne relacje i robić interesy. Czy będą to Chiny, Rosja czy tacy gracze jak Indie, Iran albo Arabia Saudyjska. Trump odwołuje się do kanonu brytyjskiego polityki, a władze w Londynie poruszają się we mgle obłąkania ideologicznego, nie mając żadnych racjonalnych podstaw, które wskazywałyby, że Anglia powinna być permanentnym wrogiem Federacji Rosyjskiej.

Wobec tragicznych doświadczeń z historią związanych z sojuszem z Wielką Brytanią, a także obecną brytyjską polityką realizowaną wobec Ukrainy wydaje się, że ktokolwiek by rządził w Warszawie, powinien z bardzo dużą dozą ostrożności podchodzić do firmowanych przez Londyn inicjatyw, w rodzaju „koalicji chętnych”, bo może to się skończyć wpakowaniem Polski w wojnę na Ukrainie.

Jeśli ktoś po 100 ostatnich latach naszej historii ma jeszcze jakiekolwiek złudzenia co do nastawienia Wielkiej Brytanii do Rzeczypospolitej, to powinien odejść z polityki, bo nic z niej nie rozumie. Chyba że mówimy o kompromatach posiadanych przez brytyjskie służby na niektórych polskich polityków. Być może takie kompromaty istnieją. Ale to osobna kwestia. Natomiast pójście w ciemno na wojnę na Ukrainie za podpowiedzią Brytyjczyków – czy to w postaci jakichś sił pokojowych czy w ogóle angażowania się w tej wojnie zastępczej z Rosją pod brytyjską batutą – jest igraniem z ogniem. Węgry i Słowacy, którymi rządzą politycy realistycznie oceniający politykę międzynarodową, ze zdziwieniem patrzą, jak Polacy po raz kolejny dają się rozgrywać Anglosasom w grze, która może przynieść wielką destrukcję i kryzys. Powinniśmy przyjąć do wiadomości, że Rosja pozostanie tam, gdzie jest, a kolejne kolorowe rewolucje Putina nie obalą. Zaczniemy rozmawiać z Rosją, starajmy się wobec niej twardo stawiać swoje interesy. Realne interesy. Przestańmy wymachiwać szabelką na cudze zamówienie.

Zdaje pan sobie sprawę, że formułując takie postulaty w czasie, kiedy w mediów wylewa się prowojenna propaganda, wyjdzie pan na kremlofskiego agenta?

Cóż, nawiązując do Pisma Świętego, odpowiem, że żaden prorok nie ma lekko w swojej ojczyźnie. Uważam, że sprawy dojrzały do tego, żeby podnosić publicznie temat odmrożenia relacji z Rosją. Donald Trump rozmawia z Władimirem Putinem. Rozmawiają z nim premier Węgier Viktor Orbán czy Słowacji – Robert Fico. Dlaczego prezydent Polski nie rozmawiał z nim ani razu od 2015 r.? Nadszedł czas na nowe myślenie w polityce polskiej. Myślenie suwerennościowe. Czas odejść od dogmatu, że Rosja jest naszym wiecznym wrogiem. Parafrazując brytyjską maksymę, Polska nie ma wiecznych wrogów. Ma tylko interesy. © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Michał Krupa – historyk i politolog. Były redaktor naczelny portalu Konserwatyzm.pl.



Maciej Pieczyński

Putin niepodzielnie rządzi krajem. Jednak na emigracji powstała prawdziwie alternatywna Rosja z własną kulturą, mediami i polityką. Na razie bez wpływu na ojczyznę. W przyszłości jednak może się stać piątą kolumną nowej, z zewnątrz przefarbowanej na demokratyczną Moskwy

Według różnych szacunków w pierwszym roku wojny Rosję opuściło od 500 tys. do 1,3 mln obywateli. Bliższa prawdzie jest raczej górna granica. Emigracja miała dwa etapy. Między lutym a wrześniem 2022 r. wyjeżdżali z reguły przeciwnicy wojny. Głównie przedstawiciele wielkomięskiej inteligencji. Druga, liczniejsza fala emigracji sprowokowana była ogłoszeniem we wrześniu 2022 r. częściowej mobilizacji. Tym razem Rosjanie uciekali nie z powodu swoich przekonań politycznych, ale ze strachu przed wysłaniem na front. Ekonomiści Alfa Banku podają liczbę 1,1 mln emigrantów.

Jednak według informacji Bloomberga w ciągu dwóch lat od rozpoczęcia inwazji między 40 a 45 proc. politycznych emigrantów wróciło do Rosji. Główną przyczyną powrotów było zaostrzenie warunków pobytu dla rosyjskich imigrantów. Co ciekawe, chłodne przyjęcie u wielu Rosjan doprowadziło do pożądaną przez Kreml zmiany poglądów. Zderzając się z brakiem zaufania za granicą, niejednokrotnie czuli się urażeni i dochodzili do wniosku, że Putin miał jednak rację, przekonując, że na świecie „szaleje rusofobia”.

POZDROWIENIA Z ŁOTWY

Wciąż jednak za granicą pozostaje spora rosyjska diaspora opozycyjna. Do kraju nie wrócili i nie zamierzają wracać ci, którzy swoją działalność publiczną czy zawodową konsekwentnie opierają na twardym fundamencie sprzeciwu wobec rządów Putina. Za granicą powstała

swego rodzaju alternatywna Rosja ze swoimi wydawnictwami, publikującymi książki po rosyjsku, wydarzeniami kulturalnymi skierowanymi do Rosjan, z cieszącymi się sporą popularnością mediami rosyjskojęzycznymi, wreszcie – z bogatą i różnorodną sceną polityczną.

Prawdziwie antyputinowska opozycja może dziś albo siedzieć w więzieniu, albo przebywać na emigracji. To pierwsze jest bardzo ryzykowne, ale daje większe szanse na to, by zaistnieć na rodzimej scenie. W oczach Rosjan bardziej wiarygodny jest więzień polityczny, który odważył się pozostać w kraju, niż uchodźca polityczny, którego łatwo jest oskarżać o związki z zachodnimi wywiadami. Stąd rozczarowanie Ilji Jaszyna, który został wypuszczony z więzienia i deportowany z Rosji wbrew swojej woli.

Tak czy inaczej, to właśnie na emigracji (a dokładniej: na Zachodzie, a także na Litwie) działają najważniejsze siły rosyjskiej opozycji: organizacje i media kierowane przez Michaiła Chodorkowskiego,

która później zrodziła Putina. Starsi z kolei apelują do młodszych, aby zamiast wypominać przeszłość, skupili się na jedności w walce z Putinem. Ale nawet jakimś cudem zjednoczona emigracyjna opozycja nie dałaby rady nawiązać walki o władzę, przebywając za granicą i nie mając sojuszników w elitach kremlewskich czy w służbach specjalnych. Polityczna opozycja jest więc skazana na nieskuteczność. Co innego emigracyjne media, których przekaz w ograniczonym stopniu, ale jednak dociera do rosyjskiej opinii publicznej.

Po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę prasa, telewizja i radio, prezentujące poglądy sprzeczne z oficjalną linią Kremla, przestały mieć w kraju rację bytu. Władze otwarcie ostrzegły, że media, poruszając tematy związane ze „specjalną operacją wojskową”, muszą powoływać się wyłącznie na rządowy przekaz. 28 marca 2022 r. liberalna, ukazująca się od 1993 r. „Nowaja Gazieta” ogłosiła zawieszenie działalności do momentu

Alternatywa dla Rosji

Forum Wolnej Rosji Garriego Kasparowa (zarówno Chodorkowski, jak i Kasparow wyjechali z kraju w 2013 r.), założona przez Nawalnego Fundacja Walki z Korupcją (FBK) czy Zjazd Deputowanych Ludowych, czyli miniparlament cieni, zwoływany co jakiś czas przez Ilję Ponomariowa. Organizacje te jednak ani myślą się zjednoczyć. Zamiast tego pograżają się we wzajemnych oskarżeniach o związki z Kremlem. Młodszy opozycjoniści zarzucają starszym, że w latach 90. współtworzyli jelnynowską elitę władzy,

zakończenia wojny. W kwietniu 2022 r. jej byli dziennikarze, którzy wyjechali z Rosji, założyli nowe medium pod nazwą „Nowaja Gazieta Jewropa” („Nowa Gazeta Europa”), o jednoznacznie antywojennej linii redakcyjnej.

Strona internetowa czasopisma została w Rosji zablokowana. Nie oznacza to jednak, że nie trafia do odbiorców w kraju. Cenzura Internetu stała się narzędziem wojny informacyjnej, używanym przez obie strony frontu. Zachód blokuje strony rosyjskie, Rosja – zachodnie.

■ Dlatego Rosjanie nauczyli się korzystać z VPN. Zwolennicy wojny w ten sposób obchodzą zachodnią, przeciwnicy wojny – rosyjską cenzurę. Tak czy inaczej, „Nowaja Gazeta Jewropa” wychodzi również drukiem na Łotwie, gdzie tytuł został zarejestrowany i gdzie znajduje się redakcja medium. Medium, dodajmy, wciąż rosyjskojęzyczne. W końcu tym językiem posługuje się aż jedna czwarta mieszkańców tego kraju bałtyckiego.

Łotwa generalnie stała się nowym domem dla wielu rosyjskich mediów na wygnaniu. Niektóre redakcje funkcjonowały tam jeszcze przed wybuchem wojny z Ukrainą na pełną skalę. Takim przykładem jest Meduza – jeden z najpopularniejszych opozycyjnych portali informacyjnych, założony w 2014 r. przez byłych pracowników prokremlowskiej Lenty.ru, których zadowolonych z zastrzeżenia cenzury po aneksji Krymu. Był to pierwszy tego typu projekt medialny. Literaturoznawca Gleb Moriew porównał Meduzę do słynnego czasopisma „Kołokoł” (ros. „Dzwon”), które w XIX w. prowadził w Londynie antycarski działacz, socjalista Aleksander Hercen. Zdaniem eksperta powstanie opozycyjnego medium na obczyźnie symbolizuje koniec wolności prasy w putinowskiej Rosji, która tym samym mentalnie wraca do czasów knuta i samodzierżawia. Meduza adresowana jest do rosyjskojęzycznych czytelników. Jej materiały dostępne są jednak również w języku angielskim.

Analogicznie jest w przypadku portalu The Insider, który również powstał w Rydze, i to już w 2013 r. Serwis założył Roman Dobrochotow – w przeszłości najpierw działacz opozycji antyputinowskiej, następnie dziennikarz. Meduza to portal informacyjno-publicystyczny, a The Insider specjalizuje się w dziennikarstwie śledczym. We współpracy m.in. z brytyjskim Bellingcat ujawnił okoliczności prób otrucia Siergieja Skripala i Aleksieja Nawalnego. Gwiazdą redakcji jest słynny bułgarski dziennikarz śledczy Christo Grozew. Zarówno Meduza, jak i The Insider zostały jeszcze w 2021 r. wpisane na listę agentów zagranicznych, a już po inwazji na Ukrainę uznane za organizacje niepożądane w Rosji, co oznacza, że Kreml uznał te media za zagrażające państwu.



Na Łotwę po wybuchu wojny przeniosły się również rosyjskojęzyczne redakcje mediów zagranicznych, takie jak Deutsche Welle, Washington Post, BBC, a także do niedawna finansowane przez Kongres Stanów Zjednoczonych Radio Swoboda i telewizja Nastojaszczije Wriemia (Czas Teraźniejszy). Osobny i wielce symptomatyczny jest przypadek telewizji Dożd’ (Deszcz). Oprócz wiadomości czy politycznej publicystyki kanał sporo miejsca od samego początku swojej działalności poświęcał kulturze, transmitując koncerty, spektakle, emitując filmy dokumentalne. Dożd’ powstał w 2010 r. W 2021 r. trafił na listę agentów zagranicznych, a po inwazji Rosji na Ukrainę został zablokowany w Rosji przez Roskomnadzor, ponieważ w programach poświęconych „specoperacji” nie prezentował oficjalnej narracji Kremla. Wtedy Dożd’ podążył szlakiem wytyczonym przez inne antyputinowskie media rosyjskie. W czerwcu 2022 r. telewizja otrzymała

koncesję na Łotwie. Pół roku później jednak ją straciła. 1 grudnia prowadzący jednego z programów, Aleksiej Korostielow, poprosił widzów, aby przysyłali informacje na temat wyposażenia armii rosyjskiej. Dziennikarz wyraził nadzieję, że dzięki tej akcji uda się polepszyć warunki żołnierzom walczącym na froncie. Po fali krytyki władze telewizji zwolniły dziennikarza z pracy (a po jakimś czasie znów zatrudniły) i zapewniły, że Dożd’ nie zajmował się, nie zajmuje się i nie będzie się zajmować wspieraniem armii rosyjskiej na Ukrainie.

Ale to nie był jedyny wybryk stacji. Za pokazanie mapy z Krymem w granicach Rosji oraz za używanie przez dziennikarza określenia „nasza armia” w stosunku do sił zbrojnych FR Dożd’ został ukarany grzywną w wysokości 10 tys. euro. Telewizja była też krytykowana za brak ścieżki dźwiękowej w języku łotewskim. Ostatecznie tamtejsza Krajowa Rada Mediów Elektronicznych odebrała stacji

Garri Kasparow przemawia podczas
13. Forum Wolnej Rosji w Wilnie,
5 października 2024 r.

FOT. MINDAUCAS KULBIS/AP/EAST NEWS

agendę, nie są całkowicie wolni od genu imperializmu. Ale też od stosunkowo zrozumiałej lojalności czy empatii wobec swoich rodaków. Krytykują politykę Putina, ale nie dehumanizują Rosjan, jak to czynią Ukraińcy. Zamiast wyśmiewać żony żołnierzy Putina, które jakoby tylko czekają, aż zostaną wdowami i otrzymają sowite odszkodowanie, opozycyjne media pochylają się nad dramatami ludźmi tych kobiet (bo przecież nie każda marzy o śmierci męża) i prezentują całą złożoność sytuacji. W końcu przecież do Rosjan ich przekaz jest adresowany. Ale też to właśnie w mediach opozycyjnych można usłyszeć głos ukraińskich uchodźców, którzy uciekli do Rosji, przez co są podejrzani zarówno dla Moskwy, jak i dla Kijowa. Siłą tych mediów, wolnych od zadań propagandowych, jest relatywny obiektywizm, przy zachowaniu postawy antywojennej.

WYJAZD PISARZY

Emigracja polityczna jest nieefektywna. Medialna dociera do odbiorców w Rosji, ale musi rywalizować z potęgą kremłowskiej propagandy telewizyjnej, której nie można odmówić profesjonalizmu. Natomiast literatura na wygnaniu radzi sobie świetnie. Najwybitniejsi i najbardziej rozpoznawalni pisarze rosyjscy wyjechali za granicę, gdzie nie tylko mogą swobodnie głosić swoje antyputinowskie i antywojenne przekonania, lecz także nadal piszą i publikują, i to w języku ojczystym. Nie brak bowiem wydawnictw adresowanych do licznej rosyjskiej diaspory.

W dziejach Rosji to żaden ewenement. W czasach sowieckich w ramach kolejnych fal emigracji ojczyznę opuścili tak wybitni twórcy nie tylko rosyjskiej, lecz także światowej literatury, jak Iwan Bunin, Vladimir Nabokov czy Aleksandr Sołżenicyn. Po aneksji Krymu Rosję opuścił autor poczytnych kryminałów Boris Akunin, a po inwazji na Ukrainę – popularny autor science fiction Dmitrij Głuchowski. Obaj należą do najchętniej czytanych (zarówno w kraju, jak i za granicą) pisarzy rosyjskich (według serwisu Storytel Akunin był w 2021 r. najpopularniejszym w Rosji pisarzem). Obaj publicznie potępiają wojnę, za co obaj zostali oskarżeni o rozpowszechnianie fake'ów na temat rosyjskiej armii.

Głuchowski dostał już zaoczny wyrok – osiem lat kolonii karnej. Pół roku mniej, również zaocznie i za to samo „przestępstwo”, zasądzono w przypadku Iwana Wyrupajewa. Ten jeszcze niedawno najwybitniejszy i najczęściej wystawiany dramaturg rosyjski dziś żyje w Polsce, ma polskie obywatelstwo i prowadzi w Warszawie rosyjskojęzyczny teatr, w którym grają uchodźcy z Ukrainy.

Wojnę potępił i z kraju wyjechał również Władimir Sorokin, uważany za najważniejszego (obok Wiktora Pielewina, który akurat o polityce milczy i rzadko wypowiada się publicznie) postmodernistę rosyjskiego. Sorokin podpadł władzom nie tylko z powodu poglądów, lecz także dlatego, że jego książki są pełne obscenicznych treści (przez co naprawdę trudno się je czyta). Najważniejszy festiwal dramaturgii rosyjskiej, Lubimowka, kuźnia młodych talentów teatralnych, de facto wyprowadził się z kraju, kolejne edycje organizując pod hasłem „Dramaturgia przeciwko wojnie”. Na stronie festiwalu publikowane są rosyjskojęzyczne sztuki teatralne o wymowie potępiającej inwazję na Ukrainę.

Najwybitniejsi pisarze wyjechali. Ich książki z półek jeszcze całkowicie nie zniknęły, ale cenzura ogranicza ich dystrybucję. Lukę po emigrantach ma wypełnić prowojenna grafomania, tzw. Z-literatura, oraz twórczość wybitnego pisarza realisty, a zarazem putinowskiego propagandysty Zachara Prilepina. Prilepin zawsze był poczytny, ale jego mniej zdolni koledzy o podobnych poglądach nie podbijają serc i umysłów Rosjan.

PIĘKNA MASKA IMPERIALIZMU

Wielka literatura rosyjska zawsze odgrywała znaczącą rolę w historii kraju. Jeśli wojna się zakończy, a miejsce Putina zajmie jakiś oświecony władca, z którym Zachód będzie chciał prowadzić interesy, to emigracyjni pisarze, dziennikarze, a nawet politycy rosyjscy albo triumfalnie wrócą do kraju, albo, pozostając na obczyźnie, mniej lub bardziej świadomie służyć będą nowej Moskwie jako poręczna soft power.

I świat znów się zakocha w wielkiej kulturze rosyjskiej, która atrakcyjną maską przykryje wykrzywioną twarz kremłowskiego imperializmu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Najwybitniejsi pisarze
wyjechali. Ich książki
z półek jeszcze całkowicie
nie zniknęły, ale cenzura
ogranicza ich dystrybucję**

koncesję z uwagi na „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i porządku publicznego”.

Dożd' zniknął z kablówki, ale funkcjonował dalej w łotewskim Internecie – na YouTube. Z jednej strony, trudno kwestionować antyputinowską i antywojenną linię redakcyjną jednej z najdłuższych i najpopularniejszych opozycyjnych stacji telewizyjnych. Z drugiej strony, kontrowersje, skutkujące utratą koncesji, pokazują, że nawet „dobrzy Rosjanie”, konsekwentnie prezentujący liberalną, demokratyczną i prozachodnią

Jak lewica broni demokracji



Jan Bogatko

Tytuł jest zamierzoną prowokacją. Lewica ma bowiem tyle wspólnego z demokracją, co krzesło z krzesłem elektrycznym. Lewica skutecznie zawłaszczyła w czasach stalinowskich pojęcie demokracji na użytek własny. Od tamtej pory demokracja to dla niej wyłącznie lewica. Reszta to faszyzm. Dzisiaj nawet tzw. prawica posługuje się na co dzień stalinowską definicją demokracji. Zatem jeśli lewica broni demokracji, to tylko... socjalistycznej. Nie dociera to do wszystkich

Przed wyborami parlamentarnymi w Niemczech doszło w szeregach frontu lewicy do hysterii. Na firmamencie politycznym Niemiec pojawiła się bowiem nowa wielka partia. Tą partią jest konserwatywna Alternatywa dla Niemiec. Kiedy wszystkie bez wyjątku partie polityczne w Niemczech (CDU, CSU, SPD, Zieloni, FDP, Die Linke) odczuły zagrożenie, wezwały Niemców do utworzenia „frontu ludowego”, „koalicji przyzwoitych” – czyli kordonu sanitarnego, „Brandmauer” – jak mówią Niemcy – zapory ogniowej przeciwko groźnemu przeciwnikowi z prawej strony politycznego spektrum. Było to możliwe tylko dlatego, że dawną prawicą

(w Niemczech nazwać kogoś prawicą to dziś obelga) była chrześcijańska demokracja, a teraz tylko CDU/CSU (siostrzane partie, CSU to lokalny bawarski fenomen) z przymiotnikiem „chrześcijańska” w nazwie skrzyła ostro w lewo. Zwłaszcza po objęciu funkcji szefa partii i rządu przez wychowaną w NRD Angelę Merkel.

CDU/CSU powoli, lecz skutecznie, wyzywała się wszystkich chrześcijańskich wartości, które stanowiły fundament jej działania od czasów Konrada Adenauera. Wówczas to jej przekaz był jasny i jednoznaczny, co wyrażał plakat wyborczy tego bloku z 1953 r. Na nim widnieje odrażająca postać w czapce z sierpem i młotem, z przerażającymi oczyma i napisem: „Wszystkie drogi marksizmu prowadzą do Moskwy. Dlatego CDU”. Po tych wyborach koalicja chadekcy z socjalistami nie wchodziła w grę. Takiej opcji nie było. A dzisiaj? Dzisiaj nikt takich skrupułów już nie ma. Rozwiązanie nazywa się „wielka koalicja” – rządzenie wraz z towarzyszami (tak, członkowie SPD zwracają się do siebie „Genosse”, czyli towarzysz – z zachowaniem genderowskiej, nieobowiązującej w Niemczech oficjalnie gramatyki).

NIWIEDZA TO ICH SIŁA

To skrajna lewica, tolerowana od lat na scenie politycznej spadkobierczyni szczytnych ideałów rządzącej w NRD Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED), znanej z rozkazu strzelania do uchodźców z Niemiec Wschodnich, wymyśliła „Brandmauer” przeciwko AfD. Pomysł Die Linke ochoczo podjęła cała niemiecka lewica wraz z dryfującą z lewackim prądem byłą chadecką. W programach partii Die Linke (komuniści unikają jak ognia nazwy „komuniści”, bo czują przez skórę, że to się

źle kojarzy) określa się jako solidarny partner „sił antyfaszystowskich”. „Siły antyfaszystowskie” to wszyscy na prawo od komunistów, w zależności od chwilowej opinii partii. Nieważne przy tym, że w Niemczech nigdy nie było faszyzmu (no, może poza personelem ambasady włoskiej przez pewien okres III Rzeszy). Na potężnych demonstracjach, które przetoczyły się niedawno ulicami niemieckich miast przed wyborami do Bundestagu, wśród napiętnowanych znalazła się także zmierzająca do przejęcia władzy dawna chadecka, czyli CDU/CSU, a zwłaszcza stojący na czele tego bloku Friedrich Merz, który przecież zarzeka się publicznie, że przestrzegać będzie „Brandmauer”. Tak na wszelki wypadek, gdyby miały go dopaść niecenzurowane pomysły, komunistyczna gazeta „Die Tageszeitung” z czerwonego Berlina nie szczędzi słów krytyki wobec kandydata CDU/CSU na fotel kanclerza. Towarzysz chociażby z SPD byłby jej miłszy. A że wyborcy zmusili bratnią partię do rezygnacji z urzędu kanclerskiego? A jakie ma to znaczenie w demokracji, w której rządzi lewica? Oczywiście żadne.

Die Linke przekonuje: „Obywatelskie nieposłuszeństwo jest częścią arsenału demokratycznych protestów i nie może być kryminalizowane: nadal będziemy blokować marsze nazistowskie”. Marsze nazistowskie (już nawet nie faszystowskie) to z reguły sporadyczne i nieśmiałe demonstracje konserwatystów. Lewica rozpoczęła zakrojoną na szeroką skalę agitację w niemieckich szkołach stopnia ponadpodstawowego. Cel dobrze wybrany. Uczniowie nie znają historii – poza III Rzeszą – i na ogół bezkrytycznie przyjmują przesłanie komunistycznej propagandy. Rzadko szkoły organizują wycieczki do takich miejsc, jak np. więzie-

nie muzeum NRD-owskiej bezpieki w Budziszynie w czasach rządów poprzedniczki partii Die Linke, czyli SED, w Niemczech Wschodnich. Tam młodzież mogłaby się dowiedzieć wiele o duchowych ojcach lewicowych dzisiejszych rzeczników „postępu i demokracji”. Mogłaby. Ale sama nie wpadnie na pomysł, by tam pojechać. Organizatorów szkolnych wycieczek do takich miejsc jak Budziszyn i jemu podobne miejscowi „demokraci” okrzyknęliby mianem nazistów. Niewiedza to ich siła, to ich polityczna broń.

Obrońcy komunizmu, nazwanego przez niemieckich marksistów „demokracją”, piszą w swych programach, że w walce z prawicą należy poważnie traktować migrantów i inne osoby dotknięte prawicową ideologią, a także uwzględnić ich perspektywy oraz wzmacniać samorząd migrantów. Polityka wobec osadników z Afryki i z Azji to kolejne – obok propagandy szkolnej – narzędzie walki z cywilizacją. Założenie jest następujące: najpierw sprowadzimy tylu osadników, ilu się da, następnie nadamy im niemieckie obywatelstwo i nie musimy się nigdy więcej lękać o wynik wyborów czy do landtagów, czy do Bundestagu. Wprowadzone w Niemczech nowe prawo o naturalizacji skracając okres pobytu w celu uzyskania obywatelstwa z ośmiu do pięciu lat. W przyszłości podwójne obywatelstwo ma być ogólnie dozwolone, co wcześniej było możliwe tylko w wyjątkowych przypadkach. Zasługi w integracji umożliwiają naturalizację już po trzech latach. Die Linke w Hamburgu, mieście landzie, uważa za konieczne rozszerzenie uprawnień komisarza miejscowego rządu do spraw ofiar, tak by obejmowały również ofiary ksenofobii grupowej. Jak łatwo się domyślić, do tego worka można wrzucić wszystko. Lewica ma dużo pieniędzy – z podatków i grantów, często zagranicznych (do niedawna liczne z tych projektów były wspierane nawet przez lewicowo zorientowaną amerykańską instytucję – USAID). Lewicowa organizacja Reporterzy bez Granic, publikująca co roku tendencyjny raport o tzw. wolności prasy, narzeka z powodu zakręcenia przez prezydenta USA, Donalda Trumpa, kurka z dolarami na wspieranie komunistycznych mediów.

Hamburska lewica chwali się swymi projektami walki z prawicą. Utrzymu-

je, że wzmacniają one zaangażowanie „społeczeństwa obywatelskiego” (jak oni je rozumieją) i jego udział w życiu politycznym, „prowadzą edukację polityczną, a także działania prewencyjne oraz tworzą punkty doradcze dla osób dotkniętych ekstremizmem”. „Te projekty muszą być trwale finansowane przez państwo!” – domaga się Die Linke. Dla nich lewicowy ekstremizm nie istnieje, mimo że Urząd Ochrony Konstytucji przed nim przestrzega. Nad czym hamburska lewica aktualnie pracuje? Oczywiście nad udaremnieniem współpracy z Alternatywą dla Niemiec, i to nie tylko w parlamencie, lecz także poza nim. Cytat z programu: „Aktywnie pracujemy nad tym, aby naziści nie stali się normą w parlamentach”. Jakby ktoś miał wątpliwości: naziści to dla lewicy AfD. Obóz „demokracji”, który cechuje wykluczanie

„Mowa nienawiści” to nic innego, jak krytyka lewicy – prawdziwa myślozbrodnia, podlegająca cenzurze i karze

inaczej myślących, nabiera tutaj cech innych obozów i o innym przeznaczeniu. Wyniki wyborów do Bundestagu w Hamburgu wykazały – jeśli chodzi o Alternatywę dla Niemiec – że aktywność była za niska. Wprawdzie SPD wybory wygrała (22,7 proc., ze stratą 6,9 proc.) i Die Linke otrzymała wysokie poparcie 14,4 proc. (plus 7,7 proc.), ale „naziści” w twierdzy lewicy uzyskali 10,9 proc., o 5,8 proc. więcej, co oznacza dla czerwonych zadanie do wykonania. Mają oni niewiele czasu do 2 marca, kiedy mają się odbyć kolejne wybory – lokalnego rządu – więc raczej nie zrealizują planów eliminacji AfD z życia politycznego Hamburga.

Od początku 2025 r. wspomniana berlińska populistyczno-lewicowa gazeta „TAZ” prowadzi dokumentację demonstracji organizowanych w Niemczech przeciwko prawicy. Prawica według lewicy to faszysty i naziści, bo demokraci to – wiadomo – tylko Genossen (towarzysze). Informacje, wraz z seriami zdjęć z pochodów, uzyskują od członków lewackich organizacji ze wszystkich landów. „TAZ”

od początku tego roku doliczyła się ponad 800 demonstracji „ruchu antyfaszystowskiego” między Odrą a Renem. Jak podaje gazeta, udział w nich wzięło ponad 1,8 mln osób, a może nawet ponad 2 mln.

MARZENIE STALINA

Niewątpliwie głównym organizatorem „lewicy na ulicy” jest partia Die Linke (lewica) zwana także Linkspartei. Powstała ona w czerwcu 2007 r. wskutek zjednoczenia odprysku z SPD (Alternatywa Wyborcza Praca i Sprawiedliwość Społeczna WASG – w niej działał też Oskar Lafontaine, swego czasu przewodniczący SPD, nawet kandydat na kanclerza i partner szefowej narodowo-komunistycznego ugrupowania Sojusz Sahry Wagenknecht) i lewackiej PDS (Partii Demokratycznego Socjalizmu), następczyni SED, która z kolei była odpowiedniczką PRL-owskiej PZPR. Die Linke nie jest w stanie zatrzeć śladów pochodzenia dzisiejszej „orędowniczki demokracji”. Lewicy trzeba jednak przyznać, że doskonale przygotowana jest do walki propagandowej. Obejmuje to także zawłaszczanie popularnych terminów, jak „wolność słowa”, na którą się powołują, odmawiając swym politycznym przeciwnikom do niej prawa. Zarzucają więc swoim przeciwnikom „mowę nienawiści”, która podlega cenzurze i karze. „Mowa nienawiści” to nic innego jak krytyka lewicy. To prawdziwa myślozbrodnia. No i wreszcie pojawia się termin podstawowy, o wielkim znaczeniu w aktualnej walce ideologicznej. Chodzi o „demokrację”.

Lewicy pomagają niemieccy dziennikarze. Większość z nich wybiera na lewo i takie są też ton ich relacji prasowych oraz dobór materiałów. Jak podaje portal Statista, ich ulubioną partią są Zieloni. Jest to wynik badań przeprowadzonych przez TU Dortmund w 2024 r. pod kierunkiem Michaela Steinbrechera. W szczegółach wygląda to tak: 41 proc. dziennikarzy popiera Zielonych (mimo dramatycznego spadku wsparcia społecznego dla tej partii), 16 proc. SPD i 6 proc. Die Linke. Czy ktoś czegoś tu nie rozumie?

Demokracja to oni, reszta to faszyzm. Marzenie Józefa Stalina nareszcie się spełniło.



Z prof. dr. hab. inż. Władysławem Mielczarskim, inżynierem energetykiem, wieloletnim pracownikiem Instytutu Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej rozmawia Tomasz Cukiernik

Atomu nie

TOMASZ CUKIERNIK: Czy farmy fotowoltaiczne i wiatrowe mogą zastąpić energetykę węglową?

PROF. DR HAB. INŻ. WŁADYSŁAW MIELCZARSKI:

Nie, to nie jest możliwe. Akurat kończymy projekt, w którym symulujemy działanie jednocześnie farm wiatrowych oraz fotowoltaicznych, a także odbiorów energii, ponieważ ta energia generowana przez źródła odnawialne musi być przez kogoś odebrana. Produkcja i zużycie energii muszą być zbilansowane w każdej chwili, a o to jest bardzo trudno. Albo mamy nadmiar energii z OZE, albo jej brak. Możemy się przyjrzeć, bo mamy bardzo dokładne wieloletnie zapisy godzinowe, jak pracują wiatraki, jak pracują panele PV i jak się układają odbiory z pięciu lat w Polsce. Mamy też zapisy z Niemiec. Odbiory energii też układają się według pewnego

wzorca – bo wieczorem tej energii potrzeba więcej, a w nocy mniej i jest charakterystyczne zapotrzebowanie – zmian poboru mocy: góra-dół, góra-dół. No i następuje złożenie tych dwóch rzeczy zmiennej generacji OZE, zależnej od warunków atmosferycznych i zmiennych odbiorów.

Powinno się pokryć.

Tak, ale pokrywa się tylko częściowo. Na przykład przez pół miesiąca jest nadmiar energii z OZE, której odbiorcy nie są w stanie zużyć. Co można z tą energią zrobić? Nic nie można. Można tylko wyłączyć instalacje OZE, żeby one nie generowały aż tyle energii. W zeszłym roku operatorzy sieci przez ponad 50 dni wyłączali instalacje odnawialnych źródeł energii. To są tysiące megawatogodzin

straconej energii z instalacji, na których budowę przeznaczono setki miliardów złotych. Po wielu dniach nadmiaru energii z OZE – nawet 10–15 dni – nagle przestaje wiać, a jesienią czy zimą nie ma zbyt wiele energii ze słońca nawet w pogodne dni i w całym systemie brakuje energii. W rezultacie w pracy systemu elektroenergetycznego ciągle mamy powtarzające się cykle: nadmiary energii z OZE, niedomiary energii z OZE, nadmiar, niedomiar; nadmiar, niedomiar... Jeżeli takie wahania zdarzają się każdego dnia, to można próbować nadmiar energii z odnawialnych źródeł magazynować i oddawać tę energię w okresie mniejszej generacji. Ale w okresie jesienno-zimowym brak energii z OZE może wystąpić nawet przez dwa tygodnie i nie ma kiedy naładować



będzie!

FOT. ADRIAN STOK

opanujemy technologie długoterminowego i wielkoskalowego magazynowania energii elektrycznej, to będziemy mogli zrezygnować z elektrowni konwencjonalnych i oprzeć całą lub prawie całą produkcję na OZE. Niestety, fizycznie nie jesteśmy w stanie tego zrobić niezależnie od technologii magazynowania. Problemem jest koincydencja produkcji energii z odnawialnych źródeł z możliwościami jej zużycia. Aby to sprawdzić, zakładaliśmy najbardziej optymistyczne przypadki, czyli że nie ma ograniczeń sieciowych. Nazywamy to modelem miedzianej płyty. Zakładaliśmy, aby stworzyć lepsze warunki pracy OZE, że nie ma ograniczeń w wielkości przyłączanych mocy źródeł odnawialnych. Jednak magazyny energii nie były w stanie zmienić radykalnie sytuacji. Gdy użyliśmy w symulacjach wielkości magazynów energii w takich wielkościach, jak zakładano w polityce energetycznej, to magazyny mogły „uratować” od 6 do 12 proc., przy pojemnościach od 7 GWh do 20 GWh energii z OZE przeznaczonej do przymusowego wyłączenia. Można próbować budować gigantycznej wielkości magazyny energii (60 GWh i więcej), jednak magazynowanie będzie obejmowało ok. 25 proc. nadmiaru energii ze źródeł odnawialnych. Magazyny energii tylko w ograniczony sposób mogą wspomóc zwiększenie udziału energii z OZE w systemie elektroenergetycznym.

magazynów, które już raz się rozładowały. Robiliśmy badania dla godzinowych danych z pięciu lat, godzina po godzinie, to są tysiące godzin symulacji i obliczeń, i zawsze wychodzą te same wzorce: nadmiar OZE, niedomiar OZE, które zaczynają bujać systemem elektroenergetycznym, jak nierozważni żeglarze łodzią, co skończy się jej wywróceniem. Kilkudniowe okresy nadmiaru lub niedomiaru energii z odnawialnych źródeł to są powtarzające się wzorce pracy systemu elektroenergetycznego. Na przykład w 2023 r. przestało wiać od połowy listopada prawie do połowy grudnia, a następnie wystąpiły silne wiatry i nadmiar energii z OZE trwający ponad dwa tygodnie. W 2024 r. przestało wiać na początku listopada i przez 12 dni prawie w ogóle nie było wiatru, a o słońce

w listopadzie jest trudno. W ciągu tych dwóch tygodni listopada ponad 90 proc. energii pochodziło z elektrowni konwencjonalnych: węglowych i gazowych i to one uratowały stabilność systemu oraz ciągłość zasilania i nas przed blackoutem. Żadna gospodarka nie jest w stanie wytrzymać braku energii elektrycznej przez kilka dni.

Czy w takim razie rozwiązaniem są magazyny energii?

Tak by się wydawało. Jedna z dziennikarek parę lat temu napisała, że magazyny energii to taki Święty Graal energetyki. A co jest ze Świętym Graalem, to wszyscy wiemy. Szukamy go już od tysięcy lat. I wydawało się, że sytuacja jest podobna w systemie elektroenergetycznym. Jeżeli

Jakie ma pan profesor uwagi wobec Krajowego Planu w dziedzinie Energii i Klimatu?

Ten plan jest oparty na polityce Zielonego Ładu, która jest oparta na błędnych założeniach. Transformacja techniczna zaczęła się ok. 200 lat temu. Wcześniej jako ludzkość opanowaliśmy tylko jedną formę energii – ciepłą. Do XVII w. wszystko było budowane siłą ludzkich mięśni lub zwierząt. Wtedy inżynierowie nauczyli się sztuki przetwarzania energii ciepłej, którą mogli wytworzyć w dużych ilościach z paliw kopalnych, węgla, na energię mechaniczną, kinetyczną. Polegało to na tym, że wytwarzali parę pod dużym ciśnieniem, a ta para poprzez system tłoków i mimośrodków powodowała obroty kół. To był przełom, taki jak opanowanie ognia. Nagle ludzie zaczęli budować maszyny parowe, które zaczęły napędzać pasy transmisyjne, a te z kolei

■ – maszyny przemysłowe. Dlaczego to było tak ważne? Otóż silny, młody człowiek, pracujący przez 10 godzin, jest w stanie wytworzyć ok. 1 kWh energii. A spalanie kilograma węgla pozwala uzyskać ok. 7 kWh energii. W małym domu w Polsce ludzie potrzebują 3 tys. kWh energii rocznie. Energia tylko dla jednego domu wymagałaby pracy 100 osób przez 300 godzin rocznie! To było niewyobrażalne, dlatego to był przełom, kiedy nauczyliśmy się skoncentrowaną energię z węgla przetwarzać na energię kinetyczną obrotu maszyn. Jednak energia kinetyczna miała pewną wadę – problem z przesyłaniem na odległość. Wtedy opracowane zostały generatory energii elektrycznej oraz dodatkowo transformatory i zaczęliśmy przysyłać energię, w formie energii elektrycznej, na większe odległości. Były to przełomy rozwoju technologii i olbrzymie ułatwienia w życiu ludzi. W transformacji technologicznej społeczeństwo było priorytetem, a naukowcy i inżynierowie służyli społeczeństwu. Proponowali różne rozwiązania, a to społeczeństwo decydowało i wybierało rozwiązanie, które jest dla niego lepsze. To społeczeństwo było wówczas decydem, a energia i ludzie, którzy się nią zajmowali, mieli mu służyć. Inżynierowie musieli dostosować się do tego, czego potrzebuje społeczeństwo. Kiedy przychodziła noc, trzeba było zmniejszyć ilość produkowanej energii, a w dzień ilość tej energii zwiększano. Zielona transformacja jednak odwróciła te priorytety. Obecnie priorytetem są technologie wytwarzania energii, oczywiście kwalifikowane przez organy polityczne jako zielone. W zielonej transformacji to człowiek ma dostosować się do technologii, a raczej priorytetów politycznych w zakresie tych technologii, a nimi są wiatraki i panele PV; nie społeczeństwo, ale wiatraki czy panele PV. Jeżeli dalej będziemy brnąć w dekarbonizację zgodnie z założeniami polityki energetycznej, to odnawialne źródła nie dostarczą tyle energii, ile potrzebują społeczeństwo i gospodarka, i już w roku 2030 zacznie brakować ok. 13 proc. mocy, a w roku 2040 nawet 35 proc.

Czy jeśli zgodnie z planem odejdziemy od węgla, to elektrownie jądrowe mogą nam zapewnić suwerenność i bezpieczeństwo energetyczne?

Na elektrownie jądrowe w Europie mamy małe szanse, szczególnie w Polsce, gdzie po 16 latach działania Programu Polskiej Energetyki Jądrowej jedyne, co zrobiono, to wycięto 40 ha lasu w okolicach Choczewa i ogłoszono przetarg na budowę drogi do tej wycinki. Nie mamy na to pieniędzy, nie wiemy, jak taką elektrownię sfinansować i kto dostarczyłby technologii, i jaka firma wybudowałaby instalację. Łudzenie się nadzieją na powstanie elektrowni jądrowej powoduje odkładanie na później istotnych problemów w energetyce, których brak rozwiązania spowoduje braki energii elektrycznej.

Technologia przecież jest.

Zdolność do dostaw wyposażenia elektrowni jądrowych mają obecnie trzy kraje: Chiny, Rosja i po części Francja. Nie wiem, czy moglibyśmy kupić elektrownię jądrową w tych dwóch pierwszych krajach, ale we Francji ze względu na obecnie realizowane zamówienia, to nie wcześniej niż po 2040 r. To bardzo kosztowna technologia i wiele krajów, jak USA, zrezygnowało z budowy nowych reaktorów, a jeszcze więcej innych, jak kraje postsowieckie, chętnie tych jądrowych elektrowni by się pozbyło. Koszt budowy elektrowni wzrósł od czasu Czarnobyla pięć- czy nawet siedmiokrotnie. Budowa bloku gazowego o mocy tysiąca megawatów kosztuje 4 mld zł, węglowego – 6–7 mld zł, a jądrowego – ponad 50 mld zł. I może być jeszcze większa.

Ale rząd twierdzi, że wybuduje.

To jest publicystyka PR, która ma na celu przesłonięcie rzeczywistych problemów, z którymi boryka się energetyka, a przede wszystkim z mocami wytwórczymi. Prowadzi to do braku realistycznej strategii energetycznej w obliczu narastającego kryzysu. Nakład inwestycyjny przy budowie w Polsce jednej elektrowni, jak np. w Choczewie, o mocy ok. 3,5 GW jest rzędu 180–200 mld zł. I gdyby taką elektrownię nawet wybudować, to dostarczyłaby ona maksymalnie ok. 21 TWh energii elektrycznej, podczas gdy w roku 2040, zgodnie z prognozą polityki energetycznej, będziemy potrzebować ponad 300 TWh energii elektrycznej. Czy budowa elektrowni jądrowej o mocy 3,5 GW, której udział w pokryciu zapotrzebowania wyniesie ok. 7 proc., cokolwiek zmieni?

A czy rozwiązaniem nie są SMR-y, małe reaktory jądrowe?

Prekursorem tych małych reaktorów jądrowych była armia amerykańska. Miała bazy na Alasce, na Grenlandii, na Islandii, które potrzebowały bardzo dużo energii. Zaczęto je konstruować jeszcze przed wybuchem bomby w Hiroszynie. Do tego dołączyły się marynarka i lotnictwo. Amerykanie przez 15 lat konstruowali samolot z reaktorem jądrowym, który kosztował dziesiątki miliardów dolarów. Dopiero prezydent John Kennedy to wszystko zakończył. Było mnóstwo takich projektów. Tych małych reaktorów jądrowych używa się dziś tylko na lotniskowcach i na łodziach podwodnych. Natomiast nie ma zastosowań komercyjnych, chociaż podejmowano wiele prób, chociażby ze słynnym statkiem handlowym o napędzie jądrowym „Savannah”, który po wielu nieudanych próbach dziś stoi w muzeum w USA. W Związku Sowieckim były budowane lodołamacze o napędzie jądrowym, no i ostatnio Rosjanie zbudowali też taki mały reaktor jądrowy na platformie, który się nazywa Akademik Łomonosow. Powstało na świecie wiele firm próbujących skomercjalizować tę technologię. Najbardziej znana była firma NuScale, która niestety zbankrutowała. Trwają próby do budowy małego reaktora jako projektu demonstracyjnego w prowincji Ontario. Podobnie jak duże reaktory SMR-y służą Polsce głównie do celów propagandowych, bo próby ich zastosowań komercyjnych trwają na świecie od prawie 80 lat bez większych rezultatów. Problemy, których nie można opanować w rozwoju SMR-ów, to korozja i wycieki paliwa, prawdopodobnie wynikające z tego, że paliwo w SMR-ach musi być ponad cztery razy więcej wzbogacone w porównaniu z dużymi reaktorami. Dodatkowym elementem są wysokie koszty w przeliczeniu na jednostkę mocy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. dr hab. inż. Władysław Mielczarski – wieloletni pracownik Instytutu Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej. Ma ponad 40-letnią praktykę w elektroenergetyce. Brał udział w projektowaniu oraz we wdrażaniu rynków energii elektrycznej w Australii, Kanadzie i w Polsce.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Odszkodowania za pompy ciepła

Włosi już kombinują, jak wyrwać się spod gilotyny Zielonego Ładu, czyli z zabójczej wirówki, w którą także Włochów już wkręca ETS1, a za chwilę zaczną ich wciągać dodatkowo również ETS2, miażdżąc włoskie rodziny rachunkami za prąd i ogrzewanie. Ale wiadomo, Włosi to Włosi, oni i ich władze potrafią dbać o swoje – nie to co my, Polacy, którzy dla poklepania po ramieniu przez kogokolwiek z Zachodu gotowi byłibyśmy nawet pójść z torbami.

Tak czy siak, po wyrzuceniu do śmieci aberracyjnego Zielonego Ładu w USA przez Donalda Trumpa tylko patrzeć, jak na odwagę zbiorą się nie tylko włoscy, lecz także co poniektórzy inni tchórzliwi unijczycy z Europy i zaczną się wprost prześcigać w swej antyzielonoładowości, jak to już od pewnego czasu robią, na razie mocni w tej sprawie tylko w słowach, do niedawna wielcy miłośnicy Zielonego Ładu, Donald Tusk i Mateusz Morawiecki.

A wtedy lawina ruszy. Jedno państwo po drugim zaczną wypowiadać Zielony Ład i wnet się okaże, że nikt już nie będzie sobie mógł przypomnieć, kto to właściwie tego potwórka przeforsował i nam narzucił (jak, nie przypominając, naziści hitleryzm Niemcom), bo przecież w Polsce i Morawiecki był przeciw niemu, i Tusk, a w Niemczech – i Scholz, i wcześniej Merkel, a znów we Francji – i Macron, i przed nim Hollande.

Pompa ciepła w trymiga trafi do Europejskiego Muzeum Głupoty, a w sądach zaroi się od pozwów, w tym pozwów zbiorowych, w których wszyscy nabici w pompy ciepła będą – i słusznie – żądać zadośćuczynienia za poniesione szkody, w tym za zdemontowanie przez nich pod unijnym niemal przymusem pieców gazowych i węglowych – po to, by w ich miejsce niemal obowiązkowo zainstalować pompy ciepła, w ślad za czym zaczęli dostawać idące w grube tysiące złotych czy euro „rachunki grozy” za zużywany przez nie prąd. Poszkodowani przez zielonoładową dyktaturę, uosabianą przez von der Leyen i Timmermansa, Morawieckiego i Tuska, Scholza i Merkel, Macrona i Hollande’a, itd., będą się domagali zadośćuczynienia od swoich państw, czyli od podatków, a więc niejako także od samych siebie.

A przecież powinni żądać tego zadośćuczynienia od tych, którzy owo nieszczyście, czyli owe pompy ciepła na nich – i to wprost do ich domów – sprowadzili. A więc powinni żądać zadośćuczynienia od Ursuli von der Leyen, Fransa Timmermansa, Mateusza Morawieckiego, Donalda Tuska, Angeli Merkel, Olafa Scholza, Emmanuela Macrona, François Hollande’a itd. W końcu na biednych nie trafiło. A gdyby nawet trafiło, to czy ktoś ich zmuszał, żeby podejmowali tak niekorzystne dla obywateli swych państw – ich współrodaków – decyzje? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Walkower Bodnara

Przydałoby się w tym szaleństwie i powodzi emocji zachować jednak trochę zdrowego rozsądku. Zdrowy rozsądek każe stwierdzić, że nijak nie został dowiedziony związek pomiędzy śmiercią Barbary Skrzypek a jej przesłuchaniem w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie. Politycy – z prezydentem Andrzejem Dudą na czele – którzy twierdzą, że taki związek istnieje, nie opierają się na faktach. To nie znaczy, że go nie ma. Znaczy to tylko, że nie został i prawdopodobnie

– co w ogóle powinno być standardem w trzeciej dekadzie XXI w. – na wyznaczeniu pani Wrzosek do prowadzenia politycznego śledztwa skończywszy.

W „Do Rzeczy” kilkakrotnie pisaliśmy o upadku Adama Bodnara, który z osoby posiadającej pewien autorytet, przekraczającej granicę lewicowej bańki, stał się uległym siepaczem, wykonującym a nawet starającym się wyprzedzać najradykalniejsze polecenia premiera Tuska. Sprawa pani Wrzosek jeszcze mocniej uderza w jego wizerunek. Był wszak moment, w którym Bodnar próbował tę fanatyczną antypisowską aktywistkę w todzie odsunąć od politycznych zadań – ale okazał się słabszy niż radykalna frakcja Romana Giertycha, patrona hunwejbiniów. Powierzenie śledztwa tego rodzaju komuś takiemu jak Ewa Wrzosek – osobie, która właściwie w ogóle nie powinna być prokuratorem, a jeśli już, to powinna zajmować się wyłącznie przestępczością pospolitą – to unieważnienie wszystkich pięknych słów, które Bodnar wygłosił na temat walki z upolitycznieniem prokuratury. Z tym upolitycznieniem mógł bowiem minister sprawiedliwości i zarazem prokurator generalny walczyć nawet bez zmiany Ustawy o prokuraturze – na poziomie personaliów. Jak widać – nie tylko tej walki nie podjął, lecz także oddał ją walkowerem. ©©

**Kilkakrotnie
pisaliśmy o upadku
Adama Bodnara,
który stał się
uległym siepaczem,
wykonującym
najradykalniejsze
polecenia Tuska**

nie zostanie wykazany, a więc dobrze byłoby jednak wstrzymać się z formułowaniem zbyt daleko idących wniosków.

Nie zmienia to faktu, że nic w tej sprawie nie było ze strony prokuratury w porządku. Od nierejestrowania przesłuchania w formie audiowizualnej poczynszy

Tesla non grata



FOT. ADRIEN STOCK



Jacek Przybylski

Mniejszy popyt na elektryki, rosnąca w siłę konkurencja oraz niechęć części klientów wobec politycznych działań Elona Muska sprawiły, że zarówno sprzedaż samochodów Tesli, jak i giełdowe notowania spółki od początku roku spadają na łeb na szyję. Inwestorzy apelują już do Muska o ustąpienie z funkcji szefa spółki. Ten zaś planuje kontrofensywę

To nie jest dobry rok dla inwestorów Tesli. Od grudnia wartość spółki zmniejszyła się z 1,54 bln do 739 mld dol. Innymi słowy, w ciągu kilku miesięcy z wyceny wyparowało nagle ok. 800 mld dol. (słownie: osiemset miliardów dolarów). Aby łatwiej było

wyobrazić sobie tę astronomiczną kwotę, jest to mniej więcej tyle, ile Stany Zjednoczone kosztowała wojna w Iraku, uznawana za jedną z najdroższych wojen w historii Ameryki. Robi wrażenie, prawda? A przecież w szczytowym momencie akcje spółki Muska warte były aż 1,7 bln (!) dol.

Tak wielkie pieniądze tak szybko wyparowały z tej motoryzacyjnej spółki m.in. dlatego, że Tesla na początku roku poinformowała inwestorów o pierwszym w historii spadku sprzedaży. Popyt na samochody tej marki zmalał zarówno w USA, jak i w Europie. Efekt? Tesla w roku 2024 dostarczyła klientom niemal 1,789 mln pojazdów, czyli o ponad 19 tys. mniej niż rok wcześniej. Spadek o 1,1 proc. niby nie jest wielki, ale wiadomości ze stycznia i z lutego 2025 r. są już dramatycznie złe.

Według danych JATO sprzedaż samochodów Tesli spadła z 18 121 samochodów w styczniu 2024 r. do zaledwie 9913 w styczniu roku 2025. Największe spadki dotyczyły Niemiec, Francji, Hiszpanii oraz Wielkiej Brytanii. Według danych Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów (ACEA)

podobne spadki (średnio o 45 proc.) odnotowano również w lutym obecnego roku. Sprzedaż aut Tesli w lutym spadła w Niemczech (aż o 76 proc.), we Włoszech o 55 proc., w Portugalii o 53 proc., we Francji, w Danii i Norwegii o 45 proc., w Szwecji o 42 proc., w Holandii o 24 proc., a w Hiszpanii o 10 proc. Problem nie dotyczy tylko Europy, lecz także innych kontynentów. W Australii liczba rejestracji nowych Tesli spadła o 66 proc. W amerykańskiej Kalifornii odnotowano spadek liczby rejestracji o niemal 12 proc. (mimo wzrostu sprzedaży aut elektrycznych jako takich).

Globalna niechęć do marki widoczna jest także w salonach nad Wisłą. Z danych Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego wynika, że liczba rejestracji nowych tesli w Polsce spadła o ponad połowę! W styczniu i w lutym zarejestrowano w naszym kraju 297 nowych elektryków wyprodukowanych przez Teslę (to spadek o 53,1 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku 2024). Jednocześnie zmalał również udział marki w polskim rynku nowych e-aut z 30 proc. do 10,6 proc. I nie jest to wcale kwestia mniejszego popytu na

samochody elektryczne jako takie, ponieważ – jak zauważył Reuters – akurat w Niemczech w lutym sprzedaż e-aut wzrosła w tym samym czasie o 30,8 proc. Według prognoz serwisu Electrek w całym pierwszym kwartale obecnego roku Tesla sprzeda najmniej aut od trzeciego kwartału 2022 r., czyli 359 tys. egzemplarzy.

Takie zachowanie spółki sprawiło, że wielu inwestorów straciło wiarę w Teslę. Efekt? Dalsze spektakularne spadki. Dla przykładu: tylko 10 marca 2025 r. kurs akcji spółki spadł aż o 15 proc., co doprowadziło do tego, że rynkowa wartość spółki stopniała aż o 127 mld dol.

Analitycy z Wall Street z Goldman Sachs, UBS, Mizuho czy JPMorgan jednomyślnie obniżyli swoje prognozy dotyczące wartości spółki. W ubiegłym tygodniu znany inwestor Ross Gerber, jeden z pierwszych inwestorów Tesli, publicznie zaapelował zaś do Elona Muska o ustąpienie ze stanowiska dyrektora generalnego spółki. Sam CEO Tesli też notuje potężne straty. Majątek najbogatszego człowieka świata stopniał w ciągu ostatnich trzech miesięcy o ponad 120 mld dol.

CZAR PRYSŁ?

Przyczyn spadku popytu na Teslę jest wiele. W Niemczech wielu osobom nie spodobała się ingerencja Muska w proces wyborczy i jawne poparcie dla AfD. Przyczyny spadku sprzedaży samochodów koncernu kierowanego przez najbogatszego człowieka świata są również niezwiązane z bieżącą polityką.

Jednym z powodów spadku sprzedaży jest coraz mocniejsza pozycja konkurentów amerykańskiego producenta z Europy oraz z Chin, którzy coraz częściej przebijają ofertę Tesli nie tylko ceną, lecz także coraz bardziej zaawansowanymi możliwościami technologicznymi. Dla przykładu: w kwestii ładowania Teslę w tyle zostawił już np. chiński koncern motoryzacyjny BYD, który w marcu ogłosił opracowanie technologii ładowania megawatowego. Pozwala ona na skrócenie czasu ładowania ogromnych akumulatorów elektrycznych aut do porównywalnego z czasem tankowania samochodów spalinowych. Dzięki nowej technologii w ciągu 10 sekund samochód BYD odzyskuje 20 km zasięgu, a w ciągu



Tesla pracuje już nad mniejszą i tańszą wersją modelu Y. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pięciu minut jest już doładowany na tyle, aby móc przejechać kolejne 400 km. Dla porównania: Tesla chwali się, że jej ładowarki Supercharger osiągają szczytową moc ładowania na poziomie 250 kW. To zaś oznacza, że superładowarki tej marki w ciągu 15 minut mogą zwiększyć zasięg Tesli o 321 km. Już teraz możliwe jest jednak zwiększenie tej mocy do 325 kW, a w przyszłości do 500 kW (czyli do połowy mocy, którą pochwalili się właśnie Chińczycy).

Kolejnym powodem, który sprawia, że gwiazda Elona Muska straciła blask, jest jakość Cybertrucka. Elektryczny pick-up miał być tak solidnie wykonany, że według Muska powinien przetrwać nawet armagedon. Tymczasem auto okazało się być kompletną kląpą. W Internecie pełno jest filmików ukazujących, jak „amerykański cud techniki” grzęźnie w śniegu oraz w piasku, a niekiedy „terenówka” ma nawet tak duże trudności z podjechaniem pod górkę, że podczas offroadowych przejażdżek musi być ratowana z opresji przez prawdziwe terenówki. Efekt? Używane cybertrucki sprzedają się na rynku wtórnym za 58 proc. niższą cenę niż przed rokiem.

WANDALIZM I TERRORYZM

Ważną przyczyną spadku sprzedaży Tesli są powody polityczne. Policjanci w całych Stanach Zjednoczonych – od Kalifornii do Nowego Jorku – prowadzą śledztwa w sprawie serii ataków na samochody Tesli, salony tej marki, a także należące do Tesli stacje ładowania.

Powód? Rosnąca niechęć Amerykanów do prezesa firmy Elona Muska. Formy protestu są różne. Od naklejek wyjaśniających, że auto zostało kupione, „zanim Musk zwariował”, do sprzedaży używanych aut Tesli. Akcje wymierzone w spółkę Muska stają się jednak coraz bardziej radykalne. W Kolorado aresztowano kobietę, która nie tylko wypisywała na salonach Tesli sprayem hasło „Nazistowskie samochody”, lecz także rzucała w pojazdy tej marki koktajlami Mołotowa. W Karolinie Południowej w ręce agentów FBI wpadł mężczyzna, który podpalił stacje ładowania Tesli w pobliżu Charleston.

Przed tygodniem jeden z napastników ostrzelał i podpalił kilka samochodów Tesli w warsztacie w Las Vegas, co zostało już przez FBI zakwalifikowane jako możliwy akt krajowego terroryzmu.

W ubiegły wtorek szef prestiżowego Vancouver International Auto Show Eric Nicholl ogłosił, że samochody marki zostały wykluczone z trwających kilka dni targów, które w zeszłym roku przyciągnęły aż 130 tys. odwiedzających. Oficjalnie ze względu na „obawy o bezpieczeństwo” pracowników, wystawców i uczestników. Przed ogłoszeniem tej decyzji w Ottawie i Vancouver odbyły się jednak głośne protesty przeciwko Elonowi Muskowi i jego politycznej działalności w gabinecie prezydenta Donalda Trumpa. Najbogatszy człowiek świata podpadł Kanadyjczykom, ogłaszając na należącej do siebie platformie X, że „Kanada nie jest prawdziwym państwem”.



Cybercab to taksówka, która nie ma już ani kierownicy, ani pedałów gazu czy hamulca. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ I chociaż szybko ten wpis usunął, to mleko się już rozlało. Setki tysięcy osób podpisały petycję żądającą pozbawienia Muska kanadyjskiego obywatelstwa. Znaczenie tej inicjatywy było tylko symboliczne, ale skala poparcia dla tej inicjatywy zaskoczyła nawet autorów petycji.

Tesla ponosi w Kanadzie straty nie tylko wizerunkowe. Po ogłoszeniu przez amerykańskiego przywódcę wojny celnej firma British Columbia Hydro wykluczyła produkty Tesli z programu rabatów na pojazdy elektryczne.

Przed salonami Tesli w różnych krajach odbywają się również regularne protesty. Także w mediach społecznościowych roi się od wpisów polityków, aktywistów i celebrytów apelujących o bojkot Tesli. W sprawę zaangażował się nawet członek polskiego rządu. „Żaden normalny Polak już nie powinien kupować Tesli. Trzeba odpowiadać na to poważnie i twardo, łącznie z czymś takim jak bojkot konsumencki” – napisał w styczniu minister sportu i turystyki Sławomir Nitras po tym, jak Musk powiedział na wiecu Alternatywy dla Niemiec, że „dzieci nie powinny ponosić winy za grzechy swoich pradziadków”. Na te słowa amerykańskiego miliardera zareagował wówczas również prezes Instytutu Yad Vashem, Dani Dajan, podkreślając, że „Niemcy nie mogą zapominać o najciemniejszych kartach swojej historii”.

NA PROGU REWOLUCJI

Tesla nie zamierza łatwo sprzedać skóry. W ratowanie marki i majątku swego wiernego sponsora Elona Muska zaangażował się osobiście prezydent USA. Donald Trump w odpowiedzi

na rosnące poparcie dla bojkotu Tesli i coraz głośniejsze protesty w ramach akcji #TeslaTakedown nie tylko grzmiał o „krajowym terroryzmie”, lecz także na kilka godzin zamienił otoczenie Białego Domu w jeden wielki salon Tesli.

Elon Musk pokłada również nadzieję na powrót do wzrostów sprzedaży w pojazdach w pełni autonomicznych. Na drogi w Austin w Teksasie mają wyjechać już w czerwcu obecnego roku. Samochody te zgodnie z prawem nie będą już wymagały obecności kierowcy, co może rozkręcić nie tylko sprzedaż najnowszych pojazdów koncernu, lecz także umożliwić czerpanie przychodów z autonomicznych taksówek.

Co prawda, autonomiczne taksówki wozily już klientów w różnych rejonach Ameryki, ale w Austin pierwszy raz samochody będą poruszały się bez jakiegokolwiek nadzoru kierowcy człowieka.

Jeśli plan się powiedzie, to jeszcze w tym roku będziemy świadkami początku rewolucji znanej dotąd głównie z filmów science fiction. Autonomiczne taksówki będą mogły się pojawiać w kolejnych miastach w Teksasie (prawo tego stanu zezwala firmom produkującym pojazdy autonomiczne na swobodny dostęp do dróg publicznych, pod warunkiem że pojazdy są zarejestrowane i ubezpieczone, tak jak każdy samochód prowadzony przez człowieka), a Tesla będzie mogła zarabiać na produkcji specjalnie zaprojektowanych pojazdów typu Cybercab (dwuosobowe auto, w którego wnętrzu nie ma już w ogóle takich przeżytków jak kierownica czy pedały gazu i hamulca) lub Robovan (autonomiczna taksówka mogąca przewieźć jednocześnie do 20 osób).

Również na tym polu Tesla ma jednak poważnych konkurentów, jak choćby należąca do holdingu Alphabet spółkę Waymo, która we współpracy z Uberem również w tym roku planuje zająć lokalny rynek za pomocą autonomicznych aut. Elon Musk przekonuje jednak, że nie ma na świecie żadnej innej firmy, która w kwestii sztucznej inteligencji byłaby tak zaawansowana jak Tesla. To może być ważny przełom, zwłaszcza że spółka Muska jest coraz bliżej oficjalnej zgody na działalność swych robotaksówek m.in. w Kalifornii.

KONTROFENSYWA CENOWA

Jednocześnie spółka, na której czele stoi najbogatszy człowiek świata, pracuje nad mniejszym, skromniejszym i istotnie tańszym wariantem Modelu Y. Auto ma zostać zaprojektowane w Chinach i umożliwić Tesli odzyskanie konkurencyjności na gigantycznym chińskim rynku. Oficjalna data premiery nie została ogłoszona, ale w amerykańskich mediach spekuluje się, że nowe auto może trafić do salonów jeszcze w obecnym roku. Ma być ono nawet o jedną piątą tańsze niż Model Y. Ten zaś w najtańszym wariantcie z napędem wyłącznie na tylne koła i zasięgiem (WLTP) 500 km kosztuje obecnie w Polsce 204 990 zł.

Najtańsza tesla, czyli model 3 z napędem wyłącznie na tylne koła, już od początku obecnego roku jest oferowana polskim klientom za 184 990 zł, czyli o 5 tys. zł taniej. A dzięki rządowemu programowi NaszEauto, w ramach którego polscy podatnicy dopłacają z własnej kieszeni do rozwoju zagranicznych gospodarek, koszt zakupu nowej tesli można zmniejszyć do nieco ponad 140 tys. zł. Bazowa dopłata wynosi co prawda 18 750 zł, ale można uzyskać także 10 tys. zł premii za zełomowanie starego auta oraz 11,25 tys. zł dopłaty dla osób o niskich dochodach (słowa o tym, że „słuszną linię ma nasza władza”, wydają się w tym wypadku aktualne jeszcze bardziej niż w czasach Barei).

Czy niższe ceny doprowadzą w końcu do wzrostu popytu na tesle? Nie wiadomo. Z pewnością na kłopotach Elona Muska zyskają jednak inni producenci samochodów elektrycznych: od BYD i BMW do Hyundaia i Volvo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



JAK BOLESŁAW CHROBRY ZDOBYŁ KORONĘ

1000. rocznica pierwszej koronacji – status królestwa dla Polski oznaczał komplikacje dla niemieckich planów

Tajemnice gen. von Seydlitza – oficer Wehrmachtu po dostaniu się do niewoli zaczął służyć Sowieciom w najgorszym możliwym stylu

Chiński „twórca królów” – obrotny kupiec zainwestował w banitę pochodzącego z królewskiego rodu. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania

Moskale porywają biskupa – Kajetan Sołtyk dał się uwikłać w perfidną grę przeciw Stanisławowi Augustowi. Gdy przejrzał na oczy, Rosjanie postanowili go ukarać

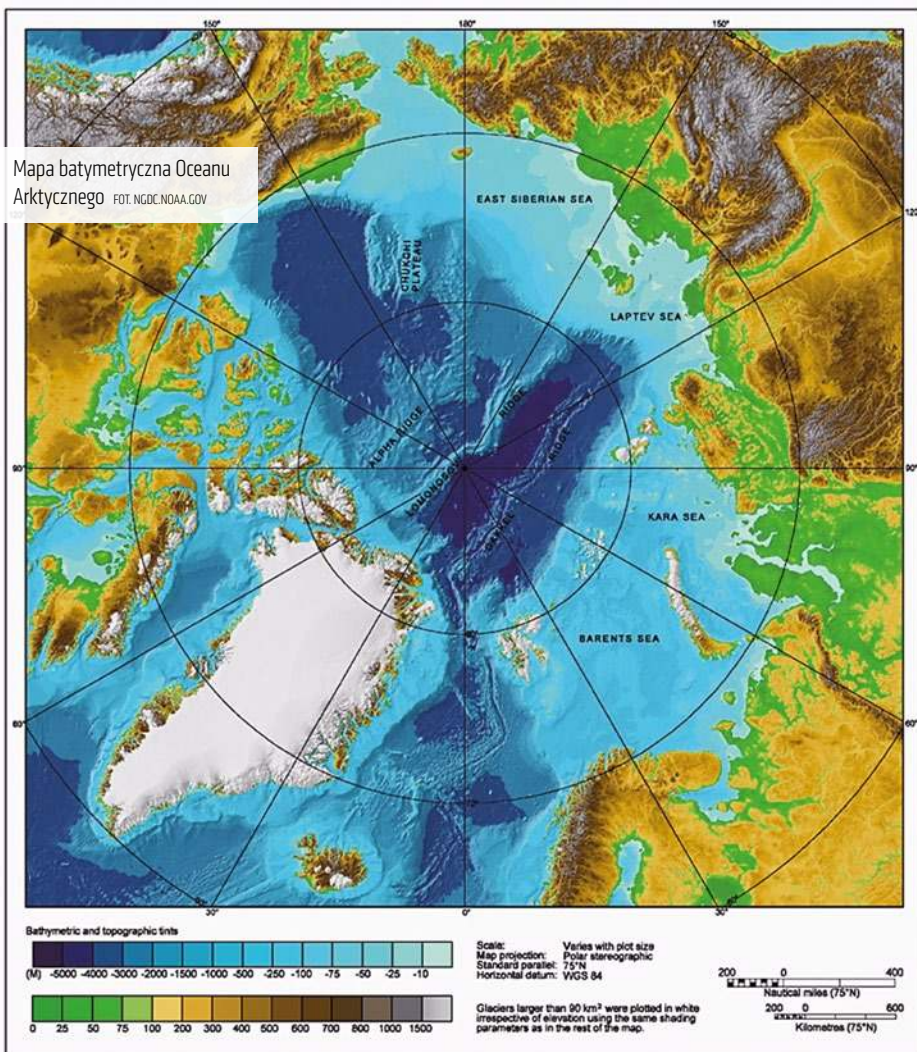
Zabójcze „żyjotka” – Medycy bardzo późno zrozumieli, że zwykłe mycie rąk i narzędzi chirurgicznych może uratować niezliczone istnienia

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Wyrażona przez Donalda Trumpa chęć kupna Grenlandii nie jest bynajmniej szalonym wyskokiem tego prezydenta. USA kupiły już w 1867 r. Alaskę od rosyjskiego cara Aleksandra II, który wolał ją sprzedać zaprzyjaźnionemu wówczas krajowi, niż dopuścić do zagarnięcia jej przez Wielką Brytanię, która upokorzyła jego ojca dzięki zwycięstwu w wojnie krymskiej. Inspirator tej transakcji, sekretarz stanu William H. Seward, już wówczas rozważał przejęcie Grenlandii. Przed pierwszą wojną światową USA nadal były zainteresowane tym tematem i powróciły do niego po drugiej wojnie światowej, w trakcie której powstały bazy USA na tej największej wyspie świata. Działania te były elementem budowania wpływów amerykańskich w Arktyce.

W arktycznej rywalizacji nie mogło zabraknąć Związku Sowieckiego. Przed drugą wojną światową, w roku 1937, polarnicy sowieccy przewiezieni samolotami założyli pierwszą stację badawczą „Biegun Północny I” na dryfujących lodach Arktyki. W roku 1948 ekspedycja sowiecka odkryła podwodny grzbiet (nazwany imieniem Łomonosowa, XVIII-wiecznego rosyjskiego uczonego i poety, prekursora chemii fizycznej, twórcy Uniwersytetu Moskiewskiego), rozciągający się od azjatyckiego szelfu Rosji pod biegunem północnym w kierunku północnoamerykańskiego szelfu należącego do Kanady i Grenlandii. Podstawowym zagadnieniem stało się to, jaki charakter geologiczny ma ta struktura.

Prawie wszystkie grzbiety oceaniczne to wydłużone wzniesienia zbudowane zazwyczaj z bazaltów, skał charakterystycznych dla skorupy oceanicznej. Skorupa budująca kontynenty składa się głównie z granitów, skał osadowych i metamorficznych. Jej część pokryta płytkami wodami mórz przybrzeżnych tworzy szelf – stosunkowo wąską półkę otaczającą kontynenty. Państwa nadbrzeżne mają uznanie przez prawo międzynarodowe roszczenia do bogactw naturalnych szelfów przylegających do ich wybrzeży. Istnieją różne metody wyznaczania stref ekonomicznych na dnie oceanicznym. Są one szczególnie korzystne, jeżeli państwo nadbrzeżne potrafi udowodnić, że roszczenia dotyczą



Czy Trump chce wskoczyć na Grzbiet Łomonosowa?



Andrzej Solecki

Grenlandia jest nie tylko miejscem występowania interesujących przejawów mineralizacji złotem, uranem i pierwiastkami ziem rzadkich (REE), których część została udokumentowana jako złoża. Równie – albo może nawet bardziej – istotne perspektywy wiążą się z dnem Oceanu Arktycznego. Wynika to z historii geologicznej tego obszaru. Historii, która jest miazdząca dla mitu globalnego ocieplenia

zanurzonych fragmentów kontynentu, a nie prawdziwego dna oceanicznego.

JAK DALEKO SIĘGA SZELF

Nic więc dziwnego, że władze sowieckie podjęły intensywne badania arktyczne, w tym Grzbiet Łomonosowa, w celu stwierdzenia, jak daleko sięga skorupa kontynentalna szelfu rosyjskiego wybrzeża Oceanu Arktycznego.

5 grudnia 1957 r. w Związku Radzieckim zwodowano pierwszy łodołamacz o napędzie atomowym nazwany imieniem Lenina. Mimo spektakularnego sukcesu, którym było przepłynięcie w roku 1958 amerykańskiego atomowego okrętu podwodnego USS „Nautilus” pod biegunem północnym, przewagę badawczą na Oceanie Arktycznym zdobyła Rosja, gdyż do niej należy prawie połowa jego południowego wybrzeża. Wzdłuż tego wybrzeża Rosji przebiega najkrótsza droga morska z Europy do Chin. 17 sierpnia 1977 r. sowiecki łodołamacz NS „Arktika” jako pierwsza jednostka nawodna dotarł do bieguna północnego.

Grzbiet Łomonosowa i jego potencjalne zasoby stały się przedmiotem zainteresowania Kanady, Danii (posiadającej Grenlandię) i Rosji. Dwa pozostałe kraje sięgające Arktyki – USA (przez Alaskę) i Norwegia – nie mają możliwości składowania roszczeń do tej struktury, gdyż ich szelf nie dochodzi do tego grzbietu. Jak zresztą widać na załączonej mapce, opublikowanej przez amerykańską Narodową Agencję Oceanów i Atmosfery, brak także bezpośredniej łączności tego grzbietu z szelfami grenlandzkim i kanadyjskim, od których oddziela go znaczące obniżenie, co osłabia ewentualne roszczenia Danii i Grenlandii.

20 grudnia 2001 r. Rosja złożyła wniosek do Komisji do spraw Granic Szelfu Kontynentalnego ONZ o przedłużenie szelfu kontynentalnego poza swoją wyłączną strefę ekonomiczną standardowo sięgającą 200 mil od wybrzeża. Wniosek ten poparła stwierdzeniem, że dwa podmorskie grzbiety – Łomonosowa i Mendelejewa – są przedłużeniem szelfu przylegającego do rosyjskiego wybrzeża, a zatem częścią rosyjskiego szelfu kontynentalnego. Wspomniany we wniosku Grzbiet Mendelejewa ciągnie się od Morza Wschodniosyberyjskiego do Grzbietu Alpha, który mimo braku potwierdzenia kontynentalnego

charakteru stał się podstawą kanadyjskich spekulacji odnośnie do roszczeń terytorialnych. Komisja do spraw Granic Szelfu Kontynentalnego ONZ poprosiła Rosję o przedstawienie dodatkowych danych w celu uzasadnienia złożonego wniosku.

Pod koniec września 2007 r. Ministerstwo Zasobów Naturalnych Rosji, po umieszczeniu rosyjskiej flagi na dnie Oceanu Arktycznego – w miejscu, gdzie znajduje się biegun północny – wydało oświadczenie: „Wstępne wyniki analizy modelu skorupy ziemskiej zbadanego przez ekspedycję Arktika 2007, uzyskane 20 września, potwierdziły, że struktura skorupy Grzbietu Łomonosowa odpowiada światowym analogom skorupy kontynentalnej, a zatem jest częścią sąsiadującego z Federacją Rosyjską szelfu kontynentalnego”. Okazało się, że Grzbiet Łomonosowa jest unikalną w skali świata strukturą, wąskim podmorskim przedłużeniem szelfu syberyjskiego. Stworzyło to dla Rosji szansę utworzenia tam własnej strefy ekonomicznej, sięgającej poza standardowe 200 mil od rosyjskiego wybrzeża aż do Grenlandii.

ZIELONA WYSPA

Grenlandia, do której prawie dochodzi Grzbiet Łomonosowa, jest zatem nie tylko miejscem występowania interesujących przejawów mineralizacji złotem, uranem i pierwiastkami ziem rzadkich (REE), których część po wykonaniu prac poszukiwawczych i analizie ekonomicznej na poziomie studium wykonalności została udokumentowana jako złoża. Równie – albo może nawet bardziej – istotne perspektywy wiąże się z dnem Oceanu Arktycznego, a zwłaszcza z szelfem przylegającym do tej wyspy. Wynika to z historii geologicznej tego obszaru, historii, która jest miazdząca dla mitu globalnego ocieplenia.

Około 55 mln lat temu, na przełomie paleocenu i eocenu, średnia temperatura powierzchni naszej planety była o prawie 14 st. C wyższa niż u schyłku XX stulecia i dochodziła do 29 st. C. Wynikało to z prawie 10-krotnie większej (niż obecne 420 ppm) zawartości dwutlenku węgla w ówczesnej atmosferze, dochodzącej do 3500 ppm. Takiej okazji nie mogły zmarnować rośliny. Nic więc dziwnego, że 5 mln lat później na Oceanie Arktycznym nastąpił gwałtowny zakwit słodko-

wodnych paproci z rodzaju *Azolla*. Zakwitowi temu sprzyjało to, że powierzchnia Oceanu Arktycznego o średniej temperaturze ok. 13 st. C (obecnie –9 st. C) zdominowana była przez wody wpadających do niego rzek. Wody te zawierały znaczne ilości żywej zawiesiny. *Azolla* zwana niekiedy „superrośliną”, dzięki trwałej symbiozie z sinicami potrafi czerpać azot bezpośrednio z powietrza. Dzięki temu jest w stanie w ciągu niespełna dwóch dni podwoić swoją masę. Jeden hektar porośniętego *azollą* zbiornika wodnego jest w stanie pobrać z atmosfery w ciągu roku 2,5 tony azotu i 55 ton dwutlenku węgla. Nic więc dziwnego, że w Azji Południowo-Wschodniej jest ona stosowana jako użyźniający poplon mogący do 150 proc. zwiększyć plony ryżu.

Grenlandia była wówczas nie tylko prawdziwie zieloną wyspą, lecz także była otoczona przez zielony od glonów ocean. Na dnie tego oceanu gromadziły się tony materii organicznej, która stała się materiałem źródłowym do powstania arktycznych złóż węglowodorów. Szacuje się, że 10–15 proc. światowych zasobów ropy i 25–30 proc. światowych zasobów gazu zalega w Arktyce.

DALEKOWZROČNOŚĆ

Za sukces populacyjny *azolli* i arktyczne nagromadzenie węglowodorów zapłaciła cała nasza planeta drastycznym, trwającym do dzisiaj ochłodzeniem, ostatnio nieco moderowanym dzięki antropogenicznej emisji CO₂. Należy podkreślić, że planeta nasza w przypadku braku atmosfery i związanego z obecnością CO₂ efektu cieplarnianego miałaby temperaturę powierzchni poniżej –18 st. C. Zdaniem części badaczy ponad 2 mld lat temu cała nasza planeta była pokryta lądolodem. Odwilż spowodował dwutlenek węgla pochodzenia wulkanicznego, który otoczył naszą planetę ciepłą kołderką, co umożliwiło 300 mln lat temu bujny rozwój karbońskich lasów i pozwoliło na ekspansję mezozoicznych dinosaurow, rozpoczętą ok. 237 mln lat temu.

Reasumując, należy stwierdzić, że znajomość geologii i potencjału surowcowego regionów świata ma decydujące znaczenie dla dalekosiężnej polityki mocarstw światowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem na Uniwersytecie Wrocławskim, kierownikiem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi.

ELEKTRYCZNY MINI COOPER SE



FOT. PAP

Stylowy gokart, który stał się ikoną motoryzacji i ważnym elementem zachodniej popkultury, w swej najnowszej odmianie ma dwie twarze: spalinową i elektryczną.

Tym razem do testów wzięliśmy wersję wyłącznie na prąd, ale na pierwszy rzut oka niemal się one nie różnią. Napisać, że to auto wygląda futurystycznie, dynamicznie i ekstrawagancko, to za mało. Zwłaszcza gdy patrzy się na niego z przodu, widać, że reflektory nie tylko podkreślają jego sportowe DNA, lecz także czynią z tej zabawki dla pewnych siebie chłopców (i dorosłych dziewczynek) prawdziwego drogowego zawiadanie. Niczym magnes przyciąga więc spojrzenia przechodniów i innych kierowców. I to nie tylko dlatego, że jeździliśmy akurat egzemplarzem w kolorze kanarka skąpanego w ostrym tokańskim słońcu (jednak z białym dachem i białymi

lusterkami). Nikt nie musi patrzeć, co to za marka. Wzornictwo mini jest bowiem tak charakterystyczne, że trudno je pomylić z jakimkolwiek innym autem. Tym przyjemniej jest wspomnieć, że współtwórcą nowej wersji ikony motoryzacji od lat jest Polak, Tomasz Sycha.

Futurystyczny i minimalistyczny jest również design wnętrza. Najważniejszym jego elementem jest ogromny, okrągły wyświetlacz OLED o rewelacyjnej rozdzielczości. Jest też dobrej jakości HUD (Head-Up Display), który pokazuje kierowcy większość potrzebnych informacji. Cieszy, że projektanci Mini nie zapomnieli o tradycji i że przełącznik do zapalania/gaszenia samochodu zawiera w sobie dużą próbkę DNA marki. Podobnych akcentów można we wnętrzu znaleźć wiele. Na pochwałę zasługuje również mięsista kierownica, która aż zachęca do zabawy.

Elektryczny Mini Cooper SE daje również mnóstwo radości z jazdy. Prowadzi się świetnie. O zera do setki przyspiesza w 6,7 s. Moc 218 KM wystarcza zaś, aby sprawnie przeskakiwać z pasa na pas, a później na buspas (i odwrotnie). Do wyboru jest nawet tryb jazdy o nazwie gokart, który pokazuje przeciążenia, aktualną moc etc.

Zasięg zimą to w praktyce bardziej 325 km niż podawane przez producenta 400 km. System sprawnie wyszukuje jednak na trasie ładowarki, tak aby dało się podróżować nie tylko dookoła kolumny. Rozczarowuje jednak bardzo małą maksymalną moc ładowania (ledwie 95 kW).

Testowane auto jest zresztą niemal książkowym przykładem romantycznego podejścia do motoryzacji. Mimo że najnowsza generacja nieco urosła (Mini mierzy 385,8 cm długości) to nadal jest to auto dla dwóch osób (ewentualnie dwojga dorosłych i zwinnego psa). Wystarczy spróbować zabrać znajomych w góry lub nad morze. Oczywiście w teorii dorosi do tyłu też wejść. Próba zajęcia miejsca za przednim fotelem przypomina, że od lat w szkołach jest za mało lekcji WF. A gdy misja w końcu zakończy się powodzeniem, to zwłaszcza wysokim trudno się z tego sukcesu cieszyć. W praktyce tylna kanapa to więc druga część bagażnika, pozwalająca zapakować większe zakupy, wrzucić plecak na siłownię czy aktywkę z dokumentami. To przydatna część auta. Sam kuferek liczy bowiem zaledwie 211 l pojemności.

Ceny testowanego modelu zaczynają się już od 146,5 tys. zł (wersja Essential). Wersja SE to wydatek co najmniej 164 tys. zł, a najbogatsza wersja – JCW – kosztuje już 205,6 tys. zł. ©

INTELENTNY PIERŚCIEŃ MAXCOM MR100

Dopracowane wzornictwo, wielość inteligentnych funkcji oraz świetny stosunek ceny do jakości i możliwości – to największe zalety inteligentnej obrączki mRing MR100 polskiej firmy Maxcom.

Ważący zaledwie 2,2 g pierścionek jest solidnie wykonany. Można go kupić w trzech kolorach: złotym, srebrnym oraz czarnym. Do wyboru jest też osiem rozmiarów jubilerskich. I muszę przyznać, że prezentuje się na tyle elegancko, że można go traktować jak każdą inną biżuterię ze stali nierdzewnej.

Tym, co odróżnia inteligentną obrączkę od tradycyjnych pierścieni, są sensory, które pozwalają mierzyć poziom natlenienia krwi, a nawet badać zmienność rytmu serca (HRV). Smart ring liczy również spalane kalorie, liczbę wykonanych kroków, a także szacuje przebyte dystansy.

Dane z pierścienia przesyłane są bezprzewodowo do bezpłatnej aplikacji na smartfonie. Tam można podejrzeć wyżej wymienione dane, a także zobaczyć „wynik regeneracji” i sugestie dotyczące zdrowia.

MR100 świetnie radzi sobie również z monitorowaniem snu oraz jego analizą (długość snu głębokiego, lekkiego, fazy REM, liczba pobudek w nocy etc.).



Inteligentny pierścionek umożliwia również pomiar temperatury skóry oraz oferuje śledzenie cyklu menstruacyjnego.

Co ważne, testowany mRing jest pyło- oraz wodoodporny (poziom ochrony to IP68). Można się więc w nim kąpać czy pływać. Wbudowana bateria pozwala na mniej więcej pięć dni pracy na jednym ładowaniu. Samo uzupełnianie energii wymaga zaś użycia dołączonej w zestawie magnetycznej ładowarki.

Wady? Z listy treningów można wybrać tylko bieganie, chodzenie czy jazdę na rowerze. Brakuje więc np. pływania i rejestrowania liczby przebytych długości basenów. Przydałyby się też wibracje.

Jeśli ktoś jest więc przyzwyczajony, że rano cicho budzi go wibrujący inteligentny zegarek, to nie może go zastąpić pierścieniem. Z drugiej strony ci, którzy mają dość ciągłych powiadomień, za wibracjami tęsknić nie będą. Mnie marzyłyby się też moduł NFC i możliwość płatności bezdotykowych.

Mimo tych braków ze względu na świetny stosunek ceny do jakości i możliwości ten model powinien znaleźć się na liście produktów do obejrzenia przed zakupem dla wszystkich zainteresowanych inteligentną biżuterią. Tym bardziej że za Samsung Galaxy Ring trzeba zapłacić niemal 1,9 tys. zł, a inteligentny pierścionek Maxcom kosztuje... 249 zł. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dobra stołowe królów Polski



JACEK KOMUDA

Z jakich dochodów utrzymywał się władca dawnej Rzeczypospolitej? Cóż, bardziej biegli w historii odpowiedzą, że z dóbr królewskich zwanych królewszczynami. Nie jest to jednak prawda. Owe królewszczyny, których było w Koronie i na Litwie niemało, stanowiły bowiem dobra państwowe. Król nadawał je w dożywotnie posiadanie szlachcie i magnatom, ludziom związanym z dworem lub takim, których chciał pozyskać. Często ich nadania przechodziły na mocy przywilejów z ojca na syna. Dzierżawcy królewszczyn płacili z nich podatek na wojsko – kwartę – i inne podatki uchwalone przez Sejm. Trafiały one jednak do skarbow Korony i Litwy, a nie do skarbcza królewskiego.

Nic więc dziwnego, że jeszcze w XVI w. z królewszczyn wydzielono dobra, z których dochody przeznaczano wyłącznie na utrzymanie dworu królewskiego zwane właśnie „dobrami stołowymi”. Najpierw, na mocy konstytucji z 1589 r. „Ordinatio o prowentach w Wielkim Księstwie Litewskim”, na utrzymanie Zygmunta III Wazy i jego dworu przeznaczono wszystkie myta oraz sześć ekonomii: grodzieńską, szawelską, brzeską, kobryńską, mohylewską i olicką. Były to całe klucze wsi i związanych z nimi obiektów przemysłowych, a także miasta: Grodno, Olita nad Niemnem, Mohylew na wschodzie Litwy, Brześć, Kobryń i Szawle.

Rok później Sejm uporządkował tę sprawę w Koronie, uchwalając konstytucję „Rationes stołu Króla Jego Mości”, która ustanawiała jako dobra stołowe następujące, powiedzielibyśmy dziś, podmioty gospodarcze – żupy krakowskie, czyli kopalnie soli w Wieliczce



FOT. DOMENA PUBLISZNA

i Bochni. Kopalnie ołowiu i srebra w Olkuszu, warzelnie soli na Rusi – koło Sambora, Drohobycz. Kolejnymi dobrami były cła: koronne, ruskie, płockie, opłaty morskie od okrętów w portach w Gdańsku, Elblągu i Rydze. A także dochody z mennicy i oczywiście ekonomie: malborska, sandomierska, samborska, tczewska, rogozińska oraz wielkorządy krakowskie.

Szlachta, obawiając się, że królowie zarządzając będą ekonomiami rozrzuć i wkrótce ulegną one rozdrobnieniu i przepadną, na kolejnych sejmach ograniczyła możliwości dysponowania nimi przez władców. Nie mogli oni ani przyłączać, ani sprzedawać żadnych dóbr należących do ekonomii, ani też wydawać przywilejów ograniczających i uszczuplających ich dochody. Dzierżawcami nie mogli być duchowni, a w XVIII w. August II Sas zobowiązał się nie powierzać żadnych funkcji w skarbie królewskim Żydom. Oddawanie ich w zastaw możliwe było tylko za zgodą Sejmu. Tak postąpiono np. w czasach potopu, kiedy przekazano cesarzowi żupy wielkie w ramach spłaty żołdu oddziałów, które przysłał Janowi Kazimierzowi do walki ze Szwedami.

Ekonomie królewskie byłyby dobrze zarządzanymi, kwitnącymi majątkami ziemskimi, zyski zaś zależały od samego króla i jego podskarbiego nadwornego. Dobrze gospodarujący i oszczędny Zyg-

munt III Waza uzyskiwał roczne dochody ok. 700 tys. zł, porównywalne z dochodami panującego wówczas we Francji Ludwika XIII. Z kolei rozrzutny Władysław IV przez całe życie pozostawał w długach, wywołując skandale, jak choćby afera z dobrami smoleńskimi, którymi zarządzał, będąc jeszcze królewiczem. Za Augusta II Sasa przeprowadzono reformę dóbr stołowych – utworzono tzw. Kamerę mieszczącą się na Zamku Królewskim w Warszawie. Jej prezesem był zawsze senator, a wiceprezesem podskarbi nadworny.

Co działo się w czasie bezkrólewia? Ekonomie przechodziły wówczas pod zarządek podskarbi, koronnego i litewskiego, z czego wyłączono cła gdańskie i elbląskie. Ich kontrolę prowadziły magistraty miast. Na czas bezkrólewia wybierano także komisarzy do dozoru dóbr królewskich, z którego raport zdawali w czasie Sejmu.

Ekonomie królewskie od końca XVII w. zwolnione były od podatków, leży wojskowych i innych powinności. Dawały zatem władcy dobry dochód, nieuszczuplony przez łanowe czy podymne. Ich instytucja przetrwała aż do końca I Rzeczypospolitej, potem skonfiskowane zostały przez zaborców. W Królestwie Polskim po 1815 r. rząd zebrał w nowe ekonomie zarówno pozostałości dawnych ekonomii królewskich, królewszczyn, jak i majątki pozostałe po zakonach i utworzył z nich – jak podaje Gloger – 64 ekonomie, czyli klucze skarbowe. Przepadły one po kolejnych powstaniach – zostały przejęte przez Moskwę i rozdawane jako majoraty oraz donacje carskim generałom zasłużonym w „usmirieniu” polskich buntów. Do dziś ich nazwy zachowały się w krajobrazie Polski. ©



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK
I ANNA POPEK Z D. CHRZUK

Benedyktyni w Melku

Jadąc na marcowe narty do Austrii, zatrzymałyśmy się w benedyktyńskim opactwie Melk. To największy w tym kraju i chyba też w Europie zespół klasztorny.

Pełne podziwu dla św. Benedykta – patrona Europy, którego reguła do dziś porządkuje życie zakonne na Starym Kontynencie – zaczęłyśmy ją zgłębiać. Zasada generalna – rozplanowanie dnia i złoty podział: osiem godzin pracy, osiem godzin modlitwy i medytacji, osiem godzin odpoczynku.

A co do naszej rubryki – a jakże! – znalazłyśmy tam również regulacje dotyczące tego, co i ile należy jeść oraz pić. Święty Benedykt szczegółowo określa porę posiłków, różnicując je w zależności od pór roku. Nie pozwalał podjadać pomiędzy posiłkami ani spóźniać się na nie. Karą dla spóźnialskich było jedzenie w samotności.

My zaproponujemy dzisiaj najbardziej znane „benedyktyńskie” danie, choć nie jesteśmy pewne, czy jest serwowane w klasztorach.

Jaja po benedyktyńsku

Składniki główne na jajka po benedyktyńsku:

- 4 bułki, np. english muffin, kajzerki lub tosty
- 8 plasterków bekonu lub boczk (opcjonalnie)
- do 130 g • 4 średniej wielkości

jajka lub duże • 2 łyżki octu spirytusowego 10-procentowego (do zrobienia jajek w koszulce)

Składniki na sos holenderski:

- 150 g prawdziwego masła
- 3 żółtka średnich jajek • 3 łyżki soku z cytryny lub 2 łyżki octu
- przyprawy: 1/4 łyżeczki soli i sporo szczypta białego pieprzu

Pracę należy tak rozplanować – niemal po benedyktyńsku – aby wszystkie składniki: bułki, jajka, sos były ciepłe w momencie podania. W przepisie jest jeszcze podsmażony boczek, ale my z niego rezygnujemy zgodnie z sugestią świętego.

W litrze wody z dodatkiem dwóch łyżek octu gotujemy jajka, wrzucając je po kolei. Jedną ręką mieszamy wodę, tak by zrobił się wir i w jego środek wrzucamy jajko. Woda musi tylko delikatnie wrzeć. Wyjmujemy jajka po ok. 2,5–3 min, najlepiej używając łyżki cedzakowej.

Przygotowując sos holenderski, do miski wrzucamy żółtka (uwaga: jajka muszą być w temperaturze pokojowej). Dodajemy sok z cytryny, sól, pieprz i trzepaczką je ubijamy, a w zasadzie napowietrzamy, tak by były puszyste. Po czym bardzo powoli, wąską stróżką wlewamy roztopione i przecedzone przez sitko masło. Starannie łączymy składniki.

Bułeczki przekrawamy na pół i podpiekamy na gorącej patelni.

Następnie na bułkę możemy dać zamiast bekonu plaster łosia, jajko w koszulce i połączyć solidnie sosem holenderskim. Ozdabiamy listkami pietruszki, bazylii lub inną zieleniną. ©©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Uwaga, okazja!

Fala okazyjnych wyprzedarzy zalała ostatnio Facebook. Okazja goni okazję. Czyszczą magazyny. Wszystko, co było drogie, można teraz kupić tanio. Płaszcz Max Mara za 50 euro, zamiast za 600, żaroodporne garnki Le Creuset, które w sklepie nie schodzą poniżej 1 tys. zł, można mieć ledwo za stówkę. Francuska marka Soeur wietrzy magazyn – piękna sukienka za 40 euro, zamiast za 400. Jak nie kupić?

Jest także coś z nie tak wysokiej półki: pięknie zapakowana paczka ubrań z Zary (likwidacja magazynu) prawie za darmo. Praktyczny komplet pojemników Tupperware dotrze do ciebie, jeśli zapłacisz 9,99 zł.

Pod tymi kuszącymi ofertami dziesiątki entuzjastycznych komentarzy. „Przesyłka właśnie dotarła, wszystko tak jak na zdjęciu! Dziękuję” – pisze Krystyna. „Otwieram paczkę ubrań – jestem zachwycona!” – to z kolei Maria.

Kto nie lubi okazji? To, co jest drogie, kupić tanio? Osobiście także przepadam. I niestety wcale nie jestem taka mądra, żeby nie złapać się jak głupia na wyjątkowo ponętną cenę czegoś, co powinno kosztować dużo więcej.

– Zobacz, wyskoczyło mi takie w Internecie – podszedł pan Bojańczyk i podetknął mi pod nos kómkę. A na niej marynarka

z wełny i kaszmiru zamiast 4 tys. – 250 zł! Sweter nie za 900 zł, ale 150?

– Oczom nie wierzę – powiedział mąż.

Ja także patrzę. Jak nie wierzyć? Wszystko się zgadza, nazwa firmy, ubrania można dokładnie obejrzeć na zdjęciach w całości i po kawałku, skład materiału, zwroty. Piękne. Ceny rzeczywiście zaskakujące, ale to specjalna przecena, likwidujemy kolekcję. Tak mówią – zniżki do 90 proc.!

Wszystko się zgadza, marka, którą znamy, nieraz oglądaliśmy jej rzeczy, jak dziecko ogląda ciastka przez szybę cukierni, ale ceny zawsze wydawały nam się abstrakcyjne. A tutaj te same ubrania tak tanio! Na dodatek można dokładnie obejrzeć na zdjęciach w całości i po kawałku, skład materiału, krój, szwy.

– Zaryzykuję, najwyższej stracę – powiedział mąż.

Chyba już nie muszę kończyć tej historii – dobrze wiecie, jak się skończyło. Straciliśmy 250 zł. Sporo, ale i tak mniej niż starsze panie, które wypłaciły z konta oszczędności całego życia i gotówkę wręczyły „kole-dze wnuczka”. Ten rzekomo znajduje się na komisariacie, bo właśnie potrafił samochodem dziecko i grozi mu więzieniem...

Więc nabijanie się z kogoś, kto nabrał się na płaszcz Max Mara, jest nie na miejscu. Bo to może być każdy z nas. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dwa razy 800 mld

Komisja Europejska lubi liczbę 800. Bo ogłosiła, że – uwaga! – „zmobilizuje” 800 mld euro na obronność. Tyle samo wynosi całość środków przeznaczonych na program, którego polską część u nas nazywa się Krajowym Programem Odbudowy. I to jest akurat słuszna nazwa, zgodna z deklarowanym powodem powołania tego funduszu. W Brukseli ten projekt nazywa się New Generation EU, nie ma więc tam mowy o jakiejś odbudowie po pandemii, tylko o budowaniu nowego świata. Na ten cel przeznaczono 800 mld euro. A więc Unia lubi tę liczbę.

Te 800 mld na obronność Komisja Europejska obiecała, że „zmobilizuje”. A to nie znaczy, że „załatwi”. W ramach mechanizmu podobnego do KPO pożyczycy pod zastaw państw członkowskich jedynie 180 mld, na resztę kraje mogą, jak się Komisja zgodzi, zapożyczyć się same ponad do tej pory obowiązującą miarę. A więc mamy tak – zapożyczyliśmy się na fundusz pocovidowy i dołożyliśmy do niego podatki, teraz na wojsko mamy zrobić to samo, a więc Europa utonie w długach. Czyli razem – tak z bilion sześćset miliardów euro.

Istnieją obawy, że w wykonaniu Komisji Europejskiej będziemy w kwestii obronności mieli KPO w wersji 2.0. To znaczy pieniądze wcale nie pójdą (jak w przypadku KPO 1.0) na podstawowy cel, tylko na realizację

projektów ideologicznych i szkodliwych; że zrzucą się wszyscy, a pieniądze będą uwalniane tylko po uważaniu Komisji Europejskiej; że, tak jak w pierwszej wersji KPO, przyjdą do nas na zbrojenia tylko te pieniądze, które zaraz wrócą np. do Niemiec, jak to mieliśmy z wiatrakami Siemens a czy elektrycznym samochodowym złomem. W końcu – że ten mechanizm będzie wykorzystywany przez Brukselę do wywierania presji na nie lubiane rządy, tym razem w najwrażliwszym obszarze – bezpieczeństwa. Należy postawić od razu na wstępie pytanie kontrolne – czy np. kraje niepraworządne będą mogły sobie w ramach tego funduszu kupić czołg?

Z projektu pocovidowego zostało tak z połowę niewydanej kasy. Te istniejące 400 mld euro można by od razu przeznaczyć na obronność, co wydatnie pozwoli odłożyć kolejne zadłużanie się państw. A ponadto pozwoli zatrzymać obecny bezsens funduszy KPO na tyle bzdurnych, że kraje same nie wiedzą, jak je wykorzystać zgodnie z obłądnymi założeniami. A więc trzeba dokonać natychmiastowej konwersji KPO na fundusz zbrojeniowy, a ten ostatni obowiązkowo tworzyć poza formatem unijnym, bo inaczej czeka nas gwarantowana powtórka z KPO.

Pora zielone szaleństwo zamienić na bezpieczeństwo. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Post i uzdrowienie

Kultura konsumpcji i zaspokajania zachcianek akceptuje ograniczenie pokarmów, ale tylko jako drogę do kontrolowania masy ciała, kształtowania sylwetki. Post współczesnym nie kojarzy się dobrze. Ćwiczenie ciała i ducha – praktyka pokutna i oczyszczająca – to pojęcia obce i niezrozumiałe. Owszem, można bez narażenia się na śmieszność mówić o tym pochlebnie, ale tylko w kontekście podziwu np. dla kultur Wschodu lub ratowania planety. Post – praktyka obecna od zawsze w naszej kulturze – traktowany jest jak wstydlawy aspekt średniowiecza, na równi z brakiem higieny. „Dieta” to co innego! Wyrzeczenie dla ciała współczesnym przychodzi o wiele łatwiej. Zniesiemy udrękę na siłowni chętniej niż ścisły post w Popielec lub „wielkopostne suche dni”.

Tymczasem nawet najbardziej uciążliwe ograniczenie jedzenia przychodzi nam o wiele łatwiej, gdy połączymy to z motywacją duchową. Sprawdziłem na sobie i każdemu polecam. Teraz jest dobry czas. Dla katolików oczywistą motywacją będzie okres Wielkiego Postu, dla niewierzących uzasadnieniem może być chęć zaprawiania się w cnocie silnej woli, ćwiczenie hartu ducha. Od wieków znana zasada ozdrowieńczych działań głodówek i leczniczej potęgi postów niestety niemal zniknęła z debaty publicznej. Choć kolorowe gazety i internetowi trenerzy prześcigają się w wymyślnych dietach, to

w centrum uwagi jest sylwetka, a nie całościowe zdrowie.

Wiele lat temu trafiłem na tzw. post Daniela, zwany częściej jako dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej, i zaliczyłem pełen 40-dniowy cykl. Rezultaty były znakomite. Tym, co skłoniło mnie do spróbowania, był brak ograniczeń ilościowych. Można było jeść do woli, ale tylko określone warzywa i owoce. Najtrudniej było wyrzec się kawy, świeżego pieczywa i oliwy. Ale właśnie motywacja religijna – ofiarowanie wyrzeczenia w określonej intencji – dodała mi sił. Efekt był zdumiewający. Po pierwszym, bardzo trudnym tygodniu, gdy organizm istotnie się buntował (przykry zapach potu, bóle głowy, biegunki, kłopoty ze snem), z każdym dniem było łatwiej. Wrócił spokojny sen, pojawiły się energia, jasność umysłu, zniknął ból stawów, poprawiła się cera. Po 40 dniach czułem się rewelacyjnie. Straciłem 14 kg i miałem ogromną satysfakcję ze zwycięstwa nad sobą.

Po latach dopiero trafiłem na książkę „Dieta dr Ewy Dąbrowskiej. Fenomen samouzdrawiającego się organizmu”, w której znalazłem naukowe potwierdzenie tego, co obserwowałem u siebie. Znalazłem też masę świadectw uleczeń chorób przewlekłych i rzekomo nieuleczalnych. I być może właśnie dlatego praktyka postu i diety dr Dąbrowskiej jest skazana na nieobecność w głównym nurcie medycyny. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Zrobiłbym to

Na planecie najbardziej zbędna minister Katarzyna Kotuła, od równości czy coś (ta, która chciała pisać doktorat po maturze), postanowiła powiadomić prokuraturę. Stop. Nie dlatego, że kłamała w sprawie osobistego wykształcenia, a dlatego, iż przeszkadzały jej okrzyki w miejscu, w którym protestowano przeciwko aborcji. Kotuła uznała okrzyki za „wulgarne”. Stop. Przyznamyśmy, że pani minister w czasach przedministerialnych zabłysnęła publicznym wydzieraniem się „Wypier....ć”, ale bez kropek, i na tle takiego wyrazu bez kropek reklamowała swoją w pełni niedokształconą postać. Cóż, mam komentarz do tej sprawy. Stop. Zaczyna się na literę „W”.

Niejaki Jacek Dubois, z zawodu adwokat, opowiedział dowcip mocno przyciężkawy: „Ja nie znam poglądów politycznych pani Wrzosek”. Stop. Ewidencja miała być oryginalna i pokazać, że jest jedyną osobą w Polsce, która nie zna politycznego zaangażowania ośmiogwiazdkowej prokurator. Chyba że naprawdę nie zna jej poglądów, ale wtedy pewnie ktoś go karmi i ubiera...

Niejaki Jakub Wende, z zawodu adwokat, chciał błysnąć, że niby zna się na swoim zawodzie, i wytłumaczyć maluczkim meandry przesłuchania śp. Barbary Skrzypek. Stop. Napisał z niby-wyniosłością: „Pani Skrzypek była świadkiem, a nie stroną. Pełnomocnika takiej osoby dopuszcza się

wyjątkowo i tylko w sytuacji, gdy wymaga tego jej interes w toczącym się, konkretnym postępowaniu. Jako adwokat powinien Pan znać przepis art. 87 par. 2 kpk. No i czytać ze zrozumieniem komunikat”. Stop. Najwidoczniej Wende, kumpel Dubois, jednak nie wszystko rozumie, bo prezes Naczelnej Rady Adwokackiej, mecenas Przemysław Rosati, zgasił go i jego „wyjątkowość” brutalnie: „W swojej 15-letniej praktyce nie spotkałem się z przypadkiem niedopuszczenia pełnomocnika świadka do czynności przesłuchania w prokuraturze”. Stop. Przytulamy pana Wendego.

Zbigniew Ziobro nazwał Bodnara gangsterem i bandytą. Stop. Media prorządowe podały, że Bodnar chce pozwać Ziobrę, ale nie uszczegółowiono, za który dokładnie z tych dwóch wyrazów. Stop.

Szymon Hołownia dalej chce zostać prezydentem. Stop. To ten szolmen, który przed wyborami obiecywał, że jak będzie rządzić, to lekarze sami będą do nas dzwonić. Stop. Ponieważ Szymon Hołownia ma poparcie ok. 3 proc. i dalej chce być prezydentem, pozwałam sobie wysnuć wniosek, że lekarz do niego jednak nie dzwonił. Stop.

Katarzyna Lubnauer w radiowej „Jedynce” wypowiadała się na temat diety. Przekonywała, że najlepsza jest dieta zbilansowana. Stop. Gdyby można było słowa pani poseł Lubnauer jakoś dowcipnie, ale kulturalnie skomentować, zrobiłbym to. Stop. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Jak zielony młody las

Ciekawymi echami odbija się w polskich mediach obietnica premiera Donalda Tuska, który zorganizować pragnie „na wielką skalę” przeszkolenie wojskowe dla „każdego dorosłego mężczyzny w Polsce”. Miałyby one trwać od kilku dni do jednego miesiąca i „uczynić z tych, którzy nie idą do wojska, pełnowartościowych żołnierzy w trakcie konfliktu”.

Więcej konkretów przedstawił mediom posiadacz spakowanego „plecaczka ucieczkowego”, minister Kosiniak-Kamysz. Program szkoleń niczym gadżet w stylu unisex zostanie „uszyty dla każdego, kto będzie z tego chciał skorzystać”, zarówno „dla kobiet, jak i mężczyzn; będzie w zakresie podstawowym, jak również w zakresie rozszerzonym”.

W roku 1944 Armia Czerwona dramatycznie potrzebowała żołnierzy. Na „wyzwalanych” terenach, po kampanii wrześnie wojennej, sowieckich deportacjach, okupacji i wywózkach do Niemiec rekruta nie było. Praca na Berlin armia sowiecka traciła ludzi w przerażającym tempie. Pomimo tego marszałek Rokossowski groził swoim generałom, że rzucanie do walki żołnierzy bez minimalnego, dwu-trzymiesięcznego przeszkolenia może skończyć się dla nich sądem wojennym. Bliźniacze standardy obowiązywały w Volksturmie, choć, podobnie jak u Sowieców, zdarzały się wyjątki. Posyłanych pod

czołgi nastolatków i starców starano się – o ile tylko pozwalały na to okoliczności – szkolić przez przynajmniej trzy miesiące. Nawet mięso armatnie trzeba przygotować i użytkować w sposób efektywny.

Tymczasem polskie media nie mogą się nachwalić obiecanych szkoleń. „Miesięczne szkolenie to podstawowe szkolenie, które przechodzą wszyscy kandydaci do służby w wojskach operacyjnych, obecnie w ramach dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. Obejmuje m.in. obsługę broni, podstawy taktyki i wykorzystywania terenu, musztrę czy pierwszą pomoc” – reklamuje Interia. Wtórąje tym mądrościom Grzegorz „Koniu” Konowski z BOR, dziś prezes firmy Black Horse Private Military Co. „Żeby przeszkolić 100 tys. ludzi rocznie, chociażby z zakresu medycyny pola walki, nie robić tego po łebkach, trzeba przynajmniej tygodnia na jedną grupę” – poucza ekspert.

Troska prezesa „Konii”, by niczego nie robić „po łebkach”, wymaga historycznego kontekstu. W pierwszych, najtrudniejszych dla US Army miesiącach drugiej wojny światowej szkolenie zmobilizowanego mężczyzny trwało 35 tygodni. Już w kwietniu 1943 r. pilnie wydłużono je do 38 tygodni, uznając wcześniejszy program ćwiczeń za niewystarczający. Do jakich wojskowych tradycji nawiązywać chcą tygodniowy „Koniu” i Donald Tusk? ©©



KRYSZTOF KRATYUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Z ambony do więzienia

Jestem redaktorem naczelnym portalu dla katolików. Na PCh24.pl często przypominamy, jak Pismo Święte odnosi się do wyzwań, przed którymi stają ludzie wszystkich pokoleń. Często robię to również na tych gościnnych łamach tygodnika „Do Rzeczy”. Dla naszego pokolenia takim istotnym wyzwaniem stały się zmiany społeczne i obyczajowe, wśród których jedną z najbardziej jaskrawych pozostaje powszechna, a coraz bardziej skuteczna promocja homoseksualizmu.

Władza bardzo silnie dąży do tego, by owe zmiany obyczajowe nie były tylko kwestią wyboru – żąda od nas, byśmy dostosowali się do nich pod groźbą kary. Stąd nowelizacja Kodeksu karnego i po-

du na potencjalne naruszenie art. 119 i art. 257 Kodeksu karnego”].

Księga Kapłańska 20, 13: „Jeżeli mężczyzna obcuje cielesnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, **[Ocenzurowano ze względu na potencjalne naruszenie art. 119 i art. 257 Kodeksu karnego]**”.

Księga Rodzaju 19, 1–29: „Owi dwaj aniołowie przybyli do Sodomy **[Ocenzurowano ze względu na potencjalne naruszenie art. 119 i art. 257 Kodeksu karnego]**. Zanim jeszcze udali się na spoczynek, mieszkający w Sodomie mężczyźni, młodzi i starzy, ze wszystkich stron miasta, otoczyli dom, **[Ocenzurowano ze względu na potencjalne**

którą z angielska modnie nazywa się sex workingiem. Nie mylą się państwo, chodzi o zwyczajną prostytucję – liberalne media co rusz wychwalają tę niezwykle ciężką i wymagającą pracę, a film na jej temat zdobył właśnie Oscara.

Wyrażanie się negatywnie na temat prostytucji również może za chwilę wiązać się ze stanieniem się „mówcą nienawiści”. Wszak kto zaprzeczy, że osoby, które parają się owym najstarszym zawodem świata, robią to ze względu na swoją (homo lub hetero) „orientację seksualną” właśnie? Mało to w Warszawie zmyślnych adwokatów, którzy połączą fakty?

A wtedy takiej cenzurze podlegać będzie znacznie więcej wersetów Pisma Świętego. I mniejsza z tym, że ja nie będę mógł napisać normalnego felietonu albo że mnie czy innych publicystów wsadzą do więzienia. Gorzej, że takimi „mówcami nienawiści” w myśl tej ustawy staną się z urzędu... katoliccy kapłani. Każdy z nich, głoszący naukę moralną Kościoła, będzie mógł zostać pociągnięty do odpowiedzialności z ambony do więzienia.

Wszyscy wiemy, że obawy te nie są przesadzone. Czytaliśmy już o licznych chrześcijanach wsadzanych z tego paragrafu do więzienia na tzw. Zachodzie. A widzimy, że i obecna władza w Polsce bardzo lubi aresztowania i procesy.

Czy naprawdę chcemy świata, w którym cytowanie Pisma Świętego staje się przestępstwem? Jeśli tak, to nie ludźmi się, że skończy się na cenzurze – przyjdzie czas, gdy milczenie również uznane zostanie za winę.

Tam, gdzie prawda staje się zbrodnią, cisza staje się kapitulacją. ©

W myśl tej ustawy „mówcami nienawiści” staną się z urzędu... katoliccy kapłani. Każdy z nich, głoszący naukę moralną Kościoła, będzie mógł zostać pociągnięty do odpowiedzialności

mysły karania za tzw. mowę nienawiści względem osób LGBT itp. Projekt zakłada, że szczególnej ochronie prawnej podlegałaby w Polsce tzw. orientacja seksualna. Ten, kto zostałby uznany za winnego „siania nienawiści”, mógłby trafić do więzienia na okres od trzech miesięcy do pięciu lat.

Gdyby owa ustawa, przyjęta już przez Sejm, rzeczywiście weszła w życie, mój felieton o tym, jak Pismo Święte odnosi się do współżycia ze sobą dwóch mężczyzn, musiałby – gdybym nie chciał trafić do więzienia – wyglądać mniej więcej tak:

Księga Kapłańska 18, 22:

„Nie będziesz obcował z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą. To jest **[Ocenzurowano ze wzglę-**

naruszenie art. 119 i art. 257 Kodeksu karnego]. Wtedy ci dwaj mężowie, wsunawszy ręce, przyciągnęli Lota ku sobie do wnętrza domu i zaryglowali drzwi. **[Ocenzurowano ze względu na potencjalne naruszenie art. 119 i art. 257 Kodeksu karnego]**. Abraham, wstawszy rano, udał się na to miejsce, na którym przedtem stał przed Panem. I gdy spojrział w stronę Sodomy i Gomory **[Ocenzurowano ze względu na potencjalne naruszenie art. 119 i art. 257 Kodeksu karnego]**.

Ciekawy byłby to tekst, nieprawdaż?

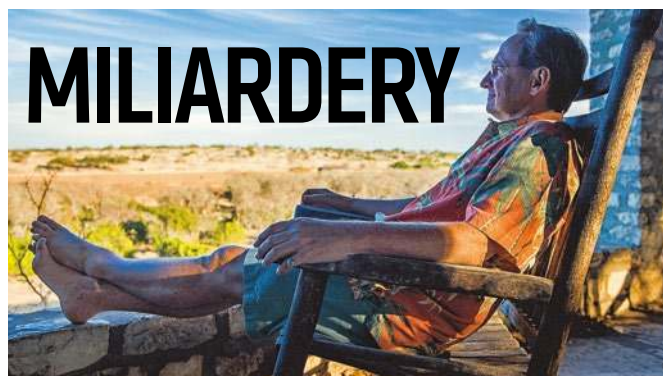
A może być jeszcze ciekawiej. Otóż oprócz homoseksualizmu wszem wobec promowana jest dzisiaj także „praca seksualna”,

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W gabinecie Donalda Trumpa znalazło się pięciu byłych kandydatów na prezydenta. Rzecz wyjątkowa. Trzech to republikanie, których Trump pokonał w prawyborach (np. Marco Rubio, obecny sekretarz stanu, kandydował przeciw Trumpowi w roku 2016), a dwoje to demokraci i to jest tak wyjątkowe, że brzmi jak „niemożliwe”. Startowali przeciw Trumpowi z ramienia Partii Demokratycznej, a teraz pracują dla Trumpa w republikańskim rządzie. Co powoduje, że ci wszyscy ludzie zechcieli działać razem? Niedawni przeciwnicy i konkurenci – co ich połączyło?

Trump ma program wyborczy oparty na zdrowym rozsądku i chce odbudować wielkość Ameryki. To ludzi łączy i cieszy. Powrót zdrowego rozsądku jednocy. Piszę o Ameryce, ale przykład działania zgodnego ze zdrowym rozsądkiem podam z Europy. Jest to przypadek rzadki, dlatego warto go podać. Na Węgrzech parady dewiantów zostały zakazane na mocy prawa o ochronie dzieci. Nie trzeba zmieniać przepisów – wystarczy stosować te, które są. Wyuzdane stroje i świńskie zachowania nie powinny być wystawiane w przestrzeni publicznej – tak mówi zdrowy rozsądek. Nie wszystko, co człowiek robi, powinno się robić na ulicy, no np. świniobicie, parada zboczeńców, siku.

W gabinecie Trumpa znalazło się także czterech miliarderów. W tym najbogatszy człowiek na kuli ziemskiej. Gdy słyszymy, że w jakimś rządzie są miliarderzy, mamy złe skojarzenia z oligarchią. Rosyjską,



FOT. W. CEJROWSKI/UDYJASZAW.SIENSKI

ukraińską. W obecnym rządzie USA jest kilku miliarderów, ale nie mamy do czynienia z oligarchią, bo ci miliarderzy nie zarabiają, lecz tracą forsy z powodu wejścia do rządu. Każdy z nich miał doskonałe i wygodne życie poza polityką. Trump miał. A teraz co ma? Elon Musk też miał życie doskonałe, a do tego był przez wszystkich lubiany. Demokraci wielbili jego auta elektryczne, republikanie wychwalali rakiety kosmiczne i plan lotu na Marsa... A teraz? Lewica zwalcza auta elektryczne, podpalają samochody Tesla, wybijają szyby w salonach wystawowych, malują swastyki na masce. To zemsta za walkę z biurokracją.

Na Ukrainie czy w Rosji miliarderzy budują swoje imperia, wykrwawiając własny kraj i rodaków – tam jest oligarchia. Musk i Trump wykrwawiają swoje wygodne i bogate życie, żeby ratować USA za cenę gróźb, zamachów, nienawiści, ataków na rodzinę i dużych strat finansowych. Musk kupił Twittera, aby przywrócić wolność słowa; kupił i stale traci. Dokłada do tego interesu, gdyż trwa przeciw niemu wojna agencji reklamowych, którym nie podoba się wolność w sieci.

Elon Musk, najbogatszy człowiek na kuli ziemskiej, jest jednocześnie największym podatnikiem – nikt w USA nie płaci więcej podatku niż Elon. Ludzie rzadko o tym myślą w ten sposób. A teraz, w rządzie Trumpa, to właśnie on zajmuje się sprawdzaniem, na

co idą jego podatki i gdzie są marnowane. Z jakiego powodu najbogatszy człowiek świata przyjął pracę urzędnika? Z jakiego powodu w tym rządzie jest jeszcze kilku miliarderów? Po co im ta niewdzięczna robota? Narażają się. Po co? Musk wyjaśnił tę kwestię niedawno w wywiadzie telewizyjnym. Chodzi o to, że gdyby Ameryka padła, to ci wszyscy miliarderzy nie będą mieli gdzie osiąść. Pieniądże można zarabiać na całym świecie, ale trzeba mieć gdzie je wydać oraz trzeba mieć gdzie te pieniądze trzymać – jakieś państwo musi być Twoją bazą. Gdyby Twitter nie miał swojej bazy w USA, to gdzie miałby osiąść? Unia Europejska zwalcza wolność słowa, cenzurowała Twitter, a teraz zwalcza Muska osobiście, chce go karać i cenzurować platformę X. Gdyby Ameryka padła, Elon i jemu podobni nie mieliby dokąd wyjechać i gdzie trzymać swojej wielkiej forsy.

DOGE to antybiurokratyczna jednostka technologiczna mieszcząca się w Biurze Wykonawczym Prezydenta USA; kieruje nią Elon Musk. Zatrudnia kilkunastu informatyków, a w zasadzie wybitnych hakerów. Przeszukują bazy danych federalnych w poszukiwaniu nieprawidłowości. „New York Times” donosi: Elon Musk sypia w biurze w budynku rządowym (czyli w pracy) i każdego dnia oszczędza podatnikom miliard dolarów, blokując kolejne wycieki pieniędzy.

Oto jedna z rzeczy, którą wykrył DOGE: w rejestrach amerykańskiego systemu emerytalnego (SSA, czyli po naszymu ZUS) uprawnionych do pobierania świadczeń jest 398 mln osób, czyli o 57 mln więcej niż wszystkich obywateli USA. Mówił o tym Trump w trakcie przemówienia w Kongresie. Cytuję:

„Rządowe bazy danych wymieniają 4,7 mln odbiorców pomocy Ubezpieczeń Społecznych w wieku od 100 do 109 lat. W przedziale wiekowym od 110 do 119 lat wymieniają 3,6 mln osób. W wieku od 120 do 129 lat – 3,47 mln osób. W wieku od 130 do 139 lat – 3,9 mln osób. W wieku od 140 do 149 lat – 3,5 mln osób. Wielu takim osobom pieniądze są wypłacane i właśnie ich szukamy... Pieniądże są wypłacane i wypłacane, i nikt z tym nic nie robił. To nie koniec!

Zgodnie z bazami danych Ubezpieczeń Społecznych odbiorcami emerytur jest 1,3 mln osób w wieku od 150 do 159 lat i ponad 130 tys. osób w wieku ponad 160 lat. I na zakończenie: 1039 osób w przedziale wiekowym od 220 do 229 lat, jedna osoba w wieku od 240 do 249 lat i jedna osoba w wieku 360 lat – czyli o ponad 100 lat starsza niż nasz kraj. Dowiemy się, gdzie i na co idą te pieniądze; i wtedy zrobi się niefajnie”.

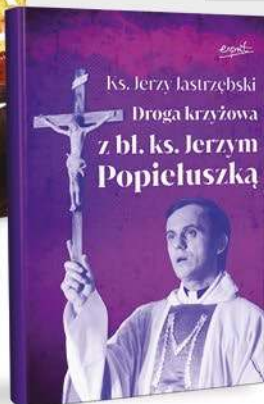
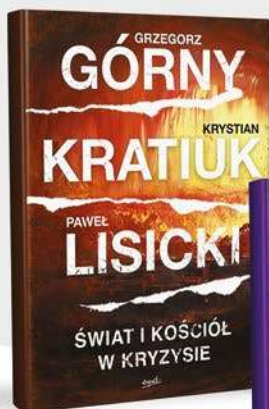
W tym przypadku wystarczyło zastosować zdrowy rozsądek – jedna osoba w systemie w wieku lat 360 to mógł być jakiś wypadek przy pacy, błąd oprogramowania, ale kilkanaście milionów osób w wieku powyżej 120 lat to już nie jest ani wypadek, ani przypadek, ani zwykła pomyłka – to wyłudzenie, wyciek forsy na ogromną skalę. ©©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~593~~ Zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZTIAN KRATIUŁ, PAWEŁ LISICKI:
„ŚWIAT I KOŚCIOŁ W KRYZYSIE”; KS. JERZY JASTRZĘBSKI:
„DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

274,00 Zł
OSZCZĘDNOŚĆ 319 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 5f1ba0f596



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Niezależny bank centralny

To polski złoty
– własna waluta
i stabilna gospodarka

To wolność,
jaką daje gotówka
– byś płacił, jak chcesz

To rosnące rezerwy złota
– dla bezpieczeństwa
naszych dzieci



nbp.pl

Dzięki konstytucyjnej gwarancji niezależności
Narodowy Bank Polski wzmacnia Twoje bezpieczeństwo finansowe.